



Bohdan Urbankowski
Z GARŚCI PROCHU
ŻYWY ORGANIZM



Olga Doleśniak-Harczuk
CZERWONE NIEBO
NAD BERLINEM

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

cena 12 PLN (w tym 8% VAT)

www.panstwo.net

nakład 10 120

indeks 21 060

#133 03/2017



Czy
będzie

SMOLEŃSK II

ISSN 1895-4960

03





fot. Konrad Bink, Fotobizna

Czy będzie Smoleńsk II? / 4

Spis treści

TEMAT NUMERU

- Piotr Lisiewicz
Czy będzie Smoleńsk II? / 4
Antoni Rybczyński
Spieć Operacja / 8
Ryszard Czarnecki
Deinformacja a la Kreml / 13

IDEE

- Bohdan Urbankowski
Z garści prochu żywy organizm / 14
Małgorzata Matuszak
Hakerzy genów / 24
Tomasz Terlikowski
300-letnia walka masonerii z Kościołem / 28
Polska Grupa Zbrojeniowa konsoliduje sektor stoczniowy / 32

HISTORIA

- Piotr Lisiewicz
Zionący koniem i czarką wódki wypitą na śniadanie / 36
Dariusz Jarosiński
Kapłani wyklęci / 42
Magdalena Złotnicka
Legumina i jamnik Pana z kabaretu / 48
Agnieszka Kowalczyk
Heroiczny apostoł miłosierdzia / 54
Aleksander Litwinienko, Jurij Felszyński
Oni całkiem zamydlili nam oczy / 60

KULTURA

- Sylvia Krasnodębska Polskie Radio
Iskra nadziei w błogostawionej Karolinie / 64
Jakub Kozłowski
Ile tlenu w „Tlenie”? / 67
Sylvia Krasnodębska Polskie Radio
Na kogo to polowanie? / 68
Krzysztof Karmkowski
Kino historycznego niepokoju / 70

ŚWIAT

- Olga Doleśniak-Harczuk
Czerwone niebo nad Berlinem / 74
Antoni Rybczyński
Jak amerykańska lewica z Moskwą spiskowała / 78
Hanna Shen
Tajwańskie zakazane piosenki / 82
Stefan Czerniecki
Tu, gdzie kończy się droga... / 86
Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji / 96

Czerwone niebo nad Berlinem / 74

Stale rubryki

Katarzyna Gójska-Hejke
Niezłomni zamiast „Bolka”

NA POZĄCZEK

3

Małgorzata Matuszak
Czym jest... ordo amoris

KATECHIZM INTELIGENTA

31

Marcin Wolski
Przekombinowane

PAPKULTURA

73

Ryszard Czarnecki
W New Delhi tylko o polityce

CZARNECKO TO WIDZĘ

85

Olga Doleśniak-Harczuk
Krew na kitlu

Z GLOBALNEGO TYGLA

94

Tomasz Sakiewicz
Powrót do klasycznej gospodarki

OSTATNIE SŁOWO

99



miesięcznik

wydawca

SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA

02-056 Warszawa

ul. Filtrowa 63/43

e-mail: redakcja@niezalezna.pl

www.panstwo.net

ZESPÓŁ

Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Anita Gargas, Katarzyna Gójska-Hejke (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI

Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY

Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY

Mariusz Troliński

DTP

Aleksander Raczewarkow

KOREKTA

Irena Biśta-Kanciála

INFORMACJA O PRENUMERACIE

tel. +48 22 290 00 90 wew. 3

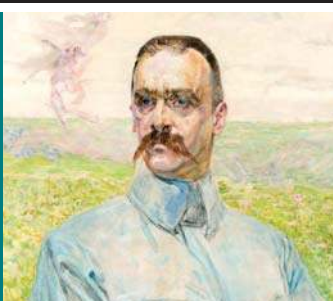
prenumerata@rejtan.org

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

4712401053111001019991772

DRUK LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960



Z garści prochu żywy organizm / 14



fot. arch.

Zionący koniem i czarką wódki wypitą na śniadanie / 36



fot. mat. pras.

Iskra nadziei w błogostawionej Karolinie / 64



fot. SŁOWO NIEZALEŻNE / PAP / EPA

Czerwone niebo nad Berlinem / 74



Katarzyna Gójska-Hejke

NA POCZĄTEK

Nieźłomni zamiast „Bolka”

Podważanie dobrego imienia dowódców Żołnierzy Niezłomnych, ponowne zakłamywanie ich historii jest działaniem zaplanowanym i konsekwentnie realizowanym przez faktycznych oraz mentalnych spadkobierców twórców komunistycznego państwa o nazwie PRL.

W wydaniu tygodnika „Gazeta Polska” z 22 lutego tego roku (notabene ostatnim w starej szacie graficznej i formacie – od 1 marca „GP” zupełnie odmieniona!) ukazał się artykuł Dariusza Jarosińskiego, stałego współpracownika „Nowego Państwa”, o zakłamywaniu prawdy o Romualdzie Rajsie ps. Bury. Ów wyjątkowej odwagi i miłości do Polski dowódca permanentnie pada ofiarą środowisk postkomunistycznych, które, można rzec, odziedziczyły nagonkę na Żołnierzy Niezłomnych po swych zsowieciałych poprzednikach. Gorąco polecam lekturę tego tekstu, bo autorowi udało się w niezwykle skuteczny sposób obnażyć mechanizm manipulowania faktami o „Burmie”. Sprawę szkalowania kapitana Rajsę trzeba jednak rozpatrywać w szerszym kontekście, bowiem postać dowódcy 3 Brygady Wileńskiej AK jest w rzeczy samej wykorzystywana do atakowania pamięci o antykomunistycznym powstaniu, siania wątpliwości co do nieźłomności jego uczestników także w głowach ludzi deklarujących szacunek dla tych, którzy po formalnym zakończeniu II wojny światowej nie złożyli broni. Czarna legenda „Burego” ma im mówić: uważajcie z tymi Wyklętymi. Cel jest zupełnie oczywisty. Chodzi o ograniczenie lub najlepiej zatrzymanie procesu budowania mitu antykomunistycznego podziemia, do którego będą nawiązywać zarówno obywatele, jak i instytucje Rzeczypospolitej. Od razu zaznaczam – nie wierzę w przypadkowość tego działania. Uważam, iż podważanie dobrego imienia dowódców Żołnierzy Niezłomnych, ponowne zakłamywanie ich historii jest działaniem zaplanowanym i konsekwentnie realizowanym przez faktycznych oraz mentalnych spadkobierców twórców komunistycznego państwa o nazwie PRL. To gra zerojedynkowa: jeśli Wyklęci byli podejrzani i mieli nawet zbrodnie na swoim sumieniu, to funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa niekoniecznie byli tacy najgorsi. Ta narracja prowadzi wprost do głoszonego od zarania postkomunizmu twierdzenia, że Polska historia najnowsza jest tak zagmatwana, iż trudno jednoznacznie ocenić, kto był bo-

haterem, a kto zdrajcą, kto donosicielem, a kto jego ofiarą. Z prawdą o Żołnierzach Wyklętych jest dokładnie tak jak z prawdą o dramacie smoleńskim. Polska racja stanu wymaga ujawnienia ich obu, bo bez tego zniszczenie postkomunizmu nie będzie możliwe. Jego ostoja są zabagnione dzieje najnowsze, związki przeróżnych wpływowych grup interesu z komunistycznym aparatem represji – czy to polskim, czy sowieckim. A tych nie da się zneutralizować bez utrwalenia w świadomości współczesnych i kolejnych pokoleń Polaków wizerunku uczestników antykomunistycznego podzie-

Z PRAWDĄ O ŻOŁNIERZACH WYKLĘTYCH
JEST DOKŁADNIE TAK JAK Z PRAWDĄ
O DRAMACIE SMOLEŃSKIM. POLSKA RACJA
STANU WYMAGA UJAWNIECIA ICH OBU,
BO BEZ TEGO ZNISZCZENIE POSTKOMUNIZMU
NIE BĘDZIE MOŻLIWE.

mia wolnego od propagandy rodem z Peerelu. Święto 1 marca – chwała za nie śp. Lechowi Kaczyńskiemu i śp. Januszowi Kurtyce – nie załatwi wszystkiego. Potrzebna jest ogromna aktywność IPN, wszystkich instytucji państwa, które powinny przyjmować na swych patronów Niezłomnych, oświaty – programy nauczania winny dosłownie ociekać historią o antykomunistycznym powstaniu, tak jak kiedyś były naspikowane fałszem o dobrodziejstwach Związku Sowieckiego. Polacy muszą wiedzieć, że po II wojnie światowej toczyła się w naszym kraju walka o niepodległość. Nie żadna wojna domowa, a wojna z przywiezionymi z Sowietów rządem, wojskiem, służbami. I że Polska droga do wolności rozpoczęła się od heroizmu Niezłomnych, to oni są jej symbolem, a nie tajny współpracownik o pseudonimie „Bolek”.



Ryszard Czarnecki

Dezinformacja á la Kreml

Akcja dezinformacyjna ze strony Kremla jest ponadustrojowa i ponadczasowa.

Rosja dezinformacją stoi. Stała i stoi. Stała – bo jeszcze w czasach „białej Rosji” (odwołując się do celnego tytułu książki Jana Kucharzewskiego) carskie służby, czyli ochrana, grały nią wobec zachodnich rządów i opinii publicznej, ale też wobec własnych obywateli, ba, własnych elit rządzących. A stoi – bo zmieniają się nad Wołgą i Newą ustroje, wczorajsi wrogowie są dziś sojusznikami i odwrotnie, „wszystko płynie” (by użyć tytułu książki rosyjskiego pisarza Wasilija Grossmana), ale wielopiętrowa dezinformacja na użytek wewnętrzny i zagraniczny jest „stałym fragmentem” rosyjskiej gry.

W gmachu Parlamentu Europejskiego przy Rue Wiertz w Brukseli konferencje prasowe najczęściej odbywają się w sali nazwanej imieniem Anny Politkowskiej, skrytobójczo zamordowanej przeciwniczki Kremla. Wspominam o tym nie tylko dlatego, by oddać hołd dzielnej Rosjance, lecz także po to, by – przy okazji – wrócić do zakrojonej na wielką skalę fali dezinformacji, którą moskiewskie służby przeprowadziły tuż po śmierci tej dziennikarki śledczej. I było to wtedy w dużej mierze „kupowane” przez zachodnią opinię publiczną. Bo że rządy krajów UE i NATO chętnie udawały, iż wierzą różnym kremłowskim narracjom dla świętego spokoju, żeby był „business as usual” wtedy i dziś – to wiemy. Dezinformowano na potęgę, gdy na terytorium obcego państwa zgładzono byłego agenta, który przeszedł na zachodnią stronę mocy (Wielka Brytania i casus Aleksandra Litwinienki). Wielopiętrowa i w sporej mierze skuteczna dezinformacja miała miejsce w kontekście Zachodu po Smoleńsku. Rosyjskie wersje kupowali także zachodni przyjaciele Polski, ba, nawet stare lisy ze służb krajów NATO!

Mało kto pamięta, jaką akcję dezinformacyjną Moskwa wygenerowała przy okazji zestrzelenia malezyjskiego samolotu w lipcu 2014 r. z 298 osobami na pokładzie. Winą obarczono stronę ukraińską, sprytnie wszak przypominając rzeczywistość omyłkowe zestrzelenie przez Kijów samolotu Tu-154 (należącego do rosyjskich linii S7 Airlines) w październiku

2001 r., lecącego z Tel Awiwu do Nowosybirsk z 78 pasażerami na pokładzie. Miało to miejsce w czasie ukraińskich manewrów wojskowych. To stara, rosyjsko-sowiecka metoda uwiarygadniania kłamliwych też prawdziwymi wydarzeniami z przeszłości.

Akcję dezinformacyjną w wykonaniu KGB i jej satelity w krajach sowieckiej zony widać było w czasie festiwalu „Solidarności” i później w stanie wojennym. Propaganda ta, co może wydawać się paradoksalne, bardziej niż w Polsce skuteczne efekty przynosiła u naszych sąsiadów: Niemcy z tzw. Niemieckiej Republiki Demokratycznej i Czechosłowacy szczerze, *en masse*, nie cierpieli Polaków, bo ci przez swoje „przerwy w pracy” demoralizowali własnym przykładem społeczeństwa ościenne. Sowiecka narracja mówiła, że przez nas mogą pogorszyć się warunki gospodarczo-społeczne w „krajach demokracji ludowej”, a zwłaszcza wśród sąsiadów Polski. „Pepiki” czy „dederony” mogli nie lubić (?) „Ruskich”, ale w tej sowieckiej narracji nie chodziło o to, żeby ich polubić, tylko – wyczuwając słaby punkt: poczucie lepszych standardów życia we wschodnich Niemczech czy Czechosłowacji niż u „Polaczków” – zniechęcić do polskiej pokojowej rewolucji.

Jak widać, akcja dezinformacyjna ze strony Kremla jest ponadustrojowa i ponadczasowa. Dziś, w ostatnich czterech latach widać to w spektakularny sposób na przykładzie Ukrainy. Moskwa wykorzystując realne słabości naszego wschodniego sąsiada, przedstawia Kijów na Zachodzie jak „państwo sezonowe”, skazane, także ze względu na ekonomiczne, na powrót do rosyjskiej strefy wpływów, państwo totalnie skorumpowane (tu oczywiście Ukraińcy dostarczają licznych pretekstów), ze skrajnie skłóconymi i zwalczającymi się elitami, niepoważne, bo nie wywiązujące się z obietnicy reform danej Zachodowi, w stanie chaosu ekonomicznego. A z rosyjską dezinformacją jest jak z łańcuchową maksymą o kropli, która „drażni skalę nie siłą, lecz częstym padaniem”. ■

Bohdan Urbankowski



Z garści prochu żywy organizm

„Wybiła godzina
rozstrzygająca!
Polska przestała być
niewolnicą i sama
chce stanowić
o swoim losie, sama
chce budować swą
przyszłość, rzucając
na szalę wypadków
własną siłę orężną.
Kadry armii polskiej
wkroczyły na ziemię
Królestwa Polskiego,
zajmując ją na rzecz
jej właściwego,
istotnego, jedyne-
go gospodarza – Ludu
Polskiego, który ją
swą krwawicą użyźnił
i wzbogacił. Zajmując
ją w imieniu władzy
naczelnej – Rządu
Narodowego, niesiemy
całemu Narodowi
rozkucie z kajdan,
poszczególnym zaś
jego warstwom
warunki normalnego
rozwoju” (z odezwy
Józefa Piłsudskiego do
narodu, wygłoszonej
6 sierpnia 1914 r.).

Obraz: Jacek Malczewski/Wikimedia

Wiele lat temu podczas jednego z wieczorów poetycko-patriotycznych, na których czytałem swoje wiersze poświęcone m.in. Piłsudskiemu, Pileckiemu, Korczakowi, Rejtanowi i kilku innym postaciom, przeżyłem miłe i niemiłe zarazem zaskoczenie: publiczność biła brawo, ale biła przeciwko „czerwonym”; o Piłsudskim wiedziała niewiele, o Pileckim – zupełnie nic. Owszem, najstarsi kombataneci z dumą wspominali, że Marszałek przetrzepał bolszewików, z kolei jakiś partyjniak wypiwszy widać dla kurażu, powtórzył slogan o „wyprawie po latyfundię”, od której miała się zacząć cała I wojna światowa (!). Nazwisko Pileckiego również jemu nic nie mówiło.

Edukacja komunistyczna poczyniła w głowach Polaków spustoszenie – „wyprawa po latyfundię” i „faszystowski przewrót Piłsudskiego” to były główne punkty szkolnych lekcji historii poświęconej przedwojennej Polsce. Dobrą opinią cieszyły się za to „Rząd Białostocki Marchlewskiego” oraz „obrona kraju – komunista Marian Buczek”. Chcąc, nie chcąc, recytację wierszy uzupełniłem wykładem z historii Polski – wciąż nieznaną, choć już nie zakazaną (bo i po co). Kilka dni później poproszono mnie o powtórzenie promocji w Ośrodku Kultury Ochoty, ale razem z wykładem. Myślę, że kierownictwu ośrodka bardziej zależało na nim niż na poezji. Odbylem wtedy cały cykl spotkań realizujących podwójną formułę: wieczorek zaczynał się od wiersza, który dotyczył jakichś zdarzeń politycznych, następnie wygłaszałem coś w rodzaju harcerskiej gawędy. Tematami były i walka Polaków o niepodległość, i powstanie węgierskie, i Jan Palach (choć także Ryszard Siwiec), i oczywiście wydarzenia Marca '68, w których jako student filozofii brałem udział. Parę lat później powtórzyłem kilka takich pogadanek w ramach spotkań Ogólnopolskiego Klubu Poetów. Zamieszczone poniżej opowieści nie są dosłownym odwzorowaniem tamtych spotkań. Przede wszystkim dlatego, że informacje, które wtedy brzmiały odkrywczo, sensacyjnie, dziś stały się oczywiste.

► Proste pytanie i kilka odpowiedzi

Podczas tych poetycko-politycznych spotkań najczęściej padało jedno pytanie: za co mamy czcić Piłsudskiego? Odpowiadałem na nie początkowo dość chaotycznie – przeskakując od opowieści o szkolnej konspiracji braci Piłsudskich do akcji pod Bezdanami i od katongi syberyjskiej do zwycięstwa nad bolszewikami najazdem. Stopniowo jednak wyjaśnienia zaczęły się porządkować w ciągu zdarzeń, z których każdy miał charakter ciężkiej, trwającej latami pracy.

Piłsudski był twórcą w dziedzinie najważniejszej i najtrudniejszej, a do tego tak nam bliskiej, że aż nie-

dostęgalnej. Jeśli mówimy, że reżyser teatralny jest twórcą, ale trochę na niby, to Piłsudski był reżyserem naprawdę, twórcą w materii życia społecznego. Był jednym z nielicznych, którzy zdolali zamienić swoje młodzieńcze marzenia w rzeczywistość. Dlatego gdy po latach napisałem o nim książkę, zatytułowałem ją „Marzyciel i strateg”. Bo marzenia mogą rozwiązać się w powietrzu, ale mogą też zamienić się w konkretne plany, plany – w rozkazy, rozkazy – w czyny. Marzenia Piłsudskiego nie były ersatzem działalności, były wstępną, konieczną fazą przyszłych zwycięstw.

Najwyższym marzeniem Piłsudskiego była niepodległa Polska. Realizując je, musiał dodatkowo wcielać w życie myśli trochę bardziej przyziemne, powiedzmy: „marzenia pomocnicze” o polskiej sile, polskiej wspólnoty i kulturze, nadającej wyższą, atrakcyjną jakość życia Polakom. Trzeba było przeprowadzić Polaków od etosu niewolniczego do rycerskiego, od społeczeństwa zatamizowanego do wspólnoty potężnej historycznej pracy i od plemiennych swarów, żalów i pretensji do idealizmu – wyznającego idee czynnymi. Inaczej mówiąc: stworzyć niepodległych ludzi, niepodległe struktury, sacrum niepodległości. Spróbuję to uporządkować, a tym samym nieco wyjaśnić.

► Od duchowej niepełnosprawności do rycerskiego etosu

To była najtrudniejsza z prac społecznych Piłsudskiego. Bo Polacy XIX wieku, ci z czasów młodości Piłsudskiego nie mieli państwa ani wojska, to było społeczeństwo słabe, wręcz chore. Polacy uprawiali patriotyzm podkościelny i cmentarny, spotykali się na mszach za dusze bohaterów albo na ich pogrzebach – i na tym się kończyło. To była kultura klęski, konkurs ran i festiwal porażek, którym tak mało brakowało do zwycięstwa. Od 1863 r. ten naród nie walczył, nie znał nawet komend wojskowych – z wyjątkiem tych, które Polacy poznali jako rekruci w armiach zaborczych i w językach okupantów. Nawet jeśli powstawały jakieś organizacje, to miały pokojowy charakter, o emigrantach dogorywających za granicą raczej nie pamiętano. Owszem, istniała partia socjalistyczna, lecz początkowo była tylko luźną siatką kół dyskusyjnych, których bywalcy skupiali się na interpretowaniu dzieł Marksa – jakby specjalnie w tym celu napisanych mętnie i nudnie. Piłsudski niezbyt wysoko oceniał tę ideologię: „[...] postanowiłem bliżej się zapoznać z samym socjalizmem i przeczytałem po rosyjsku pierwszy tom »Kapitału« Marksa. Nie powiem, by ta lektura sprawiła na mnie wrażenie. Chociaż wpływ rosyjski był niewielki, zdolał jednak zrobić pewne anarchistyczne spustoszenia w mej głowie. Abstrakcyjna logika Marksa oraz panowanie towaru nad człowiekiem

nie pasowało do mego mózgu”. Uwaga o panowaniu towaru jest skrótem myślowym, chodzi o fundamentalne przeświadczenie Marksa, iż „w ostatecznej instancji” baza determinuje nadbudowę – więc i wszystkie ludzkie działania, całą kulturę, najwyższe ideały.

Tajemnicą marksizmu był fatalizm: wierzone w nieuchronne następstwo formacji społecznych, w konieczność ewolucji od wspólnoty pierwotnej do wspólnoty komunistycznej – tak nieuchronnej, że niewymagającej działania. Wystarczy usiąść na przyzbie i poczekać – działanie mogłoby tylko tę prawidłowość zakłócić. Aktualnie świat zmienia się w globalny rynek, osobne państwa nie powstają, lecz upadają. Dlatego Róża Luksemburg uważała, że walka o niepodległą Polskę jest bezsensowną próbą zakłócania konieczności. Z drugiej strony – walka o zwycięstwo socjalizmu miała sens taki jak walka o nadejście zaćmienia księżyca – przecież i tak nadejdzie.

Głosząc takie poglądy, Luksemburg po prostu odczytała Marksa – dlatego uważała bolszewizm za nietscheański wtór – i krytycznie mówiła o „Leninie i jego nadludziach”. Piłsudski podobnie jak bolszewicy przeniósł akcent z bazy na nadbudowę, nie ekonomia determinuje rozwój, lecz ideologia – ona przecież wpływa na ekonomię, wyznacza cele polityce. Ideologią piłsudczyków był niepodległościowy, pełny romantyzm – nie przypadkiem on sam podpisywał swoje artykuły pseudonimem „Romantyk”. By jednak realizować romantyczne cele, trzeba dysponować siłą.

Piłsudski – będzie jeszcze o tym mowa – działał w uczniowskiej konspiracji, brał udział w studenckim spisku na cara, ale jego poważna działalność łączy się dopiero z tą partią. W Spójni był kolegą wśród kolegów, wśród niedoszłych carobójców – wykonawcą poleceń bardziej wtajemniczonych organizatorów. Dopiero po powrocie z Syberii zaczął działalność poważną, to znaczy mającą wpływ na losy całego narodu. Wstąpił do Polskiej Partii Socjalistycznej i w ciągu paru lat ją przechwycił, co więcej – zmienił jej charakter z „klubowego” na czynny i z klasowego na niepodległościowy. W pierwszej kolejności pomógł stworzyć, a następnie przejął organ partii – „Robotnika”; po przejściu do działalności praktycznej – Wydział Techniczno-Bojowy, z którego w pewnym momencie uczynił podwójnie tajną „partię w partii”.

► Ewolucja PPS

Wyprzedzając nieco tok wywodów, powiedzcież można, iż presji materialnej, polityczno-ekonomicznej sytuacji Piłsudski przeciwstawił wolnościowy testament zapisany w literaturze romantycznej i w legendzie powstania styczniowego.

Pamiętamy, że rozbita w 1863 r. Polska nie tylko nie miała państwa, nie tylko nie miała armii, lecz także nawet nie знаła języka komend i dzięki umiejętnej propagandzie okupantów i kolaborantów gardziła militarystką. Lekceważyła brak własnego państwa i nie rozumiała świata wartości rycerskich. W skrócie można powiedzieć, że Piłsudski odbudowywał polską kulturę wojskową w oparciu o arcydzieło Sienkiewicza, czasem posiłkując się Słowackim. Do tej sprawy wrócimy dokładniej. Na razie spróbujmy wskazać kolejne momenty „ubożewienia” PPS.

W 1903 r. Piłsudski wprowadził zasadę rozporządzalności (dziś mówilibyśmy o „dyspozycyjności”) członków. Stopniowo do działań partii wprowadzano taktykę „drobnych manifestacji”, czyli jedno-, dwuminitowych demonstracji. Na ulicy pojawiała się grupa PPS, rozwijała sztandar, agitatorzy rzucali w tłum kilka antyrządowych haseł i znikali. Niby niewiele, ale w ten sposób i demonstranci, i tłum stopniowo uczyli się odwagi.

17–20 października 1904 r. odbyła się konferencja CKR PPS w Krakowie, podczas której Piłsudski przedstawił koncepcję „taktyki czynu”: „Zmartwychwstać może ona [Polska] tylko ofiarami, krwią, a nie wymigiwaniem się... Przejście do nowej taktyki jest koniecznością, nawet gdyby ta doprowadziła do powstania utopionego we krwi. Taniej to nas będzie kosztować niż dzisiejsza martwota”.

13 listopada na placu Grzybowskiem odbyła się manifestacja PPS – pierwsza zbrojna akcja od 1863 r., kiedy to właśnie w tym miejscu Rosjanie dokonali egzekucji czterech powstańców: Chojnickiego, Górskiego, Filkiewicza i Trzaski.

W 1905 r. w Krakowie powstała Szkoła Bojowa.

W okresie 1905–1906 zorganizowano trzy kilkutygodniowe kursy, które obejmowały takie przedmioty jak musztra, strzelanie, organizacja armii rosyjskiej, materiały wybuchowe etc. Ukończyło je około 100 bojowców, którzy sprawnością i determinacją znacznie przewyższali okupacyjnych żandarmów. Jednym z wykładowców był sam Piłsudski. Gdy niektórzy towarzysze z PPS zaczęli hamletyzować, powołując się na „Kapitał” Marksa, Piłsudski rzucił im w złości: „[...] prócz »Kapitału« Marksa znam książkę nie mniej doniosłą, a mianowicie »Trylogię«. Niech chłopcy z Organizacji Bojowej uczą się z niej strzelać do dwugłowego orła”.

3–11 marca 1907 r. w Wiedniu odbył się Zjazd PPS-Frakcji Rewolucyjnej. Józef Piłsudski przedstawiając poglądy na rolę i zadania bojówek na nowym etapie działań, stwierdził m.in., że dla dezorganizacji caratu konieczne jest umasowienie walki wśród „ludu pracującego”, tj. zorganizowanie własnej milicji. W resulta-

cie zjazd przyjął „ustawę sił bojowych”. Powstały pierwsze koła milicyjne PPS.

W 1908 r. PPS przeprowadziła największą z akcji ekspropriacyjnych – atak na pociąg i na stację w Bezdanach. Przed tym wydarzeniem Piłsudski wysłał list do Feliksa Perla, prosząc go o napisanie „ślicznego nekrologu [...] gdy mnie diabli wezmą”. Poza motywem materialnym, tj. koniecznością zdobycia „monety” na działalność niepodległościową, przedstawił głębsze motywy osobistego udziału w akcji: „Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest życie, żyć nie mogę, to ubliża – słyszysz! – ubliża mi jako człowiekowi z godnością nieniewolniczą. Chcę zwyciężyć, a bez walki, i to walki na ostre, jestem nie zapaśnikiem nawet, ale wprost bydłem, okładanym kijem czy nahajką... Tylem ludzi posłał na szubienicę, że w razie jeśli zgine, to będzie naturalną dla nich, dla tych cichych bohaterów, satysfakcją moralną, że i ich wódz nie gardził ich robotą”.

Akcję tę przeprowadził Piłsudski 26 września 1908 r. wraz z najlepszymi bojowcami – Prystorem, Sławkiem i Arciszewskim. Przyszły naczelnik dowodził całą akcją działań i z bronią w ręku prowadził atak na wagon pocztowy; dzięki groźbie wrzucenia bomby (był to bluff, Piłsudski nie miał nic prócz rewolweru) zdołał rozbroić ochronę wagonu pocztowego. Według oficjalnego komunikatu rządowego ukradziono 477 408 rubli i 84 kopiejki; Pobóg-Malinowski, opierając się na wspomnieniach uczestników, podawał sumę 200 lub 300 tys. rubli. Sprawę wyjaśnić można dość prosto: część pieniędzy wpłynęła do kasy PPS, część jednak poszła na budowę ZWC, o czym nie musieli wiedzieć nawet niektórzy przywódcy partyjni. Nie należy też zapominać, że po akcji stan kas badali rosyjscy urzędnicy – więc fachowcy. Najpierw dokradli dla zaokrąglenia straconej przez rząd kwoty, potem – więcej, by suma nie wyglądała na zaokrągloną...

W 1909 r. powstał tajny Związek Walki Czynnej, rok później – we Lwowie Związek Strzelecki, a w Krakowie – Towarzystwo „Strzelec”. Działyły one jawnie, a podlegały... tajnemu Wydziałowi ZWC. Piłsudski brał udział w ćwiczeniach, wykladał także strzelcom przedmioty wojskowe. Pod pseudonimem Z. Mieczysławski wydał w 1910 r. prace „Zadania praktyczne rewolucji w zaborze rosyjskim” i „Geografia militarna Królestwa polskiego”. W 1912 r. w krakowskiej Szkole Nauk Społeczno-Politycznych wygłosił cykl wykładów „Zarys historii militarnej powstania styczniowego”.

21 lutego 1914 r. w Sali Towarzystwa Geograficznego w Paryżu Piłsudski wygłosił odczyt, na marginesie którego przedstawił prawdopodobny przebieg wojny (zwycięstwo z zachodu na wschód) i wynikający z tego polski plan działania. Niemcy pobiją Rosję, lecz ulegną sojuszowi Francji i Anglii (może wsparciem

przez Amerykę) w związku z tym: „pierwsza faza wojny – jesteśmy z Niemcami przeciw Rosji. Druga, końcowa faza wojny – jesteśmy z Anglią i Francją przeciw Niemcom”.

W obliczu zbliżającej się wojny ogłoszone zostało „uwojskowanie partii”. Na bazie tajnych Kół Milicyjnych PPS oraz związków strzeleckich powstały w 1914 r. najpierw oddziały Strzelców, a następnie Legiony i tajna Polska Organizacja Wojskowa. To był załążek kadr oficerskich przyszłej armii.

Podczas wojny Piłsudski dowodził w polu żołnierzami I Brygady. Samouk wykazywał mistrzostwo najpierw w kilkudniowej szarży strzelców na Kielce, a potem w walkach pod Konarami; bitwa pod Kozinkiem (19 maja 1915 r.) ma coś z manewru napoleońskiego – na mniejszą skalę i w trudniejszych warunkach. Wspominam o niej, gdyż jej schemat – powiększony do wymiarów strategicznych – odnajdziemy w Operacji Warszawskiej, która miała miejsce kilka lat później.

Po zwolnieniu z twierdzy magdeburskiej Piłsudski stanął na czele wojska, dokonał scalenia różnych formacji, staczał wojny z siłami pięciu wrogich armii. Do wojny 1920 r. zmobilizował już cały naród. Etos rycerski doprowadził Polaków do zwycięstwa w Operacji Warszawskiej. Według lorda D'Abernona, brytyjskiego dyplomaty i polityka, była to 18. przełomowa bitwa w historii.

Ukoronowaniem wojskowej drogi Piłsudskiego było okrzyknięcie go marszałkiem Polski. Podkreślić należy słowo „okrzyknięcie”, nawiązujące do starego obyczaju – okrzykniętym został przecież Jarema Wiśniowiecki, gdy władza królewska i Sejm zwracały się do jego nominacji na hetmana. W podobnej sytuacji był Piłsudski.

Tak więc mianowanie na marszałka odbyło się 14 listopada 1920 r. wśród wojska na placu Zamkowym, buławę wręczał Piłsudskiemu kpr. Jan Żywek, VM, najmłodszy kawaler Krzyża Wirtuti Militari.

Charakter uroczysty, aczkolwiek jednorazowy miały obchody stulecia śmierci Napoleona – 5 maja 1921 r. – kolejne wielkie święto II RP. Ukrytym celem było wpisanie nowego, polsko-francuskiego sojuszu w starą, wspaniałą legendę. Celem jeszcze bardziej ukrytym – wpisanie w nią samego Piłsudskiego – nowego Napoleona. Trzy miesiące po tych obchodach odbyły się uroczystości 5 sierpnia 1921 r. na Cytadeli. W rocznicę stracenia Traugutta i czterech członków Rządu Narodowego odbyła się wspólna defilada żołnierzy różnych formacji, także peowiaków i legionistów. Piłsudski, który już wcześniej wydał rozkazy oddawania honorów uczestnikom powstania styczniowego, teraz udekorował krzyżem Wirtuti Militari 10 weteranów tamtych walk, wśród nich Mariana Dubieckiego, Be-

nedykta Dybowskiego, Bolesława Limanowskiego i Aleksandra Kraushara. To święto kończyło historię nieudanych walk o niepodległość. Nazajutrz, 6 sierpnia, odbyły się obchody rocznicy wymarszu I Kompanii Kadrowej. To święto przypominało początek walk prowadzących do zwycięstwa. I tylko ono weszło na stałe do polskiego kalendarza. Potem do rocznic tych zwycięstw doszło jeszcze Święto Żołnierza obchodzone 15 sierpnia, na pamiątkę zwycięstwa pod Warszawą. Ogólnopaństwowy charakter miały także obchody Święta Niepodległości – 11 listopada i Konstytucja 3 maja, a także... Święto Morza (28 czerwca).

Piłsudski zauważył kiedyś, że „w Polsce za mało obchodzi się rocznic wielkich zwycięstw odniesionych w naszej historii, a za dużo sentymentalizmu łączy nas z rocznicami tragicznymi”. Próbuje naprawić to skrzywienie, wprowadził w życie cywilne zwyczaj uroczystego obchodzenia świąt pułkowych – ich daty przeważnie upamiętniały zwycięstwa tych pułków. Programowo apolityczne wojsko (może nie tyle apolityczne co apartyjne) miało być spoiwem społeczeństwa, piłsudscy zaszczepiali Polsce kult wojska i wartości wojskowych – niezależnych przecież od religii czy partii – wartości takich jak honor, patriotyzm, lojalność, wierność słowu itd.

W czasie pokoju jaki nastał po wojnie i po III powstaniu śląskim, zaczęły dochodzić do głosu wartości mieszczańskie, nawet sklepikarskiej etyki endeków i pokrewne im wartości awansującej do władzy pazernej warstwy chłopskiej. Widziany w tej perspektywie rokosz 1926 r. jest walką etosu rycerskiego z systematami wartości warstw niższych.

► Budowa struktur wspólnotowych

To zaczęło się jeszcze w szkole. Wbrew legendzie nie Józef Piłsudski organizował Spójnię, istniała wcześniej, w tej szkole rządził taki genius loci, to był przecież Uniwersytet Mickiewicza i jego „promienistych”. Ale „Ziuk” Piłsudski nadał Spójni nową dynamikę, przejął jej kierownictwo, organizował spotkania, kierował tajną biblioteką, szykował (ostatecznie nieprzeprowadzoną) akcję ulotkową wśród żołnierzy rosyjskich. Na modelu młodzieżowej organizacji uczył się dorosłego życia politycznego.

Kolejna strukturą, którą Piłsudski przejął, była PPS. Była już mowa, jak to kółka partyjne przypominające dyskusyjne kluby dla ubogich przerobił na jednolitą, zdyscyplinowaną organizację, wprowadził regułę „rozporządzalności”, zaczął pilnować składek i wynagrodzeń, zorganizował sieć melin. Akcja szkoleń i „polityki czynnej” zaowocowała systemem grup bojowych i wyspecjalizowanych (technika, kolportaż, prelegenci).

W efekcie kilkunastu lat ciężkiej, do tego konspiracyjnej pracy powstało państwo podziemne PPS – na wzór Polski podziemnej Traugutta.

Najważniejszymi jego strukturami były: prasa partyjna, skarb (od 1912 r. Polski Skarb Wojskowy z Bolesławem Limanowskim na czele) i grupy paramilitarne. Piłsudski stworzył ruch jawno-tajny: piłsudczycy mówili obrazowo o grze na dwóch fortepianach. Jawnie działało wydawnictwo Książka, choć część jego produkcji była tajna, do propagandy niepodległościowej wykorzystywana była prasa PPS, ale także prasa niezależna od partii (np. PPSD), czasem prasa emigracyjna; Szkoła Bojowa działała nielegalnie – ale bez przeszkód ze strony austriackiej „ewidencji”; w 1909 r. powstał tajny Związek Walki Czynnej, który w 1910 r. „wypączkował” jawne przybudówki „strzeleckie” – Związek Strzelecki we Lwowie i Towarzystwo Strzelec w Krakowie.

► Komisariaty WP

Wybuch wojny stworzył nową sytuację i nowe możliwości. Piłsudski jednak dalej zachowywał dwutorowość działań: Strzelcy i Legiony działały jawnie, współpracowały z Austriakami, lecz na trasie ich marszów metodą faktów dokonanych powstawały Komisariaty Wojska Polskiego. Były to ekspozytury tajnego Rządu Narodowego, dodajmy: ekspozytury rzeczywiste, działające podczas gdy ów rząd jest fikcją. Ich manifestem i podstawą prawną była rozlepiana na murach „Odezwa Komendy Głównej Wojsk Polskich”, w której Rząd Narodowy wzywał do tworzenia Wojska Polskiego: „Wojsko rosyjskie opuszcza nasz kraj [i] nie powróci już do Polski” – zapewniała odezwa. „W postaci Rządu Narodowego wstępują na ziemię naszą – od tyłu lat przez moskalsą przemocą wygnane – Prawo, Ład, Spokój, Bezpieczeństwo”.

Precyzując: komisariaty były na pozór cywilnymi organami ruchu piłsudczykowskiego, ale wydzielonymi częściowo spośród „strzelców”, częściowo z tajnej PPS. Jako pierwszy – jeszcze bez nazwy – powstał urząd polski w Słomnikach, na jego czele stanęło dwóch naczelników: cywilny – Bogusław Kowalski, wojskowy – Kazimierz Kamiński. Żeby było dziwniej, to ten cywilny komisarz był związany z PPS, wojskowy był malarzem.

Tuż potem w Miechowie powstał I Komisariat Wojsk Polskich, wzorowany na komisariatach z 1863 r. (przecież komisarzem Rządu Narodowego w powiecie kowieńskim był ojciec przyszłego naczelnika – Józef Wincenty Piłsudski!). Pierwszym komisarzem w Miechowie został Stanisław Tor – uczestnik wspomnianej już walki PPS na placu Grzybowskim. Zorganizowano tutaj pierwszy oddział milicji polskiej liczą-

cy początkowo 12 ludzi. Jedną z pierwszych inicjatyw nowych władz była rozbiórka cerkwi prawosławnej stojącej na głównym placu miasta.

Komisarzem na Jędrzejów został Emil Bobrowski z galicyjskiej PPSD – lekarz, poseł do austriackiego sejmiku, prezes „Strzelca” na krakowskim Podgórzu.

Władzę komisarską w Książu Wielkim objął Jerzy Żuławski – filozof, poeta, prozaik, dramaturg („Eros i Psyche”), twórca polskiej literatury SF – autor m.in. powieści „Na srebrnym globie”.

Komisarzem na Starachowice i Ostrowiec został Stanisław Siedlecki. Komisariat w Ostrowcu wydał pierwszy wyrok na pierwszego szpiega – Abrahama Racimorę. To, że szpiegował na rzecz Rosji i że go powieszono, to rzecz mało ważna, aczkolwiek sprawiedliwa. Naprawdę ważny był symbol: manifestacja suwerenności prawnej na polskim terenie. Szpieg został ukarany nie tylko za szpiegostwo, lecz także za zdradę.

Kielce objął w komisaryczną władzę Michał Sokołnicki z PPSD. Zaliczył on wspaniały sukces werbunkowy: podczas akcji prowadzonej w Kielcach od 22 sierpnia do 10 września do oddziałów Piłsudskiego zgłosiło się 945 ochotników!

► PON i TRS

Wobec wiszącej nad tymi – pierwszymi od 1831 r. – organami polskiej władzy groźby ich likwidacji, Piłsudski stworzył legalne Komisariaty Polskiej Organizacji Narodowej. Organizacja ta miała być oparciem dla legionowej akcji zbrojnej i zawiązką „samoistnego ustroju polskiego narodu”. PON powstała we wrześniu 1914 r., a już w październiku jako jej tajne dopełnienie powstała Polska Organizacja Wojskowa.

Odnosić także należy okres jawnego działania piłsudczyków. 6 grudnia 1916 r. ogłoszono (datowane na 6 listopada) powołanie Tymczasowej Rady Stanu. Przewodniczącym, czyli marszałkiem wielkim koronnym, mianowany został Władław Niemojewski, Piłsudski objął Referat Wojny. Był to organ doradczy, zależny od władz okupacyjnych, niemniej dysponujący w wielu dziedzinach autonomią. Działalność TRS nie trwała długo, zaczęła się domagać ustanowienia regenta, chciała przejąć szkolnictwo i sądy – w końcu podała się do dymisji. (Piłsudski zrobił to wcześniej i wywołał tzw. kryzys przysięgowy). Mimo tej łatwej do przewidzenia klęski, TRS odegrała sporą rolę w uczeniu Polaków samorządności. Za okazany wówczas brak lojalności Piłsudski znalazł się w twierdzy magdeburgskiej – niemniej ruch stworzony przez niego istniał i działał. W 1918 r. jawnie funkcjonująca następczyni Legionów PSZ („Polskiego Wehrmachtu”) i wychodzący z podziemia POW, i działająca w ośro-

kach przemysłowych Milicja PPS stały się do walki o niepodległość.

► Pokój, czyli inne formy walki

Polacy nie otrzymali niepodległości w prezencie jak kilka innych państw, zapłacili za nią krwią tysięcy ludzi. Klęska wszystkich trzech zaborców stanowiła okoliczność sprzyjającą tej walce, lecz do odbudowania Polski potrzebna była własna siła, która opanuje teren przyszłego państwa. Dlatego tak ważną kwestią stała się militaryzacja narodu. Po wywalczeniu niepodległości piłsudscy zostali główną siłą organizującą Rzeczpospolitą. Z trzech prowincji stanowiących w państwach zaborczych obszary peryferyjne, zaniedbane ekonomicznie i kulturowo, stworzono państwo homogeniczne cywilizacyjnie i prawnie, państwo z własnym centrum, jednolitą gospodarką, transportem i łącznością, rozpoczęto nacjonalizację przemysłu i finansów, a także reformę rolną. Oczywiście naczelnik państwa nie wykonywał wszystkich tych prac osobiście, miał do dyspozycji cały aparat władzy, tysiące żywych, mądrych i oddanych sprawie narzędzi – niemniej tworzył Polskę według swojej wizji i ponosił za tę twórczość odpowiedzialność. Po rywalizacji wojennej nie następował harmonijny pokój tylko kolejny okres rywalizacji. Mówił o tym Piłsudski podczas spotkania w Poznaniu 26 października 1919 r.: „Idą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy. Jest on teraz, jak przedtem był wyścig żelaza, jak przedtem był wyścig krwi. Kto do tych zawodów bardziej przygotowany będzie, kto w tym wyścigu większe dowody wytrzymałości złoży, ten w najbliższych czasach będzie zwycięzcą, ten potrafi utrzymać to, co zyskał, albo odrobić to, co stracił”.

Celem była nadal niepodległość – zmieniał się rodzaj broni, walkę zastępowała praca. Jakość i godność pracy były zawsze troskami PPS. Nic dziwnego, że po 1918 r. piłsudscy zajęli się unikalną w skali świata reformą pracy. Dekretem naczelnika państwa Józefa Piłsudskiego 3 stycznia 1919 r. powołana została Państwowa Inspekcja Pracy. Rangą dorównywała Głównemu Inspektoratowi Sił Zbrojnych. Do jej trosk należały także sprawy bezrobotnych, kobiet, zakazana została praca dzieci. Głównym inspektorem pracy został przejściowo inż. Franciszek Sokal (minister pracy w działającym tydzień prowizorium Władysława Wróblewskiego), jego następcą Marian Klott – bojowiec PPS, działacz POW, podczas I wojny więziony przez Niemców, po II wronie – przez komunistów. Płatał swoje stanowisko do wybuchu II wojny światowej. Ciągłym dalszym działaniem zmierzającym do poprawy jakości pracy i życia pracujących była reforma ubezpieczeń przeprowadzona w 1934 r. – jeszcze pod

okiem Piłsudskiego. Z kilku różnych instytucji stworzono Zakład Ubezpieczeń Społecznych.

► Nadbudowa polskiego sacrum

Fragment mówiący o wyścigu żelaza i o wyścigu pracy to jeden z najczęściej przywoływanych cytatów Piłsudskiego. Mniej popularny, a równie ważny, jest kawałek przemówienia naczelnika wygłoszonego w Chełmie 11 stycznia 1920 r.: „Polska idzie w purpurze chwały i zwycięstwa, a otoczyć się musi purpurą światłości i doskonalenia się wewnętrznego. Tak jak Polskę całą wzywam i was do podjęcia pogodnej pracy rozwojowej, gdyż musimy wznieść się na jak najwyższy poziom kultury, aby z dorobku naszego mogli korzystać i dalsze tereny, by mogli czerpać pełną garścią światło i wszelką pomoc”.

Oprócz wyścigu pracy czekał nas wyścig kultury i oświecenia. Wspomnieć więc trzeba o pracy Józefa Piłsudskiego przy budowie sfery najwyższej – pamiętając, iż najpierw był terminatorem, potem dopiero mistrzem. W świat najwyższych wartości był Piłsudski wtajemniczany od dzieciństwa – poprzez rodzinne opowieści o powstaniu 1863 r. i poprzez wieczory poświęcane literaturze narodowej. Matka przyszłego marszałka najbardziej ceniła Krasieńskiego, on – Słowackiego, którego wiele wierszy umiał na pamięć. Znał też całego „Beniowskiego” oraz duże fragmenty „Króla Duchy”, jak również wiele utworów Mickiewicza. W przyszłości ich cytatami zdobił swoje przemówienia. Jako przywódca PPS zaangażował się w 1998 r. w obchody 100. rocznicy urodzin poety – by niejako odebrać je zaborcom. Ważną rolę w wychowaniu duchowym Piłsudskich odegrały też „Śpiewy historyczne” Niemcewicza – nie tylko przypominały historię, lecz także ją swą formą udostojniały, zamieniały w legendę. W tej legendzie Piłsudski mieszkał w dzieciństwie, w nią uzbrojony wyszedł w świat.

Po rozpoczęciu nauki w I Gimnazjum Wileńskim, Józef i jego brat Bronisław rozpoczęli działalność w tajnej grupie Spójnia. W oparciu o księgozbiór jednego z kolegów, Witolda Przeglasińskiego, i po zasileniu go książkami Piłsudskich, zorganizowano „latającą bibliotekę”, która stała się jednym ze źródeł patriotycznej wyobraźni. Z literatury legalnie dostępnej skarbnica wartości okazała się „Trylogia”, którą w latach 1883–1884 drukowało wileńskie „Słowo”. Bohaterowie Sienkiewicza stali się bohaterami młodych konspiratorów i towarzyszyli im później, w wieku dojrzałym.

Na ogół nie docenia się faktu, że to Piłsudski przekonywał i ostatecznie przekonał działaczy PPS do roli literatury i do zrozumienia wpływu kultury (a nie tylko ekonomii) na życie społeczne. Na przekór dominu-

jącej w socjalizmie doktrynie od początku podkreślał (na przykład w 1896 r. w 19. numerze „Robotnika”), iż literatura jest najpotężniejszą dźwignią rozwoju społecznego. Rozumieją to władze zaborcze i dlatego literatura polska tak jest uboga „pod opieką” carską. Jedną z najważniejszych przeszkód dla rozwoju ruchu (socjalistycznego) jest niska kultura ludu, dlatego praca na tym polu jest warunkiem „być albo nie być” społecznej rewolucji. Dlatego równolegle do „Strzelca” piłsudscy założyli towarzystwo „Książka”, dlatego też sam Piłsudski włączył się w prace literackie, tworząc w „Bibułę”, legendę prawdziwą PPS.

Piłsudski próbował także wciągnąć w pracę ludzi kultury. W zasięgu PPS znaleźli się Żeromski, a nawet i Wyspiański. Ten drugi na rzecz PPS przeznaczył w 1905 r. litografię ze swym hymnem *Veni creator*. Docelowo miało być tego 100 tys. sztuk, ile zrobiono – historia nie przekazała. Piłsudski namawiał także Stanisława Witkiewicza do pisania o Legionach – plany zniweczyła niestety śmierć pisarza w 1915 r. W kręgu legendy PPS i Legionów znaleźli się – bez namawiania – tacy twórcy jak Orkan, Kaden-Bandrowski, a z poetów Broniewski i wszyscy skamandryci. Dopełnieniem ich dzieł były rzeźby Laszczki czy Wittiga, obrazy Malczewskiego, Krzyżanowskiego, Kossaka i wielu innych twórców.

Najważniejszy jednak był Sienkiewicz. I naprawdę nie miało znaczenia, iż sam pisarz nie chciał czynnie popierać piłsudczyków – uczynili to wszyscy jego bohaterowie, poniosła ich na skrzydłach sienkiewiczowska legenda.

Wpływ autora „Trylogii” (i „Legionów”!) na przyszłego marszałka nie ograniczył się do werbalnych deklaracji. Na jego bohaterach wzorował też swoje zachowanie. Do legionowych legend przeszła przeprawa z Opatowca przez Wisłę – 23 września 1914 r. Piłsudski odpłynął na ostatnim pontonie, można powiedzieć jak kapitan okrętu, można powiedzieć – jak Skrzetuski na Dnieprze.

Sienkiewiczowski z ducha był marsz przez Ulinę Małą, który Piłsudski opisał w szkicach „Moje pierwsze boje”. Wspomina tam, że gotów był prowadzić swych żołnierzy nawet w Tatry i w ich scenerii stoczyć ostatnią wielką bitwę – hekatombę. Ten opis był przeniesieniem wspomnianych wydarzeń w legendę.

Atmosfera „Trylogii” panowała też na Reducie Piłsudskiego na Wołyniu. Piłsudski przechadzał się po umocnieniach niby Jarema na murach Zbaraża – i też „nie kłaniał się kulom”. A legioniści – niczym obrońcy Kamieńca – słyszeli nocą głucho, złowrogo uderzenia i przekonani, że wróg podkopyje się pod ich pozycje, zaczęli drażnić kontrapodkop...

Sienkiewiczowski był też w końcu „bunt” generała Żeligowskiego. Jego natchnieniem mogły być instruk-

cje Chmielnickiego, który już podczas pertraktacji z Polakami kazał Krzywonosowi „bez wiedzy” swojej zajmować jak najwięcej ziem.

Marszałek wzorował się nie tylko na bohaterach Sienkiewicza. Wyprowadzając bieg wydarzeń, przywołajmy scenę z 28 czerwca 1923 r. Tego dnia Piłsudski zrzekł się ostatniej swej funkcji państwowej – szefostwa Ścisłej Rady Wojennej. Otwierając posiedzenie, oświadczył, że ma ono tylko jeden punkt – zdanie służby przewodniczącej przez siebie – i posiedzenie zamknął. Ta scena też ma pierwowzór: wielką scenę koronacyjną z „Kordiana”, podczas której car mówi tylko jedno słowo: „Przysięgam”...

► Odwrócenie ról

Można powiedzieć, że początkowo legendy posługiwały się Piłsudskim, wpisywały jego życie w przygody Filomatów i carobójców, potem w los zesłańca Sybiru i więźnia Cytadeli. Piłsudski uczestniczył w nieudanym spisku carobójców, potem w próbie buntu w więzieniu, jeszcze później – uciekł z więzienia. Jako przywódca podziemnej PPS był jakby nowym Trauguttem – i tutaj następuje pierwsza korekta legendy: Piłsudski jest Trauguttem który nie ginie, który nawet ucieka z więzienia. Ta zmiana ma też charakter ilościowy: Traugutt był naczelnikiem przez siedem miesięcy; Piłsudski – ponad 10 lat, bo po maju 1926 r. de facto wrócił na najwyższy urząd w państwie.

Powiedziałem, że najpierw legendy posługiwały się Piłsudskim. Możemy wskazać moment, od którego Piłsudski świadomie zaczął posługiwać się legendami. Poświadczony jest co do dnia: około godziny 14. 6 sierpnia 1914 r. rozpoczęło się nadzwyczajne posiedzenie Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, w czasie którego Józef Piłsudski poinformował zebranych o powołaniu Rządu Narodowego w Warszawie, któremu się podporządkował. Komendant zażądał „od KSSN do tego fait accompli”, a Komitet jednogłośnie wyraził zgodę na rozpoczęcie kroków wojskowych oraz gotowość porozumienia się z Rządem Narodowym.

W rzeczywistości żaden Rząd Narodowy nie istniał. Piłsudski sam pisał o tym po latach: „[...] zajęty więc byłem parę dni obmyślaniami politycznej barwy, z którą mogę wystąpić. Zatrzymałem się wreszcie nad jedynym możliwym projektem spróbowania przynajmniej na czas pewien postawienia siebie w zależności od nieistniejącego wcale tajnego Rządu Narodowego w Warszawie. Gdy przebiegałem listę osób, którym mógłbym do tego celu użyć, zrzekałem się od razu myśli i próby urzeczywistnienia tego projektu, gdyż miałbym zawsze do czynienia z ludźmi tak dalece wahającymi się i tracącymi głowę w każdej okoliczności,

że właściwie musiałbym robić wszystko za nich [...]. Dlatego wolałem tajną i daleką od Krakowa fikcję niż cokolwiek innego”.

Tak więc po zakończeniu posiedzenia KSSN Piłsudski spotkał się ze swymi współpracownikami. Leonowi Wasilewskiemu polecił napisać odezwę Rządu Narodowego. Tekst był bardzo krótki: „Polacy! Podajemy do wiadomości następującą odezwę Rządu Narodowego: Polacy! W Warszawie utworzył się Rząd Narodowy. Obowiązkiem wszystkich Polaków skupić się solidarnie pod jego władzą. Komendantem polskich sił wojskowych mianowany został ob. Józef Piłsudski, którego rozporządzeniem wszyscy ulegać winni. Rząd Narodowy, Warszawa, 3 sierpnia”. Stanisław Siedlecki, późniejszy senator RP, scyzorykiem w miękkim kamieniu wydłubał „pieczętą z orłem i odpowiednim napisem”.

Odezwę uzupełniała proklamacja napisana również przez Wasilewskiego, a podpisana przez „Komendanta Głównego Wojska Polskiego Józefa Piłsudskiego”. Napisano w niej: „Wybiła godzina rozstrzygająca! Polska przestała być niewolnicą i sama chce stanowić o swoim losie, sama chce budować swą przyszłość, rzucając na szalę wypadków własną siłę orężną. Kadry armii polskiej wkroczyły na ziemię Królestwa Polskiego, zajmując ją na rzecz jej właściwego, istotnego, jedynego gospodarza – Ludu Polskiego, który ją swą krwawicą użyźnił i wzbogacił. Zajmując ją w imieniu władzy naczelnej – Rządu Narodowego, niesiemy całemu Narodowi rozkucie z kajdan, poszczególnym zaś jego warstwom warunki normalnego rozwoju. Z dniem dzisiejszym cały Naród skupić się winien w jednym obozie pod przewodnictwem Rządu Narodowego. Poza tym obozem pozostaną tylko zdrajcy, dla których potrafimy być bezwzględni”.

Od tej pory ruch piłsudczykowski zaczął się wpisywać najpierw w legendę strzelców z 1863 r., następnie w legendy legionów – Dąbrowskiego, ale i Mickiewicza. Pod koniec wojny naczelnik powtórzy losy uwięzionego w twierdzy wrogów Kościuszki, w 1920 r. – dwie zwycięskie legendy na raz: Chrobrego poprzez wyprawę kijowską i Sobieskiego przez zatrzymanie najazdu barbarzyńców.

W tym miejscu trzeba wspomnieć o niezrealizowanym pomysłe szarzy polskiej, wyprawie kawalerii na Połock, aby odebrać bolszewikom narażone na profanację szczytki błogosławionego Andrzeja Boboli. Niestety, pilniejszy był zagon na Korosteń dający wyjście i na Kijów, i na Odesę, i taki, pod dowództwem zwycięzcy z Komarowa, pułkownika Juliusza Rummla, został zwycięsko przeprowadzony. Ta szarża przekonała bolszewików, którzy wciąż kombinowali, jak oszukać i nas, i świat – że jednak marzą o pokoju. Potem nastąpił rozejm, sprawę Boboli oddano dyplomacji.

► Powrót Króla Ducha

Największym, wzorcowym świętem II Rzeczypospolitej były inicjowane i dogładane przez marszałka uroczystości sprowadzenia do Polski prochów Juliusza Słowackiego.

O sprowadzeniu zwłok poety przemysłowano niemal nazajutrz po zdobyciu niepodległości. Sprawa się jednak przeciągała – po części z powodu oporów kardynała Sapiehy, który uważał, że Wawel jest i musi pozostać zbiorowym grobowcem dawnych władców. Sprawy ruszyły z miejsca dopiero po przewrocie majowym, opór Sapiehy przełamał odręczny list Piłsudskiego do kardynała.

24 kwietnia 1927 r. Sapieha wystosował pismo, w którym udzielił zgody na pochówek poety: „[...] szczęśliwy jestem, że mogę dziś przesłać [...] moją zgodę stanowczą na złożenie zwłok naszego wielkiego poety w podziemiach Katedry na Wawelu, powtarzając raz jeszcze, że czynię to wyjątkowo i że odtąd groby zasłużonych tamże będą zamknięte”. Ostatnie zdania mógłby sobie darować.

Uroczystości zaczęły się w Paryżu. 14 czerwca na paryskim cmentarzu Montmartre o ósmej rano dokonano ekshumacji zwłok poety. W kalendarzu życia i twórczości Słowackiego znajduje się relacja konsula generalnego RP Karola Poznańskiego: „Grabarze wyjęli z grobu i ułożyli na prześcieradle czaszkę Słowackiego; była nienaruszona, miała wszystkie zęby (patrzac na jej fotografię, widzę, że jedynie w górnej szczęce brak kilku); na czaszce czupryna nienaruszona, dawała się zdejmować jak peruka. [...] Jak się okazało, w grobie było bardzo niewiele części szkieletu, poza czaszką – jedna tylko dobrze zachowana kość piszczelowa, ponadto zaledwie około 25 drobnych kości, których nie potrafiliem rozpoznać z punktu widzenia anatomicznego. Z grobu wydobyto też jedną długą bardzo grubą skarpetę; pomimo że przeleżała w grobie 78 lat – można było rozpoznać, że była z białej wełny. Byłem zdziwiony, że zachowała się tak nieznaczną część szkieletu. Kazałem dalej kopać w grobie, nic już więcej nie znaleziono. Wszystko, co pozostało po Słowackim, można było zawinąć w jedną serwetkę [...]. W pobliżu grobu, pod zaimprovizowanym namiotem, ustawiony był stolik. Na tym stolikułożyłem czaszkę Słowackiego. Do stolika podszedł prof. Papillon, antropolog, i przystąpił do pomiarów czaszki. Trwało to dość długo. Po skończonej pracy prof. Papillon oświadczył mi, że gdyby nie wiedział, że jest to czaszka trzydziestokilkuletniego mężczyzny, doszedłby do wniosku, że jest to czaszka dziecka, tak drobnej, filigranowej była budowy”.

Szczytki poety złożono do małej trumny w kształcie skrzyneczki i przewieziono do Cherbourga, skąd transportowcem wojennym „Wilia” dotarły do Pol-

ski. Wartę przy trumnie pełnili m.in. poeci Lechoń i Oppman (Or-Ot). Gdy 20 czerwca „Wilia” zbliżyła się do wybrzeży Polski, na jej spotkanie wypłynęło kilka okrętów. Na wysokości Helu uformowała się eskorta, prowadził torpedowiec „Mazur”, za nim płynęła „Wilia” oskrzydlona przez towarzyszące jej trawlerzy „Rybitwa” i „Jaskółka”. Po uroczystościach w Gdyni trumnę przeniesiono na pokład torpedowca „Mazur”, który przetransportował ją na Westerplatte. Po przeniesieniu trumny na statek wiślany „Mickiewicz”, kondukt popłynął w górę Wisły. Później do Warszawy trwała prawie tydzień, gdyż statek zatrzymywał się w Grudziądzu, Toruniu, Włocławku, Płocku, Wyszogrodzie, Modlinie – wszędzie ludność składała hołd prochom wieszczu. 26 czerwca statek przybił do przystani w Warszawie, skąd kondukt przeszedł do katedry świętego Jana, gdzie wystawiono ją na widok publiczny. Następnego dnia o ósmej rano kardynał Aleksander Kakowski odprawił uroczystą mszę, po której trumnę poety odwieziono zaprzężonym w osiem koni szkarłatnym rydwanem na Dworzec Główny. Stąd – już po cięgiem – przewieziono do Krakowa. Pociąg zatrzymywał się na dłużej w Skierniewicach, Kolszkach, Piotrkowie Trybunalskim, Radomsku, Częstochowie, Zawierciu, Sosnowcu i Katowicach, mijając inne większe stacje – zwalniał bieg.

Trumnę wystawiono na całą noc w Barbakanie zamienionym na kaplicę – pośród wart honorowych i pochodni. 28 czerwca rozciągnięty na kilka kilometrów pochód odprowadził szczątki poety na Wawel, gdzie odbyła się główna ceremonia. Kazanie wygłosił ksiądz biskup Godlewski, a poświęcenia szczątków dokonał biskup Sapieha. Przemówienie wygłosił marszałek Piłsudski, który kończąc, zwrócił się do otaczających trumnę oficerów: „W imieniu Rządu Rzeczypospolitej polecam Panom odnieść trumnę Juliusza Słowackiego do krypty królewskiej, bo królom był równy”.

Przy akompaniamentem Dzwonu Zygmunta prochy Słowackiego zostały złożone obok Adama Mickiewicza. Uroczystości zakończyła salwa 101 strzałów armatnich.

Sakralny i socjalny wymiar trwających dwa tygodnie wędrówek prochów Słowackiego przez Polskę uchwycił trafnie sprawozdawca „Ilustrowanego Kuryera Codziennego”: „Wrażenie galowego przedstawienia, podobnie jak i całego uroczystego dnia wczorajszego, zwłaszcza na delegatach ludności z poza Krakowa, było niezwykle podniosłe. Wspaniały i poważny pochód na Wawel, galowe przedstawienie w teatrze, wreszcie »Wianki« odbywające się wieczorem nad Wisłą, złożyły się na program uroczystości dostojnej i podniosłej, która na uczestnikach pozostawi niezatarte wrażenie i stworzy nowe ogniwo w łańcuchu miłości braterskiej, łączącej wszystkich Polaków”.

Pogrzeb Słowackiego stał się takim ogniwem. Kilka lat później następnym ogniwem takim był pogrzeb Józefa Piłsudskiego.

Do refleksji dziennikarza „Kuryera” dopisać trzeba kilka zdań. Pogrzeb Słowackiego w ogóle nie był pogrzebem. Była to raczej próba wyrwania poety śmierci. Poeta wyrwany ziemi, wędruje najpierw przez morze, potem rzeką i kolejną przez kraj – jak władca obejmujący we władanie swoje królestwo. Okręty oddają mu cześć na morzu, kondukt na ziemi, w odwiedzanych miastach odbywają się msze, akademie, procesje. Piłsudski stworzył nowe sacrum, ale nie było to sacrum wrogie religii, nawet nie jest konkurencyjne. To sacrum religijne stało się częścią tych obchodów.

Podobnie było za lat kilka z samym Piłsudskim. Został zabalsamowany i złożony na Wawelu – i tam – jakby nie umarł, jakby miał czekać – podobnie jak Czekała rycerze w jaskiniach Tatr. Nawet komuniści nie wygrali z jego legendą.

► Ostatnie świąteczne wynalazki marszałka

6 października 1933 r. odbyły się największe w naszych dziejach obchody rocznicy zwycięstwa: 250-lecie odsieczy wiedeńskiej.

Na podkrakowskich Błoniach odbyła się defilada dwunastu pułków kawalerii, niemająca – jak podkreślała prasa – równych sobie w historii. Następnie udano się na Wawel do katedry, gdzie cała generałicia z marszałkiem Piłsudskim na czele oddała hołd Janowi III. Piłsudski złożył wizytę kardynałowi Sapieżu. Marszałek mówił o grobach wawelskich, pół żartem wspominał, że może i dla niego znajdzie się wśród nich miejsce. Pół żartem i całkowicie serio. Warto wspomnieć, iż podczas bankietu prócz toastu za jazdę polską wznieślono wiwat na chwałę Turcji, w uznaniu jej wieloletniej postawy wobec Rzeczypospolitej (pomocy uchodźcom i obecnie podważanego przez ekspertów nieuznania rozbiorów).

Elementem państwowego sacrum stała się też postać marszałka. Piłsudski pojawiał się coraz rzadziej, tylko na najważniejszych uroczystościach, przemawiał, dekorował zasłużonych. Półoficjalnie, ale jako święto państwowe, obchodzono imieniny marszałka, jego podobizny zaczęły ozdabiać ściany szkół, srebrne monety, także znaczki pocztowe. W 1934 r., 6 sierpnia rozpoczęto na krakowskim Sowińcu budować Kopiec Piłsudskiego. Jeszcze za życia, choć już blisko śmierci. Kreacja łączyła się z autokreacją, a obydwie dobiegały końca.

Piłsudski umarł 12 maja 1935 r. Dwa dni po zgonie znaleziono kartkę-testament zaczynającą się od słów: „Nie wiem, czy nie zechcą mnie pochować na Wawelu... Niech!” I dodawał: „Niech tylko moje serce wtędy zamknięte schowają w Wilnie, gdzie leżą moi żołnierze”. Tak się stało. ■

Małgorzata Matuszak



Hakerzy genów

Do międzynarodowego prawodawstwa wpisuje się współcześnie zapisy zakazujące ingerencji w genom ludzki w celach innych niż lecznicze, nie zezwala się również na klonowanie, tworzenie chimer czy hybryd. Prawo nie nadąża jednak za osiągnięciami nauki. A wizja potencjalnych korzyści, jakie można by czerpać z tego typu działań, jest, niestety, niezwykle kusząca...

Nauka się rozwija, a jej postęp wprawia często w zdumienie. To, o czym kiedyś mogliśmy tylko przeczytać w literaturze science fiction i obejrzeć w filmach z tego gatunku, staje się dzisiaj rzeczywistością. Czasami, niestety, przerażającą. Prawdą jest, że rozwój nauki przyczynia się do powstawania nowych metod leczenia różnych chorób, także tych, wobec których medycyna do tej pory wydawała się bezradna. Istnieje jednak „druga strona tego samego”, która może niepokoić, a czasami nawet przerażać. Niestety, ten, kto ma wątpliwości, zostaje często uznany za malkontenta obawiającego się postępu i niecierzącego się z odkrycia nowych możliwości, które zaoferować może współczesna nauka. A te są duże, coraz większe – to prawda. Niektóre działania przypominają jednak „zabawę w Boga Stwórcę”, a ich skutków nie są w stanie w pełni oszacować nawet ci, którzy się ich podejmują.

► Ludzko-świńska chimera

W latach 20. XX wieku radziecki uczony Ilija Iwanow chciał stworzyć humpansa, hybrydę będącą krzyżówką człowieka i szympansa. Jego eksperymenty były przez wiele lat utrzymywane w tajemnicy, wyszły na jaw dopiero po upadku Związku Radzieckiego. Swych obserwacji Iwanow nigdy nie opublikował, wiadomo jednak, że najpierw próbował w warunkach afrykańskiego buszu inseminować szympanse ludzkimi plemnikami, później do Rosji przywiózł orangutana i szukał wśród kobiet ochotniczek, które chciałyby z nim zająć w ciążę. Nic z tego badań nie wyszło, napotkał bowiem naturalne bariery, które chronią przed międzygatunkowym zapłodnieniem.

Dzisiejsi naukowcy nauczyli się tworzenia hybryd bardziej wyrafinowanymi sposobami. Opanowali manipulowanie zarodkami. Potrafią doprowadzić do tego, by w organizmie jednego zwierzęcia rozwijały się organy drugiego – z blastocysty, czyli grupy komórek na bardzo wczesnym etapie rozwoju zarodka, usuwają komórki odpowiedzialne za rozwój danych organów i następnie zastępują je komórkami macierzystymi innego gatunku. W ten sposób udało im się stworzyć na przykład mysz z sercem szczura czy też szczura z trzustką myszy. Teraz poszli dalej. Niedawno świat obiegła informacja o tym, że w laboratorium amerykańskiego Salk Institute for Biological Studies została wyhodowana chimera człowieka i świni w stadium embrionalnym. Wykorzystując pewien typ ludzkich komórek macierzystych, stworzono zarodki świni, w których rozwijał się ludzki organ. Nie było to la-

twe. Na ponad 2 tys. świńskich embrionów, do których wprowadzono ludzkie komórki, jedynie 186 dalej się rozwijało, ale trwało to nie dłużej niż 28 dni. Jeden z badaczy Instytutu Salka, prof. Juan Carlos Izpisua Belmonte, twierdzi, że to „spore osiągnięcie”, ponieważ „ludzie i świni różnią się znacząco pod względem ewolucyjnym” i pierwszy raz udało się doprowadzić do tego, by ludzkie komórki rozwijały się w zarodku tak dużego zwierzęcia.

Prof. Belmonte zastrzega, że jeśli nie będzie akceptacji społecznej dla tego rodzaju eksperymentów, to nie będą one kontynuowane. „Jednym z celów badawczych może być doprowadzenie do narodzin chimery, ale na razie nawet o tym nie myślimy” – podkreślił. Badania te, jak donoszą naukowcy, zostały sfinansowane z prywatnych źródeł, ponieważ testy dotyczące międzygatunkowych chimery prowadzone przez Narodowy Instytut Zdrowia (NIH) w Stanach Zjednoczonych zostały przerwane z powodów etycznych. Te przeprowadzane w Kalifornii wstrzymano po 28 dniach, z powodu obowiązującego prawa wyznaczającego maksymalny etap prowadzonej hodowli.

► Po co chimery?

Doprowadzenie do narodzin ludzko-świńskiej chimery jest dla naukowców bardzo kuszące. I pewnie nie tylko dla nich. Belmonte wymienia całą listę korzyści, które mogą wypływać z takich praktyk. Nie potrafimy dziś tworzyć organów do przeszczepów w laboratorium, a ich dawców jest o wiele mniej niż potrzebujących. Organy hodowane na zamówienie byłyby dla potrzebujących ogromną nadzieją, tym bardziej, że posiadałyby one DNA identyczne z kodem genetycznym biorcy, bo zbudowane byłyby z jego komórek macierzystych. Organizm by ich nie odrzucał, a osoba po przeszczepieniu funkcjonowałaby tak samo jak ze swoim narządem. Jeśli udało się w organizmie szczura wytworzyć myszą trzustkę i tak uzyskany narząd wszczepić dorosłej myszy, to dlaczego nie spróbować czegoś takiego w przypadku człowieka? Naukowcy od dawna marzyli o tym, by to właśnie w ciele świni hodować organy mogące posłużyć później do przeszczepów, wiele bowiem narządów tych zwierząt (choćby serce, wątroba czy nerki) jest zbliżonych wymiarami do narządów ludzkich, a jednocześnie ich rozwój trwa o wiele krócej niż u człowieka, DNA świni jest zaś w 94 proc. zgodne z naszym kodem genetycznym. Przydatność chimery nie wyczerpuje się jednak poprzez bycie inkubatorem dla ludzkich organów. Do tego poza tym

daleka droga, przynajmniej tak twierdzi prof. Belmonte. Tymczasem chimery świni i człowieka pozwolą lepiej poznać mechanizmy ewolucyjne oraz rozwój ludzkiego zarodka, badać mechanizmy i postęp chorób, a także testować leki, zanim jeszcze rozpoczyna się badanie kliniczne. Reasumując, badacze przekonani są, że zastosowana przez nich metoda, choć może dziwna i wzbudzająca kontrowersje, jest bardzo potrzebna.

„Wyprodukowana” w Salk Institute ludzko-świńska chimera zawiera zaledwie 0,001 proc. komórek człowieka, naukowcy jednak – jak mówi dr Jun Wu, współautor projektu – chcą stopniowo zwiększać udział ludzkich komórek w świńskich embrionach do 1 proc. Uчени zaangażowani w badania przekonują jednocześnie, że „nie ma podstaw, by wierzyć, że w wyniku tego typu eksperymentów mogłyby powstawać świnię z ludzkimi mózgami”. Neurolog Steve Goldman z Uniwersytetu Rochester, zajmujący się badaniami komórek macierzystych z wykorzystaniem myszy, jest jednak zdania, że takie przedsięwzięcia naukowe mogą prowadzić do „mrocznej strony nauki”. Nie można wszak nie mieć względem nich wątpliwości, szczególnie tych natury etycznej. Nie wiemy przecież, czy tego typu działania nie spowodują zmian w genach i tkankach. Wiemy, że zaczyna rozmywać się granica między tym, co ludzkie, i tym, co zwierzęce, że podkopana została integralność biologiczna naszego własnego gatunku i godność ciała. A jeśli jednak wytworzymy zwierzęta, które będą miały ludzką świadomość?

► Hakerzy DNA

DNA można potraktować jak program komputerowy, zatem możliwe jest włamanie się do niego odpowiednimi metodami i zaprogramowanie go. W ten sposób naukowcy stają się coraz częściej „hakerami” DNA. Przynieść to może wymierne korzyści, ale może też stanowić źródło niemałych zagrożeń.

Zespołowi prof. Floyd’a Romesberga z Scripps Research Institute w Kalifornii udało się stworzyć DNA, które nigdy nie istniało w naturze. W uproszczeniu – DNA zbudowane jest z czterech prostszych jednostek zwanych nukleotydami, te z kolei zbudowane są z odpowiedniej zasady azotowej. Naukowcy tymczasem zmienili „alfabet życia” poprzez dołączenie dwu dodatkowych zasad, oznaczonych na użytek medialny literami X i Y. Stworzyli więc DNA bakterii, w którym wirus lub bakteriofag, po wnikięciu, nie mógłby się kopiować, nie rozpoznawałby bowiem tych dwóch nowych

liter. Większa ilość zasad w DNA pozwala też na powstawanie nowych białek, które również wcześniej nie występowały w naturze, i na zakodowanie zupełnie innych, nowych informacji. Chociaż każdy organizm ma mechanizm broniący się przed manipulacją, to jednak badaczom udało się obejść i „przemycić” sztuczne zasady do pozachromosomalnej cząstki DNA, plazmidu, za pomocą specjalnego białka, które je do DNA transportuje. Jest to ważne, bo tam właśnie kryją się np. geny dotyczące odporności na antybiotyki.

Naukowcom chodziło o to, by poprzez dodanie kolejnej pary wzbogacić organizm, w tym przypadku E. coli, o nowe funkcje. Tłumaczą się nie tylko chęcią poznania świata, lecz także tworzenia nowych technologii. Celem, który przyświecał im na przyszłość, jest stworzenie nowego życia, które moglibyśmy wykorzystywać w różny sposób, w medycynie i przemyśle biochemicznym, przy opracowywaniu innowacyjnych leków i przeciwciał, przez biopaliwa po produkty odżywcze i rolnictwo. „Możliwość wstawiania nowych zasad do DNA daje praktycznie nieograniczoną zdolność do zapisywania informacji genetycznej, do tworzenia organizmów z całkowicie nienaturalnymi atrybutami i cechami, których nie znajdziemy w naturze” – mówił po nagłośnieniu wyników eksperymentu prof. Romesberg. Ale pojawienie się w połowie sztucznego organizmu wywołało obok zachwytu również obawy. Już po pierwszej publikacji na ten temat usłyszeć można było opinie, że potencjalna nowa forma życia może mieć w przyszłości daleko idące konsekwencje etyczne, prawne i regulacyjne. Tym bardziej że biolodzy syntetyczni prześcigają się w wymyślaniu coraz lepszych i skuteczniejszych sposobów manipulowania podstawami życia, prawodawstwo zaś póki co zupełnie nie potrafi na nie odpowiedzieć, tworząc choćby podstawy do nadzoru, oceny i regulacji tego typu twórców.

Profesor Romesberg uspokaja. Według niego nie ma powodów do obaw, gdyż jedna wbudowana para zasad póki co jest bezużyteczna. To na razie tylko dowód na to, że w ogóle jesteśmy w stanie coś takiego stworzyć. Prace jednak będą postępować, a naukowcy mają nadzieję, że zmodyfikowane bakterie będą nam kiedyś służyć, nie szkodzić.

► Podmiana genów

Terapie genowe to bardzo potężna metoda w walce z różnymi, dotąd nieuleczalnymi, chorobami. Naukowcy mają nadzieję na to, że w nadchodzących latach stanie się ona szeroko dostęp-

ną, bezpieczną i skuteczną formą leczenia przynajmniej części chorób, stanowiąc uzupełnienie dla metod konwencjonalnych. Już dziś otwiera szansę na zaradzenie chorobom, które dotąd nie poddawały się żadnej z metod terapeutycznych. Polega na ingerencji w substancję dziedziczną i jej zmianie poprzez manipulację na genach. Ogólnie mówiąc, do komórek narządów wprowadza się nowe geny, które zastąpiłyby geny wadliwe, odpowiedzialne za dane schorzenie, lub w inny sposób wzmocniły i uodporniły organizm na chorobę.

Naukowcy usilnie pracują nad sposobami genowych terapii. Najwięcej emocji, nadziei i lęków budzi metoda CRISPR, umożliwiająca wycinanie lub podmienianie pojedynczych litererek genetycznego zapisu. Otwiera ona perspektywy dla osób cierpiących na schorzenia genetyczne wynikające z mutacji obecnej w jednym z genów. Testuje się możliwości wyleczenia w ten sposób wrodzonej ślepoty Lebera, lekarze liczą jednak na to, że metoda ta pomoże w walce z nowotworami. Naukowcy z Pensylwanii prowadzą tę bronią walkę z trzema ich rodzajami: czerniakiem, mięsakiem i szpiczakiem mnogim. Chcą tak zmodyfikować komórki układu odpornościowego pacjenta, by same radziły sobie z komórkami nowotworowymi.

Interwencje naprawcze w nieprawidłowy genom komórek somatycznych nie są przenoszone na potomstwo i nie mogą spowodować utrwalo-nych zmian w genomie ludzkim. Istnieje zatem obawa przed manipulacją genetyczną na zarodkach ludzkich zmierzającą do „poprawiania” ludzkiego genomu. Niektóre z nich, z medycznego punktu widzenia, są bardzo kuszące, dałyby bowiem możliwość uodpornienia na choroby następnych pokoleń. Jest to szczególnie istotne w przypadku takich schorzeń jak nowotwory, cukrzyca, wrodzone choroby metabolizmu, w tym otyłości, hemofilii, choroby Parkinsona, Alzheimer, AIDS czy zespołu Downa.

Istnieje jednak zasadna obawa przed „komercjalizacją” tej terapii i rozszerzeniem zakresu jej stosowania poza przypadki konieczne z punktu widzenia medycznego. Wyobraźmy sobie sytuację, w których wprowadzamy dodatkowe geny niosące cechy uważane za pożądane, odpowiedzialne na przykład za kondycję fizyczną czy intelektualną. Już dzisiaj coraz głośniej mówi się o możliwości sportowego dopingowania genetycznego. Nie można też wykluczyć interwencji chirurgów genowych w celu projektowania „dzieci na zamówienie”, które posiadałyby takie cechy, o jakich marzą ich rodzice. Oczywiście jest to, póki co, melodia przyszłości bardziej aniżeli rzeczywistość, przeprowadzane jed-

nak już dzisiaj doświadczenia coraz wyraźniej takie wizje urealniamy.

► Gdzie jest granica?

Do międzynarodowego prawodawstwa wpisuje się współcześnie zapisy zakazujące ingerencji w genom ludzki w celach innych niż lecznicze, zakazuje się również klonowania, tworzenia chimer czy hybryd. Prawo nie nadąża jednak za osiągnięciami nauki. Wizja potencjalnych korzyści, jakie można by czerpać z tego typu działań, niestety, kusi, trzeba więc tym usilniej starać się o to, by granice eksperymentu były określone jasno i wyraźnie. By to, co miało służyć człowiekowi, nie obróciło się przeciwko niemu. Bo czyż nie pięknie by było, gdyby dało się zastąpić dowolne, zużyte czy niesprawne tkanki bądź narządy nowymi, w pełni sprawnymi? Trzeba jednak zadać sobie pytanie: za jaką cenę? Stworzenie humansa to wciąż wielkie marzenie naukowców, jeśli jednak komuś udałoby się pokonać bariery, kiedyś nie do przekroczenia dla Iwanowa, jak traktowaliśmy wyniki takiego eksperymentu? „Hakerzy” genów przekonują, że pracują „dla dobra ludzkości”. Jeśli jednak uda się w przyszłości „klocki” w genomie dowolnie ustawiać, przestawiać, a nawet korzystać z innego zestawu? Włamać się do niego i wywołać raka lub alergię? Jeśli umiemy już budować syntetyczne bakterie, co stoi na przeszkodzie, by w przyszłości bioterrorysty zhakowali genom zarazków tak, by skonstruować szczep grypy zabijający ludzi o określonych cechach genetycznych, stworzyć wirus doprowadzający do szybkiej śmierci? Włamać się do czyjegoś DNA i poznać wszystkie jego słabe punkty? Zastosować terapię genową w celu stworzenia ludzi „doskonałych” lub nadludzi?

To dzisiaj raczej futurystyczna wizja, ile ich jednak wydawało się takimi w przeszłości, a dziś stały się namacalną rzeczywistością? Kto wie, dokąd nas naukowe eksperymenty zaprowadzą? Tym bardziej że często przeprowadzane są w tajemnicy, a świat dowiaduje się o nich dopiero wtedy, gdy naukowcy podzielą się wynikami swych badań z resztą społeczeństwa? Nauki przyrodnicze nie posługują się kategoriami dobra i zła. Problem zaczyna się w momencie, gdy neutralność nauk przyrodniczych przenosi się na grunt problemów medycznych. Tutaj zaniechanie refleksji aksjologicznej przynieść może katastrofalne skutki. Rozstrzygnięcia prawne są w tym względnie niezbędne, nie zastąpią jednak namysłu etycznego nad różnego rodzaju eksperymentami. Nad tym, co się godzi, a co godnym nie jest. ■

Rok 2017 to okres szczególny. W tym czasie obchodzimy bowiem 300. rocznicę powstania masonerii oraz stulecie rewolucji październikowej i objawień fatimskich.

I już widać, że masoneria nie odpuści Kościołowi.

Tomasz P. Terlikowski



300-letnia walka masonerii z Kościołem



Niedawno brytyjskie media obiegała szokująca informacja. Duchowy zwierzchnik anglikanów arcybiskup Justin Welby wydał zgodę, by w katedrze Canterbury odbyło się masońskie nabożeństwo w 300. rocznicę powołania do istnienia tej antychrześcijańskiej organizacji. I choć wydawać by się mogło, że katolikom nic do tego, to jest to błąd, bowiem... tak się składa, że kościół ten był katedrą katolicką od 597 do 1558 r., a i teraz – choćby dlatego, że znajdują się w nim relikwie św. Tomasza Becketa – pozostaje centrum życia duchowego i religijnego Anglii i Walii. Zgoda na odprawienie w tym miejscu pogańskich i antychrześcijańskich obrządków musi więc smucić każdego chrześcijanina, szczególnie że akurat Kościół Anglii w 1987 r. jasno wskazał, że masońskich poglądów nie da się pogodzić z chrześcijaństwem. Istotnym zarzutem jest łączenie imion bogów semickich, egipskich i hebrajskich, a także stosowanie imienia Jahbulon jako określenia najwyższego Absolutu w nabożeństwach masońskich.

W tym samym czasie, gdy anglikanie dogadywali się z masonerią w kwestii nabożeństwa, w katolickiej katedrze Westminster kard. Vincent Nichols dokonał koronacji figury Matki Bożej Fatimskiej, a także ponownej konsekracji Anglii i Walii Niepokalanemu Sercu Maryi. W homilii kardynał przypomniał, że objawienia stanowią poważne wyzwanie dla katolików, którzy wciąż muszą zadawać sobie pytanie, jak mają odpowiednio wyrażać swoją postawę bycia uczniami Chrystusa w życiu codziennym. A także wskazywał, że Różaniec pomaga nam codziennie mówić Bogu „tak”, co jest istotą kultu Niepokalanego Serca Maryi. Ten szczególny gest powierzenia Anglii i Walii Niepokalanemu Sercu Maryi dokonał się w roku 100-lecia rewolucji październikowej, 300-lecia powstania masonerii i 500-lecia reformacji. I nie ma co ukrywać, że jest to najlepsza odpowiedź na obchody owych trzech rocznic. Tylko Maryja może pokonać siły, które stoją za tymi wydarzeniami. Decyzja kardynała to także bardzo dobra symboliczna, nawet jeśli przypadkowa, odpowiedź na odprawienie masońskiego nabożeństwa w katedrze Canterbury.

► Kościół zawsze na froncie

Dlaczego? Odpowiedź jest prosta. Masoneria zawsze niezwykle ostro walczyła z objawieniami maryjnymi. Gdy rozpowszechniły się objawienia w Lourdes, francuscy masoni próbowali doprowadzić do uznania św. Bernadetty Soubirous za chorą psychicznie. Ich media przedstawiały ją jako chorą lub zmanipulowaną oszustkę, a masońskie władze poddawały ją skomplikowanym badaniom, przesładowały czy rozwijały na jej temat fałszywe pogłoski. Gdy w Lourdes wytrysnęło cudowne źródło, władze, inspirowane przez masonerię, próbowały skonfiskować ziemię, gdzie ono płynęło, i zamiast kaplicy wybudować tam wielkie łaźnie. Gdy i to się nie udało, chcieli aresztować

wizjonerkę. Bardzo podobny zakres szykan zastosowały masońskie władze Portugalii wobec wizjonerów w Fatimie. Matka Boża zaś, i to w kolejnych objawieniach, zawsze wzywała katolików do modlitwy za masonów i ich nawrócenia, a także zwracała uwagę na zagrożenie, jakie masoneria stanowi dla Kościoła i świata.

Mówili o tym zresztą także kolejni papieże. Klemens XII już w 1738 r. w encyklice „In eminenti” zakazał katolikom przynależenia do masonerii i innych tajnych stowarzyszeń, i to pod karą ekskomuniki. „Dlatego zabraniaamy formalnie i na mocy świętego posłuszeństwa wszystkim i każdemu z osobna wiernym Jezusa Chrystusa wszelkiego stanu, rangi, kondycji, godności i stanowiska, świeckim i duchownym, diecezjalnym czy zakonnym, zasługującym nawet na szczególne wymienienie, by się nie odważyli i nie pozwolili sobie pod jakimkolwiek pretekstem, pod jakimkolwiek pozorem, wstępować do wymienionych stowarzyszeń wolnomularzy lub inaczej nazwanych, rozpowszechniać je, utrzymywać, przyjmować u siebie lub udzielać im schronienia gdzie indziej, ukrywać ich, zapisywać się do nich, być przez nich przyjętymi, wspomagać ich lub dawać im środki i możność do gromadzenia się, dostarczać czegokolwiek, udzielać im rady, pomocy lub poparcia, otwarcie lub potajemnie, bezpośrednio lub pośrednio, osobiście lub przez innych, w jakimkolwiek sposób, jak również zachęcać innych, namawiać, nakłaniać, by się zapisywali do tego rodzaju stowarzyszeń, by stawali się ich członkami, pomagać im w tym, wspierać ich lub utrzymywać w jakimkolwiek sposób lub im doradzać” – podkreślał Klemens XII.

Grzegorz XIV kilkanaście lat później przypomniał owe zapisy, podtrzymał ich moc, a także zaznaczył, że powodem, dla którego tak surowe kary nałożone są na osoby przystępujące do masonerii, jest fakt, że, po pierwsze, głosi ona nauki sprzeczne z doktryną Kościoła, a po drugie nakłania do całkowitej tajemnicy, który wymusza podejrzenie, że czynione są tam rzeczy złe. Potępienie rozszerzył na włoskich karbonariuszy Pius VII encykliką „Ecclesiam a Jesu Christo”.

Ich nauczanie podsumował w encyklice „Quo graviora” Leon XII. „Stąd także biorą się najokropniejsze klęski, którymi prawie wszędzie trapiiony jest dzisiaj Kościół katolicki, których to nie możemy wspomnieć bez bólu i smutku. W sposób najbardziej odrażający krytykowane jest dzisiaj jego nauczanie i przykazania, w pogardę poddany został jego autorytet, a pokój, którego ma prawo dostępować, nie tylko zostaje zaburzony, ale nawet zupełnie został zniweczony. Nie można zatem nawet powątpiewać, aby za to wszystko zło i klęski, o których nawet nie wspomnieliśmy, nie należało przypisywać winy tym tajnym stowarzyszeniom. Wszystkie książki, które opublikowali o religii i rządach państwowych zwolennicy tych sekt, w których uwłaczają monarchom, bluźnią Chrystusowi, a nawet uznają to wszystko za ciemnotę i zabobon, tak że żadnego Boga nie uznają, twierdząc, że dusza człowieka po śmierci wraz z cia-

łem umiera. Wszystkie pisma i ustawy, na podstawie których przygotowują się do swoich zamachów, dowodzą naczynie, że to wszystko, co zostało przez Nas powiedziane w sprawie dążenia do obalenia władzy i zupełnego zniszczenia Kościoła, właśnie pochodzi od nich. Także nie należy mieć wątpliwości co do tego, że związki te, chociaż różniące się nazwą, nie są połączone jednym wspólnym zbrodniczym i przewrotnym interesem” – pisał w 1826 r. Leon XII. Papież wezwał także biskupów, by odważnie sprzeciwiali się masonerii. „A teraz nie tylko prosimy, ale i błagamy Waszej pomocy, czcigodni patriarchowie, prymasi, arcybiskupi i biskupi, strzeżcie samych siebie i Waszej trzody, nad którą Was Duch Święty ustanowił biskupami, bo napadną na Was drapieżne wilki, nie oszczędzając owiec, jednak nie obawiajcie się i nie ceńcie sobie życia bardziej niż własnej duszy. Miejcie tę świadomość, że od Was najbardziej zależy wytrwanie w religii i dobrych obyczajach powierzonych Wam ludzi. I chociaż żyjemy w złych czasach, kiedy to wielu nie może ścierpieć zdrowej nauki, to jednak wielka liczba wiernych zachowuje szacunek dla swoich pasterzy, których traktuje jako prawdziwych szafarzy tajemnic Bożych i namiestników Chrystusa. Dlatego używajcie swojego autorytetu dla pożytku Waszych wiernych, których otrzymaliście z nieskończonej dobroci Bożej. Informujcie ich o zdradzieckiej działalności sekciarzy, aby z jak największą pilnością wystrzegali się ich towarzystwa. Niech przy Waszym udziale wyrobią sobie negatywne zdanie na temat przewrotnej nauki tych, którzy najświętsze tajemnice religii i najszlachetniejsze nakazy Chrystusa wyszydzą, a wszelką legalną władzę usiłują obalić” – zaznaczał.

► Antykatolicka filozofia masonerii

Nauczanie to powtarzali kolejni papieże, a jego syntezę i pogłębiony wykład zaoferował w fundamentalnej encyklice „*Humanum genus*” Leon XIII. Papież zarzuca masonerii, że jej celem jest obalenie ładu społecznego i religijnego opartego na chrześcijaństwie i zastąpienie go jakimś nowym światowym porządkiem, którego fundamentem byłby naturalizm filozoficzny. „Głównym zaś założeniem naturalistów, jak już sama ich nazwa wskazuje, jest to, że natura ludzka i rozum ludzki mają być we wszystkich sprawach naszym nauczycielem i przewodnikiem. Przyjawszy takie założenie, albo mniej dbają o obowiązki względem Boga, albo też pojmowanie tych obowiązków wypaczają błędnymi i chwiejnymi teoriami. Zaprzeczają bowiem, jakoby jakkolwiek tradycja Boski miała początek, nie uznają w religii żadnego dogmatu, żadnej prawdy, która byłaby niezrozumiała dla ludzkiego umysłu, nie przyjmują żadnego nauczyciela, któremu obowiązywałibybyli wierzyć dla samego autorytetu jego urzędu” – zaznaczał Leon XIII.

Masoneria dąży także, zaznaczał Leon XIII, do zniszczenia Kościoła katolickiego i podważenia roli papieństwa. „Istotnie, chce zniszczyć religię i Kościół, które sam Bóg założył

i którymi aż do skończenia świata opiekować się obiecał, po to, by po osiemnastu stuleciach przywrócić na nowo obyczaj i instytucje pogańskie, to szczyt szaleństwa i najzuchwalszej bezbożności. Lecz nie mniej straszne jest i nie do niesienia, że się ze wzgardą odrzuca dobrodziejstwa miłośnicwie wysłużone przez Jezusa Chrystusa nie tylko dla poszczególnych ludzi, lecz także dla ludzi zespolonych w rodzinach i narodach, dobrodziejstwa, którym sami nawet wrogowie przyznają wartość nieocenioną. W tych szalonych i godnych napiętnowania zamiarach widoczna jest ta sama nieubłagana nienawiść i żądza odwetu, jaką Szatan pała przeciw Jezusowi Chrystusowi” – podkreślał Leon XIII.

To papieskie stanowisko nie wywodziło się znikąd. Celem masonerii rzeczywiście było, od samego początku, zbudowanie nowego porządku społecznego, w którym religia (a konkretniej Kościół katolicki) została zastąpiona dość mglistą mistyką Wielkiego Architekta i relatywizmem zarówno moralnym, jak i religijnym, a także kultem państwa. Na końcu tej drogi, jak zwraca na to uwagę polski badacz masonerii Jakub Szymański, byłoby zbudowanie superpaństwa, globalnego nowego światowego porządku z jednym światowym rządem, który wyeliminowałby ostatecznie Kościół i pozbawił go, także w sposób siłowy, jakiegokolwiek wpływu na rzeczywistość. „W takiej sytuacji masoneria jawi się jednak już nie jako rzekomy »dobroczynca ludzkości«, ale raczej, i prawdziwie, jako apokaliptyczny instrument przygotowujący świat na nadejście Antychrysta [...] Oczekiwana przez masonów superrepublika będzie więc nie tyle jakimś superdemokratycznym państwem-molochem, ale najprawdopodobniej po jakimś czasie przekształci się ostatecznie w tyrańskie państwo Antychrysta” – uważa Szymański.

► Walka trwa nadal

Walka, o jakiej mowa, trwa nadal. A masoneria, odkąd Kościół złagodził formy jej potępienia (choć nadal zakazane jest – pod karą ekskomunikacji członkostwo w niej), odnosi kolejne zwycięstwa. I tak błyskawiczna laicyzacja Belgii bierze się m.in. stąd, że loża działa tam absolutnie otwarcie i stopniowo wypiera Kościół ze wszystkich jego zaangażowań. Nie inaczej było przez pokolenia w Meksyku, gdzie udało się jej – na jakiś czas – nawet zakazać odprawiania Mszy świętej, czy we Francji, gdzie za kolejnymi rewolucjami i falami prześladowań Kościoła nieodmiennie stali masoni.

300-lecie powstania łoży jest świetną okazją, by przystąpić do kolejnego etapu budowania potęgi nowego świata. Odprawienie nabożeństwa w archikatedrze chrześcijańskiej to ważny symbol. I nie ma się co oszukiwać, że będzie to symbol ostatni. Nie ulega wątpliwości, że w najbliższym roku dojdzie do kolejnych wydarzeń, które podważać będą jednobawczość Chrystusa i profanować chrześcijańskie świątynie. Odpowiedzią zaś ludzi wierzących na te działania powinna być modlitwa. W duchu św. Maksymiliana. ■



Małgorzata Matuszak

Czym jest... *ordo amoris*

To nie człowiek jest miarą wszystkiego, co wartościowe, lecz obiektywne wartości są miarą człowieka. To nie człowiek definiuje wartości, lecz one określają ludzkie czyny, kształtują osobę, organizują osobową całość człowieka, stanowią realny fundament, na którym możemy – i winniśmy – się oprzeć w naszym życiu. Są siłą zdolną do panowania nad człowiekiem, potrzebują jednak jego woli, wybrania życia według wartości, by mogły rozbłysnąć w pełni swego blasku. Wartość doprasza się o nasze za nią wstawienie, bez niej pozostaje niejako bezsilna.

Dlaczego wybieramy takie, a nie inne działanie? Preferujemy takie, a nie inne wartości? Według Maxa Schelera, akty świadomości nie tworzą i nie

„Kto zna *ordo amoris* jakiegoś człowieka, zna tym samym tego człowieka” – pisze Scheler przekonany o tym, że ład serca przekłada się na wolę tego, kto go posiada, i w konsekwencji na jego działania. *Ordo amoris* danego człowieka to swoisty, subiektywny mikrokosmos aksjologiczny, będącym odbiciem obiektywnego makrokosmosu. Ów mikrokosmos, chociaż właściwy konkretnej osobie, nie ma jednak charakteru „prywatnego”, wszak jest częścią absolutnego uniwersum, zgodną z hierarchicznie uporządkowaną całością na tyle, na ile miłość obecna w człowieku uczyni go zdolnym do jej zobaczenia i urzeczywistnienia. Według Schelera ludzie pod względem zdolności „uchwytywania” i przyswajania wartości nie są sobie równi. Istnieją moralni geniusze i aksjologiczni „analfabeci” – ci, którzy zgodnie z ła-

„SERCE MA W SWEJ DZIEDZINIE WŁASNĄ SWĄ LOGIKĘ PODOBNIĘ JAK ROZUM.

WRODZONE MU SĄ PRAWA ODPOWIADAJĄCE STRUKTURZE ŚWIATA ODWIECZNYCH WARTOŚCI. SERCE MOŻE KOCHAĆ I NIENAWIDZIĆ ŚLEPO LUB ROZTROPNIE, PODOBNIĘ JAK SĄDZIĆ MOŻNA ŚLEPO LUB ROZTROPNIE” – PISAŁ SCHELER.

konstruują świata wartości, ale pełnią wobec niego funkcję receptywną i odtwórczą. Świadomość jedynie poznaje wartości, które istnieją od zawsze, niezależnie od ludzkiej jaźni i subiektywnych aktów wartościowania. Składają się na nią akty czucia, w których doświadczamy sensu wartości, akty preferencji, dotyczące hierarchicznego porządku wartości, i miłość będąca praaktem świadomości, uczuciem scalającym świadomość i określającym jej kształt. To miłość właśnie i jej porządek – *ordo amoris* – ma decydujący wpływ na to, kim jest człowiek jako osoba i podmiot moralny. Całości osoby nie poznamy w jednym konkretnym akcie, po tym, jak się zachowała w jednej sytuacji; nie zgłębimy jej nawet dzięki kompleksowi aktów, choć za ich sprawą osoba staje się dla innych widzialna. O tym, kim jest dany człowiek, świadczy jego swoisty „system” aktów, który Scheler określa „ładem serca”, „porządkiem miłości”.

dem swego serca realizują wartości najwyższe, i ci, którzy są ślepi nawet na podstawowe wartości. Z drugiej jednak strony pisał o tym, że „człowiek jest istotą, której sposób istnienia jest kwestią otwartej wciąż decyzji, kim chce być i kim chce się stać”.

Ordo amoris pozwala wybierać to, co wyboru godne. „Serce ma w swej dziedzinie własną swą logikę podobnie jak rozum. Wrodzone mu są prawa odpowiadające strukturze świata odwiecznych wartości. Serce może kochać i nienawidzić ślepo lub roztropnie, podobnie jak sądzić można ślepo lub roztropnie” – pisał Scheler. Miłość jest ruchem ku wartości wyższej, nienawiść zaś przeciwnie – ku wartości niższej. Stąd twórczy charakter miłości i niszczyielski nienawiści. Od nas zależy, czy w naszych sercach panuje ład czy bałagan, czy kierować się będziemy miłością czy nienawiścią. Wartości są miarą człowieka. Schelerowska koncepcja *ordo amoris* nam o tym dobitnie przypomina. ■

Okrety dla floty Marynarki Wojennej RP
w Stoczni Remontowej „Nauta”

Polska Grupa Zbrojeniowa konsoliduje sektor stoczniowy

Jerzy Mostowski

Program operacyjny „Zwalczanie zagrożeń na morzu”, ujęty w Planie Modernizacji Technicznej Sił Zbrojnych RP, przewiduje liczne projekty, które doprowadzą do modernizacji technicznej Marynarki Wojennej oraz powiększenia jej floty. Wśród nich wyróżnia się budowa trzech nowoczesnych łodzi podwodnych o kryptonimie Orka, trzech okrętów obrony wybrzeża (program „Miecznik”), trzech okrętów patrolowych z funkcją zwalczania min (program „Czapla”) oraz trzech nowoczesnych niszczycieli min – „Kormoran II”. Realizacja tych projektów spowoduje, że w następnych latach polska Marynarka Wojenna zostanie wyposażona w kilkanaście nowoczesnych okrętów, co w istotny sposób podniesie jej zdolności obronne.

Jako lider polskiego przemysłu, który skupia ponad 60 kluczowych spółek polskiego sektora obronnego, Polska Grupa Zbrojeniowa ma za zadanie zabezpieczać podstawowe interesy bezpieczeństwa państwa, w tym także Marynarki Wojennej RP. Swoje obowiązki wypełniać będzie m.in. poprzez znaczny udział w realizacji wymienionych wyżej projektów morskich. By móc przygotować infrastrukturę przemysłową pod realizację tych projektów, niezbędna jest konsolidacja sektora stoczniowego, będąca jednym z głównych założeń działalności PGZ. Ruch ten stanowi nie tylko krok ku spełnieniu wymagań stawianych przez Ministerstwo Obrony Narodowej, lecz także jest spójny ze Strategią na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, autorstwa wicepremiera Mateusza Morawieckiego.

► **Utworzenie Stoczni Wojennej**

Jednym z najnowszych kroków zmierzających do realizacji zadań związanych z przemysłem stoczniowym jest powołanie do życia w styczniu br. spółki celowej PGZ Stocznia Wojenna Sp. z o.o. Był to jedyny podmiot, który złożył ofertę w przetargu otwartym na sprzedaż majątku znajdującej się w upadłości likwidacyjnej gdyńskiej Stoczni Marynarki Wojennej S.A. Syndyk masy upadłościowej przyjął ofertę na początku lutego, dzięki czemu mógł się rozpocząć proces organizacyjno-prawny, który w ciągu kilku miesięcy ma doprowadzić do włączenia Stoczni Marynarki Wojennej w szereg Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Finalizacja tej procedury oznaczać będzie koniec upadłości likwidacyjnej tego kluczowego przedsiębiorstwa.

Pierwszym wyzwaniem, które zostanie postawione przed Stoczną Marynarki Wojennej po przejęciu jej majątku przez PGZ, będzie dokończenie budowy okrętu patrolowego ORP „Ślązak”. Spółka będzie

Polska Grupa Zbrojeniowa, jeden z największych koncernów obronnych w Europie, przygotowuje się do dużego wyzwania dla polskiego przemysłu – realizacji programów morskich, które zostały zawarte w Planie Modernizacji Technicznej Sił Zbrojnych RP. W tym celu PGZ podejmuje wiele działań zmierzających do konsolidacji sektora morskiego, a także nawiązuje strategiczne partnerstwa międzynarodowe.

mieć także istotny udział przy realizacji projektów morskich ujętych w Planie Modernizacji Technicznej Sił Zbrojnych RP. Doprowadzi to sytuacji, w której fundusze przeznaczone przez MON na wyposażenie Marynarki Wojennej RP w nowoczesne okręty trafią do polskich spółek, dzięki czemu będą one mogły systematycznie się rozwijać i nie tylko utrzymać obecny stan kadrowy, ale również zatrudniać nowych pracowników.

Wcielenie Stoczni Marynarki Wojennej w strukturę Polskiej Grupy Zbrojeniowej, choć samo w sobie jest dużym wydarzeniem, stanowi tylko element szerszego planu dotyczącego konsolidacji i odbudowy potencjału sektora stoczniowego. Zarząd PGZ dąży do uzyskania efektów synergii, wynikających z kooperacji pomiędzy spółkami stoczniowymi skonsolidowanymi w Grupie.

► Odbudowa polskich stoczni

Konsolidacja polskiego sektora stoczniowego ma kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa kraju, ponieważ doprowadzi do zabezpieczenia zdolności przemysłowych, umożliwiających modernizację floty Marynarki Wojennej RP. Zapowiedź konsolidacji tego sektora ogłoszona została pod koniec ubiegłego roku, choć już wcześniej do Polskiej Grupy Zbrojeniowej należały Morska Stocznia Remontowa „Gryfia” oraz Stocznia Remontowa „Nauta”. Na początku obecnego roku w strukturę Grupy PGZ za pośrednictwem funduszu MARS został włączony Szczeciński Park Przemysłowy Sp. z o.o. (dawna Stocznia Szczecińska). Jest to szczególnie istotne także ze względu na planowany program budowy promów dla Polskiej Żeglugi Bałtyckiej. Zarówno SPP, jak i stocznie „Gryfia” i „Nauta” są sygnatariuszami listu intencyjnego w tej sprawie i uczestniczą w przygotowaniu szczegółowych założeń konsorcjum, które będzie budowało promy. Co ważne z ekonomicznego punktu widzenia, inwestycja ta została dokonana na zasadach rynkowych i charakteryzuje się efektywnością ekonomiczną oraz operacyjną. W niedługiej perspektywie wiązać się ona będzie z wieloma korzyściami dla całego polskiego przemysłu stoczniowego, który stanie się jednym z filarów polskiej gospodarki.

Uroczystości związane z zakupem Szczecińskiego Parku Przemysłowego uświetnił minister obrony narodowej Antoni Macierewicz.

– To historyczny dzień dla polskiego przemysłu, dla polskiego bezpieczeństwa. Dzisiaj przemysł stoczniowy, ten, który przez ostatnie ćwierćwiecze był systematycznie niszczone i wyprzedawany, na naszych oczach jest odbudowywany,



Stocznia Remontowa „Nauta” – jedna ze spółek stoczniowych należących do PGZ

a wkrótce, dzięki opiece państwa polskiego, dzięki opiece Rzeczypospolitej, odzyska dawny blask. Nieprzypadkowo jednak Szczeciński Park Przemysłowy zostaje włączony w struktury narodowego koncernu obronnego, Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Przemysł stoczniowy ma bowiem znaczenie strategiczne z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa i zabezpieczenia dostaw dla Sił Zbrojnych RP. Przemysł ten odgrywa kluczową rolę w realizacji Planu Modernizacji Technicznej Sił Zbrojnych RP. Chcemy bowiem, żeby programy morskie były realizowane w pierwszej kolejności przez polskie stocznie, przez polskich pracowników. Własny, silny, skonsolidowany sektor stoczniowy to dla Polski gwarancja bezpieczeństwa od morza – podczas uroczystości związanych z przejęciem Szczecińskiego Parku Przemysłowego przez PGZ powiedział minister obrony narodowej Antoni Macierewicz.

– To kolejny krok mający na celu odbudowę polskiego przemysłu stoczniowego. Po podpisaniu w lipcu ubiegłego roku przez Polski Fundusz Roz-



woju oraz PKO Bank Polski S.A. umowy dotyczące finansowania budowy pierwszych od 15 lat dwóch polskich promów przyszedł czas na kolejne etapy realizacji przedsięwzięcia, wynikającego wprost z naszej Strategii Odpowiedzialnego Rozwoju – podkreślił z kolei Mateusz Morawiecki, wicepremier, minister rozwoju i finansów.

Obecnie na terenie Szczecińskiego Parku Przemysłowego działa ponad 50 firm, które zatrudniają ponad dwa tysiące pracowników. W skład aktywów tej spółki wchodzi przede wszystkim infrastruktura przeznaczona do produkcji wielkogabarytowych konstrukcji stalowych, w tym także okrętów. Ową infrastrukturę stanowią przede wszystkim obiekty charakterystyczne dla przemysłu stoczniowego, np. udźwigowione hale, pochylnie, nabrzeża, magazyny, place prefabrykacyjne oraz składowe.

Potencjał infrastruktury Szczecińskiego Parku Przemysłowego w wydatnym stopniu przyczyni się do realizacji programów morskich ujętych w Planie Modernizacji Technicznej Sił Zbrojnych RP.

► PGZ buduje markę na miarę świata

Odrębnym, choć również ważnym, krokiem ku realizacji projektów na potrzeby polskiej Marynarki Wojennej jest budowanie sieci międzynarodowych partnerstw strategicznych, w tym także dotyczących domeny morskiej. Wynika to z faktu, że powstanie największej grupy stoczniowej na Bałtyku, stanowiącej połączenie potencjału stoczniowego spółek należących do PGZ, jakkolwiek odegra niezwykle istotną rolę w procesie modernizacji polskiej floty, samo w sobie nie wystarczy. Dlatego też Polska Grupa Zbrojeniowa, będąca podstawowym partnerem Ministerstwa Obrony Narodowej w procesie modernizacji technicznej wojska, konsekwentnie nawiązuje współpracę z partnerami zagranicznymi.

W październiku 2016 roku Polska Grupa Zbrojeniowa podpisała porozumienie o współpracy ze szwedzkim koncernem SAAB. Dotyczy ono wspólnej budowy nowych okrętów dla polskiej Marynarki Wojennej, zarówno podwodnych, jak i nawodnych. Co więcej, podpisane porozumienie przewiduje również możliwość współpracy przy realizacji projektów dla Sił Powietrznych i Wojsk Lądowych.

Trzy miesiące później, w styczniu 2017 roku, Polska Grupa Zbrojeniowa podpisała podobne porozumienie o współpracy ze specjalizującą się w budowie nowoczesnych okrętów podwodnych z francuską spółką DCNS. Porozumienie objęło jednak znacznie szerszy zakres, zakładając m.in. pozyskanie nowych okrętów obrony wybrzeża w ramach programu „Miecznik” oraz nowych okrętów patrolowych z funkcją zwalczania min w ramach programu „Czapla”. Polskie spółki przemysłu stoczniowego skonsolidowane w ramach Polskiej Grupy Zbrojeniowej dzięki temu dokumentowi zostaną włączone w proces produkcji jednostek dla Marynarki Wojennej RP. Największe szanse na udział w tym przedsięwzięciu mają Stocznia Remontowa „Nauta” oraz Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Centrum Techniki Morskiej w Gdyni.

Porozumienia podpisane z partnerami zagranicznymi gwarantują szeroki udział polskiego przemysłu w produkcji nowych okrętów dla polskiej Marynarki Wojennej. Obejmują one także ważną dla polskich zakładów kwestię transferu najnowocześniejszych technologii, który otworzy przed rodzimymi przedsiębiorstwami perspektywę dokonania skoku technologicznego. W niedługim okresie może to spowodować, że polski przemysł stoczniowy zacznie budować nie tylko okręty na potrzeby polskiej floty, ale również przeznaczone na eksport do państw sojuszników. ■

Artykuł przygotowany przez redakcję przy współpracy z PGZ S.A.

W przedwojennej Polsce każde dziecko znało przynajmniej jedną piosenkę o Belinie. Dziś, gdy sprawdzałem telefonicznie dostępność w pewnej bibliotece jedynej książki o nim – „Belina i jego ułani” Piotra Hubiaka, z której czerpię dużą część informacji biograficznych i cytatów – musiałem bibliotekarce przeliterować jego nazwisko. Jeśli gdziekolwiek na nie dziś trafiamy, to w jednej z wersji znanej piosenki: „Przybyli ułani pod okienko./ Pukają, wołają: Puść, panienko!/ O Jezu, a cóż to za wojacy?/ Otwieraj, nie pytaj, beliniacy!”.

Chyba najbardziej barwny opis Beliny i jego kawalerzystów, którzy pierwsi rozpoczęli zbrojny bój o niepodległość, zostawił nam Julian Kaden-Bandrowski: „ten Belina ze żdźbłami słomy na portkach i w czuprynie, zionący koniem i czarką wódki wypitą na śniadanie... Kiedy się Komendantowi Belina na kawaterze meldował... radość, jaką promieniował Komendant, kiedy te kawalerzysty w jakimś specjalnym trójkowym szyku mijaly klusem, prowadzone przez Belinę i jego dzikich, wariackich oficerów... oni wszyscy, właśnie pod dowództwem tego rotmistrza byli dla Piłsudskiego czymś niezwykłym, niespodziewanym. Byli spełnieniem marzenia”.

W książce Joanny Wieliczki-Szarkowej „Żołnierze niepodległości 1914–1918” czytamy: „Belina nosił w sobie niemal wszystkie zalety i wszystkie wady dawnego rycerza Rzeczypospolitej – mieściła się w nim zawadiackość niepohamowana, rubaszość i złote, dobrotliwe serce, okrucieństwo w słowie, spojrzeniu i geście, połączone z łagodnością kobiety, indywidualność bliska warcholstwa z poczuciem nakazanego obowiązku i ofiary, beztroski śmiech i zabawa z umiejętnością harowania dniem i nocą bez snu i jedzenia”.

► „90 proc. pewności, że wszystkich nas powieszą”

W swoich pamiętnikach Władysław Belina-Prażmowski rozkaz wydany mu przez Piłsudskiego 2 sierpnia 1914 r., czyli cztery dni przed wymarszem Pierwszej Kadrowej z krakowskich Oleandrów, wspominał tak: „Komendant wydał mi rozkaz poprowadzenia patrolu w Jędrzejowskie celem rozbicia mobilizacji Moskali w tym powiecie, wyjaśniając, że patrol ten jest bardzo niebezpieczny i że jest 90 proc. pewności, że wszystkich nas powieszą”.

Co do sił, którymi miał rozporządzać, Belina prowadził ze swym Komendantem negocjacje: „Na zapytanie moje, ilu ludzi Komendant mi przeznacza – odpowiedział: jak najmniej, pięciu, sześciu. Po targach z mojej strony stanęło na siedmiu. Ludzi miałem wybrać na ochotnika ze swej kompanii szkolnej”.

„Choć będziecie wisieć, ale za to spełnicie pięknie swój obowiązek żołnierski i historia o was nie zapomni” – te wypowiedziane z wisielczym humorem słowa Józefa Piłsudskiego pożegnały 2 sierpnia 1914 r. siedmiu strzelców, którzy otrzymali rozkaz wtargnięcia na terytorium rosyjskiego imperium. Po północy uderzyli na Rosję w... dwóch bryczkach, uzbrojeni w karabiny i pistolety. Ułanami jeszcze nie byli, bo konie mieli dopiero zdobyć od Moskali. Wraz z przekroczeniem granicy przez oddział Władysława Beliny-Prażmowskiego rozpoczęła się historia polskiej kawalerii w II Rzeczypospolitej.



Piotr Lisiewicz

Zionący koniem i czarką wódki wypitą na śniadanie

Nastroje były takie, że ochotnicy znaleźli się bez problemu. Piłsudski postanowił dać im cztery godziny do namysłu. W ich imieniu odpowiedział mu Janusz Głuchowski, przysły generał dywizji, który za cztery dni skończyć miał 26 lat: „Komendancie, my już raz zdecydowaliśmy się i już nie chcemy się namyslać, bo przez cztery godziny myślenia moglibyśmy tylko osiwieć, a decyzji nie zmienimy”.

Można powiedzieć, że do pierwszego starcia omaal nie doszło jeszcze w Krakowie, wkrótce po otrzymaniu rozkazu wymarszu. Belina wspominał po latach: „Po wyjściu ze sztabu zauważyłem rozrzucone miny mego patrolu, a ponieważ pozostały do wymarszu jeszcze dwie godziny, poprowadziłem wszystkich do Hawelki na kieliszek winiaku. Tu dopiero zorientowaliśmy się, jak wyglądamy w dorywczo zabranych cywilnych ubraniach. Kelnerzy o mało nie wyprowadzili nas za drzwi”.

► W lesie złożyć bomby i wywołać popłoch Moskali

Po przekroczeniu granicy w dwóch bryczkach, o świcie ochotnicy założyli mundury. Dowódca wspominał: „Przemówiłem parę słów do swoich żołnierzy, podkreślając szczęście i szczyt, jaki ich spotkał, że są pierwszymi żołnierzami zmartwychwstającej Polski, którzy otwarcie, z bronią w rękę, łamią kordony dzielące ojczyznę”.

Plan Beliny brzmiał tak, jakby żywcem przepisany był z sienkiewiczowskiej „Trylogii”, a i tam wymyślony musiałby być przez szalonego watażkę w rodzaju Kmicica: „niepostrzeżenie przemknąć koło większych oddziałów nieprzyjacielskich, kierując się na Goszyce, Skrzyszowice, Działoszycę pod Jędrzejów. Po dojściu w najbliższe okolice Jędrzejowa zatrzymać się w lesie i przeprowadzić wywiad; w tym samym czasie z materiału wybuchowego, jaki posiadaliśmy, złożyć bomby. Przy pomocy tych bomb mieliśmy wywołać popłoch w mieście i uderzyć na załogę Jędrzejowa”.

Beliniacy po drodze rozpowszechniali wśród ludności wieść, że są tylko małym patrolem zwiadowczym, za którym idą świetnie uzbrojone i liczne oddziały strzelców. Celem nakreślonym przez dowódcę było „wzniesienie popłoch wśród władz moskiewskich, będących jeszcze w Jędrzejowie”.

Szalony plan się powiódł. W odległości 10 kilometrów od Jędrzejowa oddział Beliny napotkał grupki mężczyzn, którzy wcześniej stawili się w tym mieście, bo wcieleni mieli być do rosyjskiego wojska. Opowiadali oni, że nie miał kto ich zmobilizować, bo rosyjskie władze z miasta uciekły, ponieważ od Krakowa na Jędrzejów maszerują strzelcy, których wedle plotki widziano już w pobliskich Działoszytach.

W Prętocinie rosyjski oddział uciekł przed tyralierą złożoną z siedmiu żołnierzy, gdyż z powodu mgły

źle oszacował ich liczebność. Tu miało miejsce przypominane potem w legendzie wydarzenie – na wzniesieniu stanął polski ksiądz, który przeżegnał przyszlých ułanów krzyżem.

W majątku Kleszczyńskich w Skrzyszowicach zakrekirowali pierwsze pięć koni. Wraz z nimi wyjechał też z niego młody mężczyzna – „Dzik” Kleszczyński, późniejszy oficer 1 Pułku Ułanów. 4 sierpnia 1914 r. beliniacy w komplecie powrócili ze zwiadu, cali i zdrowi. A do tego na koniach, a więc jako ułani.

► Brak poszanowania czyjejkolwiek własności

„I niech się zespoli w cudownej legendzie/ Ta Polska, co była, ta Polska, co będzie/ W skrzydlatych ułanach Beliny” – pisał współtwórca ich legendy Artur Oppman, czyli Or-Ot.

Jak opisuje Przemysław Witek w szkicu o Belinie w piśmie „Oleandry”, 4 sierpnia 1914 r. „siódemka” zameldowała wykonanie zadania. Wszyscy zostali skierowani do tworzącej się Pierwszej Kompanii Kadrowej.

„Zgodnie z zaleceniami Komendanta Piłsudskiego w strzeleckich oddziałach opuszczających Kraków 6 sierpnia 1914 roku nie używano stopni wojskowych. Do przełożonych zwracano się »obywatelu Komendancie«, »obywatelu szefie«, »obywatelu plutonowy«. O wyższości rangi w strzeleckich oddziałach miały zadecydować przyszłe czyny i postawa w czasie walk z nieprzyjacielem” – pisze Witek.

Pozyskiwanie przez ułanów niezbędnego wyposażenia nie zawsze przebiegało z zachowaniem prawnych reguł. Wspominał o tym sam Piłsudski: „Kawaleria, muszę wyznać otwarcie, nie odznaczała się poszanowaniem czyjejkolwiek własności, o ile chodziło o konia czy siodło. Formowana przez Belinę w okresie kieleckim, że tak powiem, z niczego, szukała ona stale albo konia, albo siodła, albo najczęściej i jednego, i drugiego”. Nie brakło sytuacji, kiedy Komendant rozstrzygać musiał awantury pomiędzy dowódcami samych ułanów, co do własności zwierzęcia.

► Przechylenie skrzydeł poezji

Józef Smoleński, przysły generał brygady, wspominał jednak, iż duma z bycia polskim ułanem silniejsza była niż wszelkie przywileje: „Często były wypadki, zwłaszcza w miesiącach początkowych, że do Beliny zgłaszali się starsi podoficerowie, a nawet oficerowie piechoty, mimo że powodowało to dla nich utratę stopnia. Był to najlepszy przykład, jak pociągala ludzi cecha dziedziczna Polaków – atrakcyjność kawalerii”.

To było w wielkiej części inteligenckie wojsko: „Emblematy kawaleryjskie, w pierwszym rzędzie

koń i szabla, dalej mundur, czako, sznury oraz cała elegancja i grandezza pociągała nawet najbardziej poważnych mężów – profesorów, literatów, doktorów różnych nauk, którzy z Sirko-Sieroszewskim na czele z dumą wkładali na bakier niewygodne czako, dopinali wyłogi munduru, przewieszali z fantazją kożuszek przez ramię i podkręcali siwego wąsa”.

Ten niecodzienny wygląd ułani zawdzięczali dowódcy, który rozumiał, że to ważna kwestia, bo z ochotniczych „dzikich” oddziałów czyni wojsko zakorzenione w polskiej historii. Belina wygląd mundurów konsultował z... muzealnikami.

Jeden z kawalerzystów wspominał potem: „Gadałi po całej brygadzie, że Belina szaleje czy oszalał, że z ułanów muzealne figury chce porobić”. I pisał dalej do swego dowódcy: „Rozumiałeś bowiem właśnie w czasach najcięższych, że świecidła stare, rycerskie posiadają – moc symbolu. I myśmny wszyscy rozumieli, że ty tak sprawę pojmujesz. Oddziałom zanurzonym w trosce i walce, w walce z wrogiem zewnętrznym, z własnym »liczykrupskim« społeczeństwem, przychyłałeś w widomym wspomnieniu strojów bohaterskiej legendy, skrzydeł poezji”.

I ta poezja pojawiała się w piosenkach, powstających zarówno na froncie, jak i później:

*Hej, tam pod Warszawą
Modra Wisła płynie,
Szemrzą fale, fale szemrzą
Piosnki o Belinie
– piosnki o Belinie.*

*Brak naszym ułanom
Lanc i chorągiewek,
Ale za to mają szczęście
Do sarmackich dziewczek
– do sarmackich dziewczek.*

*Gdy Moskale ujrzą
Ułańskie rabaty,
Uciekają strachem zdjęci
Moskiewskie psubraty
– moskiewskie psubraty.*

► Szkoła i eksperymenty z materiałami wybuchowymi

Skąd wziął się opiewany w pieśni pierwszy ułan II Rzeczypospolitej? „Rodzina mazowiecka, bardzo niegdyś znakomita i najpiękniejsza w Rzeczypospolitej piastująca senatorskie urzędy, nie należała przecież do rządu magnackich” – pisał o Prażmowskich Teodor Żychliński.

Władysław Belina-Prażmowski urodził się 3 maja 1888 r. w Ruszkowcu koło Opatowa w Świętorzyskiem. „Z pewnością poważny wpływ na dalsze jego losy wywarły tradycje rodzinne – ojciec był Powstańcem 1863 r., służył pod generałem Dionizym Czachowskim” – pisze Przemysław Witek. Czachowski był jednym z najwybitniejszych dowódców powstania styczniowego, zabitym przez Rosjan.

Piotr Hubiak pisze w książce „Belina i jego ułani”: „Dworek w Ruszkowcu, stojący wśród rozłożystych lip, położony na rozległym, płaskim wzniesieniu zwanym »Podborami«, ciągnącym się z północy ku południowi, od łąk wsi Ruszków. Prowadziła do niego wysadzona drzewami alejka”.

Belina wyrastał w świadomości, że kiedy dorosnie, będzie musiał stawić czoła zaborcom. Hubiak cytuje Jana Kawińskiego, przyjaciela Beliny z młodości: „Zaczął przeprowadzać doświadczenia z wykombinowanym przez siebie materiałem wybuchowym, co spowodowało urwanie dwóch palców jego ręki”.

W lutym 1905 r., po wybuchu strajku szkolnego, został – wraz z około setką uczniów – wyrzucony ze szkoły. Przeniósł się do jednego z warszawskich gimnazjów, gdzie w 1904 r. zdał maturę. Potem studiował górnictwo na Politechnice Lwowskiej, a następnie w Leoben w Austrii. W tym czasie został jednym z pierwszych członków założonego przez Kazimierza Sosnkowskiego Związku Walki Czynnej, później trafił do Związku Strzeleckiego. Brał udział w konspiracyjnych kursach instruktorskich we Lwowie i w Krakowie, ukończył też Wyższą Szkołę Oficerską Związku Strzeleckiego, otrzymując z rąk Piłsudskiego najwyższą oficerską odznakę „Parasol”.

Z korespondencji z Kazimierzem Sosnkowskim wynika, że w latach 1911–1912 brał udział w przygotowywaniu zamachów na rosyjskiego gubernatora oraz rosyjską kasę państwową, których ostatecznie nie udało się przeprowadzić. „Ja osobiście, będąc już zaszpiclowanym i wyspanym, jedynie dzięki pomocy płk. Beliny zdołałem wydostać się z Warszawy” – wspominał potem Sosnkowski.

Z rozkazu władz „Strzelca” zakładał w środowiskach polonijnych w Belgii, Francji i Szwajcarii oddziały tej organizacji. „W lipcu 1914 roku, wraz z Antonim Jabłońskim »Zdzisławem« wyjechał do Krakowa na letni kurs instruktorski. Nie wiedział, że następne dni zmienią nie tylko koleje jego życia, lecz także dzieje Polski” – pisze Hubiak.

► „Na karkach Moskali wjechał pan Belina”

Po opisanej na początku szalonej wyprawie „siódemki”, Belina stanął na czele tworzonej kawalerii. Jak pisze Witek, „już w okresie »marszu na Kielce« Belina był darzony wielką sympatią przez Piłsudskie-

go, do którego – jako jedyny poza szefem sztabu K. Sosnkowskim – zwracał się »Komendancie«, nie dodając jak inni »obywatelu«.

Dziesiątym przyjętym przez niego ułanem był ten dorównujący mu potem sławą, czyli Bolesław Wieniawa-Długoszowski. »Z grupki dziesięcioosobowej, która pojawiła się w Kielcach, stanął wkrótce pierwszy szwadron kawalerii liczącej około 140 szabel« – pisze Witek.

Jak wylicza, po walkach we wrześniu nad Nidą (pod Nowym Korczynem, Wiślicą, Szczytnikami i Czarnkową) szwadron Beliny otrzymał przydział do pozostającej pod niemieckim dowództwem 40 Brygady Kawalerii i wraz z nią toczył boje m.in. pod Łowiczem, Modlinem, Ozorkowem, Aleksandrowem i Łodzią.

Następnie wracał przez Częstochowę, Miechów i Ulinę do Krakowa. 1 listopada szwadron Belinaków został przekształcony w dywizjon, a w kilkanaście dni później skierowany w rejon Limanowej. 23 grudnia Belina został ranny.

„Belina dokonywał po prostu cudów. Biedni ułani na siodłach zdalnych do spacerów [...], uzbrojeni w długie, niezdatne do konnej służby karabiny, które do krwi rozdzierały im plecy, a jednak patrolowali wytrwale, robiąc niekiedy po 60–80 km dziennie w różnych kierunkach” – wspominał ten czas później Piłsudski. A pieśń o „szarej piechocie” zyskała dodatkową zwrotkę: „My w szarych mundurach bez krzyżów i kit/ Wśród wichrów jesiennych – wiośniani./ Bitw dawnych, zamierzchłych wskrzeszamy dziś mit/ Ułani Beliny – ułani”.

Po awansie na rotmistrza Belina brał udział w walkach pod Staszowem, Konarami, Włostowem, Lisowem, Bidzinami, Ożarowem, Tarłowem, nad Wyżnianką i pod Urzędowem. W lipcu 1915 r. kawaleria Beliny stanowiła czołówkę I Brygady Legionów wkraczającej do Lublina, co w wierszu opisał pisarz, poeta i legionista Edward Słoiński:

*Jak to było ładnie, kiedy do Lublina
Na karkach Moskali wjechał pan Belina!
Jak to było ładnie, gdy po tym na rynku
Stanął z ułanami w bojowym ordynku.*

► Drapieżni na cnotę niewieścia

Po głośniejszej lubelskiej wiktoryi beliniacy pełnili rolę zwiadu 1 Brygady w Siedleckiem. Potem toczyli walki na Wołyniu, gdzie już mało było polskiej, sprzyjającej im ludności – m.in. pod Maniewiczami, Stochowem i Styrem. Ale beliniacy się tym nie przejmowali.

Piłsudski podczas II Zjazdu Legionistów wspominał ich kwatrowanie na Polesiu Wołyńskim: „Pa-

mietam, jaką radość i życie wносиły do tego pustkowi najbujniejsze charaktery, najweselsze bractwo, kochankowie wszystkich kobiet, drapieżni na cnotę niewieścia, młodzi chłopcy ułańscy. Pamiętam, jak długi czas jeżdżąc po pustkowiach, trafiłem do pułku ułanów tzw. Belinaków. Zdumiony byłem tym, co się tu dzieje. Jest tu życie! Nawet kury chodzą, co było zjawiskiem zupełnie niesłychanym. Tu, przy Belinie, przy tym szlagońskim typie człowieka, gospodarzącym tu, na wsi, mającym cały szereg zalet i przywar szlacheckich, śmiech panował, tu, w tej wiosce, wieczorami odbywały się bale, tu wieczorami wyprawiano tańce, tu grała muzyka, tu było wesele, tu było życie – w ponurym obrazie wojny”.

Obyczaje rzuconych w dzikie tereny belinaków pokazuje opowieść jednego z nich dotycząca denerwującego ich narzeczonego siostry dowódcy: „Na dobitkę był mało urodziwy. Zezowaty, z okrągłą czerwoną twarzą, z iksowatymi nogami i limfatyczny. W sam raz na kawalerzystę! Mimo takiej urody i on miał powodzenie. Kiedyś z bagien przywiózł nam siano Poleszuck, który gdy zobaczył Kiedrzyńskiego, tak się nim zachwycił, że taki ładny, taki czerwony, i prosił, czy by ten ładny pan nie zechciał zrobić dziecka jego żonie. Namawialiśmy frajtra, ale nie chciał. Kiedyś złapaliśmy naszą sąsiadkę, starszą pannę, jak na wiejskie stosunki. Ewkę i wpakowaliśmy ją pod koc śpiącemu frajtrovi. Bronił się, a Ewka podrapała mu twarz”.

► Jak koń przebił bęben kopytem

Ów charakterek belinaków bywał też powodem smartwień Piłsudskiego. Tak było w marcu 1915 r. w Jędrzejowie, gdy nie spodobało im się traktowanie przez Austriaków. Na rynku doszło do szarży ułanów na... austriacką orkiestrę.

Belina relacjonował dziesięć lat później barwnie: „Gdyśmy wyjechali na rynek, otoczona gapiami orkiestra zaczyna grać do przeglądu hymn austriacki »Boże wspieraj, Boże chroń nam cesarza i nasz kraj«... Na dźwięk tej poważnej zresztą melodii odrywają się od szwadronu jeden oficer i ułan Serwich i na oszalałych koniach wpadają w orkiestrę... Zamilkła przerażona i rozbita orkiestra, a potrząskane bębny i trąby zasłwały bruk jędrzejowskiego rynku. Muzykalny koń naszego kolegi, nieznoszący widocznie cesarskiego hymnu, przebił kopytem dość wielki bęben i włókł go za sobą czas jakiś, przerażając konie w szwadronie. Serwicha zaś ponosiła najwyraźniej jego szkapa, dopędzająca oszalałych ze strachu grajków. Serwich jedną nogę miał w strzemieniu, drugą rozbijał szczątki wspaniałej orkiestry”.

W grudniu 1915 r. Prażmowski został dowódcą 1 Pułku Ułanów. W lipcu 1916 r. osłaniał odwrót

I Brygady po bitwie pod Kostiuchnówką. W 1917 r. awansował do stopnia majora.

Latem, podczas tzw. kryzysu przysięgowego, zgodnie ze wskazaniami Piłsudskiego odmówił złożenia przysięgi i otrzymał dymisję. Jak pisze Witek, „osiadł wraz z rodziną na wsi, gospodarując w dzierżawionym od Zamoyskich majątku ziemskim w Godziszowie koło Janowa Lubelskiego”. Zaangażował się tam w działalność POW. Jesienią 1918 r. w oddziałach POW brał udział w rozbrajaniu armii austriackiej na Lubelszczyźnie.

► Najpiękniejszy czyn wojenny

Po zakończeniu I wojny światowej Belina został organizatorem i dowódcą 1 Brygady Kawalerii, na czele której walczył z Ukraińcami i bolszewikami.

Sławę dało mu zdobycie Wilna w kwietniu 1919 r. O wydarzeniach mówił specjalny rozkaz wydany przez naczelnika państwa: „Przed wszystkim muszę jednak podnieść działanie oddziału jazdy pod dowództwem płk. Beliny-Prażmowskiego. Świetnie prowadzona jazda wspaniałym marszem obeszła cały układ sił wroga, by z tyłu wpaść do głównego siedliska wszystkich władz bolszewickich, śmiałym a nagłym napadem zajęła ona miasto, z ogromnymi zapasami materiału wojennego i utrzymała je pomimo ogromnej przewagi, aż do przyjścia piechoty. Jest to najpiękniejszy czyn wojenny, dokonany w tej wojnie, przez jazdę polską. Dziękujemy za to pułkownikowi Belinie Prażmowskiemu i jego szefowi sztabu majorowi Piskorowi”.

Oddziałem kawalerii dowodził także w czasie wojny polsko-bolszewickiej. O 7 Pułku Ułanów Lubelskich śpiewano w „żurawiejce”: „O siódmecze, czy wy wiecie, to Beliny lewe dziecię. Lance do boju, szable w dłoń, bolszewika goń, goń, goń”.

► „Dopasowany do złotych ram legendy”

W czasie pokoju przeniesiony do rezerwy pułkownik Belina pełnił liczne funkcje urzędnicze, w tym urząd prezydenta Krakowa oraz wojewody lwowskiego.

W Krakowie, gdzie mieszkał od 1929 r., był prezesem Oddziału Krakowskiego Związku Legionistów. Od 1931 r. – prezydentem tego miasta. Urząd wojewody lwowskiego sprawował w latach 1933–1937. Potem wrócił do Krakowa, gdzie został dyrektorem generalnym Jaworznickich Komunalnych Kopalń Węgla SA. W 1937 r. przeszedł na emeryturę ze względu na pogarszający się stan zdrowia.

Tymczasem wśród Polaków legenda ułana Beliny i jego bohaterskich czynów narastała przez lata. Świet-

ny krakowski pisarz, felietonista i kibic Cracovii Zygmunt Nowakowski próbował opisać przyczyny tej popularności: „To był ktoś prosto z Sienkiewicza idący, ktoś na miarę ludzi, o których doli i niedoli czyta się z zapartym tchem, w lęku nieustannym, w serdecznej trosce o ich życie, na hazard ustawicznie rzucane. Nie mając nic z szablonu, był przecież jakby dopasowany do złotych ram legendy, wzorowy, heroiczny, w każdym calu i na milimetr. Jota w jotę taki sam, jak sobie dziecko czy człowiek dorosły wyobrażał zwykły herosa”.

Jak stwierdza Tomasz Gąsowski, autor wstępu do książki „Belina i jego ułani”, „postać zamazystego junaka, dzielnego oficera kawalerii z czasów I wojny światowej oraz wojny polsko-bolszewickiej, jakim był legendarny »Belina« [...] dla kilku pokoleń Polaków stanowiła ważny punkt odniesienia w patriotycznej edukacji”.

Nie jest tajemnicą, dlaczego legenda ta zakazana była w czasach komunistycznych – pogromca zarówno carskich, jak i, co gorsza, bolszewickich Rosjan był ostatnią postacią, którą poznawać powinna młodzież.

► Z Komendantem na wspólnej kwaterze

Zmarł 13 października 1938 r. w Wenecji, gdzie odbywał zdrowotną kurację. Osierocił żonę Anastazję z Rudzkich i trójkę dzieci – Alinę, Janusza oraz Lecha. Pierwszy z synów zginął potem jako pilot w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, drugi znalazł się na wygnaniu w Kanadzie.

Jak pisze Witek, uroczystości pogrzebowe w Krakowie były wielką patriotyczną manifestacją, porównywalną w swych rozmiarach do pożegnania marszałka Piłsudskiego trzy lata wcześniej. Na wszystkich polskich stacjach, które miały pociąg wiozący ciało Beliny z Włoch, czekały tłumy. W Krakowie zebrały się one na Rynku Głównym. Generał Kazimierz Sosnkowski po przemówieniu udekorował trumnę Wielką Wstęgą Orderu Polski Odrodzonej. Adam Kowalski, autor wielu piosenek legionowych, napisał na pożegnanie:

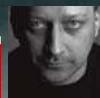
*Czyś ty myślał onegdaj, buńczuczny Belino,
Że miast hucznnej i krewkiej fantazji ułańskiej
Przez ciebie do Krakowa na Polskę popłyną
Pojęki dzwonów śmierci, smętny Anioł Pański...*

*Czyś ty postrzegł oczami swymi sokolimi
Twey jazdy szlak ostatni, po którym twa sława
Na marach do Ojczyzny wróci z włoskiej ziemi,
Z tej ziemi, gdzie posługuje uczeń twój, Wieniawa...*

*Czyś ty przeczuł, Belino, najpierwszy ułanie,
Że czerni kiru amarant twój świetny ubierze,
Byś z frontu już na wieczne odszedł spoczywanie
U Boga, z Komendantem na wspólnej kwaterze...*



Piotr Lisiewicz



Czy będzie Smoleńsk II?

Jarosław Kaczyński jest chory na raka trzustki lub cukrzycę, premier i ministrowie mają skłonność do brawurowej jazdy samochodem, a poza tym liderzy PiS to homoseksualiści – taki przekaz jest kolportowany oficjalnie i plotkarsko w mediach w ciągu ostatnich miesięcy. W tym samym czasie życzenie Kaczyńskiemu śmierci i fizyczna agresja wobec niego stają się – ewolucyjnie – w owych mediach czymś dozwolonym, akceptowanym przez osoby publiczne. Kto czytał Annę Politkowską i Aleksandra Litwinienkę, kto pamięta atmosferę sprzed katastrofy smoleńskiej i metody jej tuszowania, temu musi włączyć się lampka ostrzegawcza.

Ilustracja mima pokazane fot. Konradak - Fotolia

Na naszych oczach debata polityczna w Polsce przestaje być ostrym, ale otwartym sporem dwóch obozów. Coraz silniej nasycona zostaje ona insynuacjami, inicjowanymi przez postaci nieuznawane przez nikogo myślącego za wiarygodne, w rodzaju Zbigniewa Stonogi. Potem jednak są one wzmacniane aluzjami pojawiającymi się w mediach zaliczanych już do głównego nurtu. Przykładem tego był głośny występ w programie Moniki Olejnik Piotra Pytla, byłego szefa wojskowych służb, który powtórzył – bez akceptacji czy negacji – sugestię, iż liderzy PiS interesują się młodymi chłopcami.

► Zbiórka na nowe seicento dla bohatera

Wspomniany Litwinienko, który pracował w oddziale FSB likwidującym ludzi niewygodnych dla Moskwy, opisywał, że każda taka zbrodnia przygotowywana jest marketingowo, ot, jak każdy inny wprowadzany na rynek produkt.

Ludzie od mokrej roboty to najmniej istotna grupa pracowników FSB. Najważniejsi to ci, którzy reżyserują przyszły odbiór społeczny zbrodni – na długo przed jej dokonaniem. W mediach lub w sieci pojawiają się wcześniej notki, że ten i ów popadł w depresję, ma myśli samobójcze albo interesy w branży paliwowej, gdzie non stop się do siebie strzela.

Po co? Po to, by te „rewelacje” zostały odnalezione przez dociekliwych internautów już po przeprowadzeniu „operacji specjalnej”. Metod zohydzenia przyszłej ofiary jest rzecz jasna wiele. Wiele wskazuje, że podobny mechanizm wobec liderów obozu niepodległościowego jest uruchamiany obecnie.

Seria wypadków samochodów prezydenta i członków rządu spowodowała wysyp medialnych materiałów sugerujących, że są oni piratami drogowymi. Czyli jeśli za jakiś czas zginą, zdziwionych tym faktem będzie mniej.

Kto najostreżniej wypowiadał się w mediach w tej kwestii? Szczególnie dwa nazwiska wydają się tu ciekawe: byłego szefa BOR Mariana Janickiego i byłego milicjanta Jerzego Dziewulskiego.

Sugestia, że Jarosław Kaczyński jest chory na cukrzycę, pojawiły się w „Newsweeku”, a Zbigniew Stonoga napisał o raku trzustki, co ochocho potwierdził odkopany Janusz Palikot. Plotki na ten temat powtarzane są wśród dziennikarzy szeroko, więc w razie jakichś niecodziennych wydarzeń dotyczących lidera PiS, będą oni brali je pod uwagę.

Kampania osławiająca zwykłych Polaków z myślą, że może lepiej byłoby, gdyby Jarosław Kaczyński zniknął, rozgrywa się od Wawelu po skandalizujący warszawski teatr. Organizowanie zbiórki pieniędzy na nowe seicento dla kierowcy, który wjechał w samochód premier Beaty Szydło, jest tego świetnym przykładem. Kiedy ostatnio przeprowadzono podobną akcję? Chyba wówczas, gdy chciano wesprzeć rodzinę kierowcy TIR-a, który próbował udaremnić zamach w Berlinie. Rozwalenie samochodu pani premier to też bohaterstwo – tak rozumieją to niektórzy.

► Autocenzura

Wielu publicystów związanych z obozem niepodległościowym zawahałoby się przed napisaniem podobnego tekstu, mimo że ich sprostowania niewiele różnią się od moich.

Po pierwsze dlatego, że wydarzenia z pozoru zwyczajne, ataki z użyciem czarnego PR-u czy kolportowane plugawie plotki mogą mieć różnorodne przyczyny i źródła. A wyciąganie z nich spiskowych wniosków naraża publicystę na zarzut bycia osobą niepoważną, a może nawet nie do końca zrównoważoną.

Po drugie – tego argumentu nie lekceważy także niżej podpisany – powtarzanie, nawet ostro dementujące, plotek kolportowanych przez rosyjską agencję wpływu jest ich mimowolnym popularyzowaniem.

Po trzecie zaś, w ostatnim czasie „rusofobia” stała się trochę mniej popularna na prawicy. Dlaczego? Polska odpięra ataki ze strony państw-liderów UE oraz finansowanych przez Sorosa organizacji pozarządowych, natomiast obóz prorosyjski robi wrażenie, jakby zapadł się pod ziemię.

Tymczasem kilka tygodni temu ledwo zauważony przez polskie media przemknął news, że brytyjski dziennik „Daily Telegraph” ujawnił, iż Rosja próbowała w 2016 r. zorganizować zamach na ówczesnego premiera Czarnogóry Milo Djukanovicia. Miała to być próba destabilizacji kraju i zapobieżenia jego przyłączenia do NATO. Predrag Bosković, minister obrony Czarnogóry, mówił „Daily Telegraph”, że zamach był „sfinansowany i zorganizowany przez rosyjski wywiad sprzymierzony z lokalnymi radykałami”. Jeden z brytyjskich rozmówców gazety powiedział, że to „kolejny akt coraz bardziej intensywniej kampanii mieszania się Rosji w sprawy Zachodu” i wymienił agresję na Ukrainę oraz oskarżenia o ataki hakerskie na Estonię i Stany Zjednoczone podczas kampanii prezydenckiej.

► Małpki i szaleństwo w powietrzu

Nie ma wątpliwości, że owa autocenzura polityków i publicystów jest zawsze częścią planu „operacji specjalnej” przygotowywanej przez Moskwę i jej „lokalną” agencję. Zamach, który brany jest pod uwagę przez znaczące postaci życia społecznego, przestaje być dla Moskwy opłacalny, bo owe wypowiedzi mogą się okazać ważniejsze od kolportowanych insynuacji.

By zrozumieć, jak ten mechanizm działa, warto przeanalizować to, co działo się przed i po katastrofie smoleńskiej. W 2008 r. w mediach rozpętano wielką kampanię dotyczącą tego, że prezydent Lech Kaczyński wydał pilotowi polecenie lądowania w Gruzji, a ten odmówił. W największych mediach powtarzano tę informację w kółko, do znudzenia wracano do niej, komentowano ją w najostrejszych słowach. Główną rolę odgrywały tu media i dziennikarze pozytywnie oceniający rolę WSI.

Już kilkanaście dni po 10 kwietnia sprawa zaczęła być głośno przypomniana w głównych mediach. Mimo że rzecz była nieporównywalna – prezydent Kaczyński nie kazał pilotowi w Gruzji lądować mimo złych warunków, a po prostu polecił do kraju, w którym nie jest bezpiecznie.

Podczas kolejnej wizyty w Gruzji, w listopadzie 2008 r., kolumna samochodów z prezydentami Polski i gospodarzy została ostrzelana w drodze z lotniska w Tbilisi do osiedli przy granicy z Osetią. Obecność tam sił rosyjskich była niezgodna z zawartym porozumieniem pokojowym.

W polskich mediach ostrzelanie prezydenckiej kolumny potraktowano jako mało ważny incydent, sprowokowany – jak sugerowano – przez obu antyrosyjskich prezydentów. Zaskakujące słowa wypowiedział wówczas marszałek Sejmu Bronisław Komorowski, jedyny poseł PO, który głosił przeciwko likwidacji WSI. Stwierdził on, że „rzekome ostrzelanie samochodów z prezydentami Polski i Gruzji budzi poważne wątpliwości. Żaden snajper nie spudłowałby z 30 metrów”. Wypowiedział także słowa „jaka wizyta, taki zamach”.

Wśród licznych plugawych wypowiedzi Janusza Palikota sprzed 10 kwietnia 2010 r. zwraca uwagę jedna dość zaskakująca, a mianowicie sugerowanie alkoholizmu prezydenta. Palikot mówił m.in. o tym, że Kancelaria Prezydenta Lecha Kaczyńskiego kupuje masowo małe buteleczki alkoholu, czyli tzw. małpki, z których piją osoby uzależnione.

Ta sugestia Palikota nijak nie pasowała do kampanii obelg wobec Lecha Kaczyńskiego. Miał on być raczej moherowym sztywniakiem niż luzakiem imprezowiczem. Po 10 kwietnia pojawiło się

więc pytanie, czy nie były to przygotowania pod przyszłe kłamliwe oskarżenie generała Andrzeja Błasika, że na pokładzie tupolewa był pijany.

► Odczłowieczanie Lecha Kaczyńskiego

Dziś wielu przedstawicieli medialnego mainstreamu wspomina, że w gruncie rzeczy dobry śp. Lech Kaczyński był zupełnie inny od złego, radykalnego Jarosława. To powrót do sytuacji z 2005 r., gdy przekaz głosił, że może i Lech Kaczyński nie byłby najgorszym prezydentem, gdyby nie to, że nie potrafi się obronić przed podpowiedziami brata.

Ale w miesiącach poprzedzających Smoleńsk przekaz był zupełnie inny – to Lech Kaczyński stał się dla mediów wrogiem traktowanym z największą brutalnością. Pamiętam, że byłem bardzo zdziwiony, gdy nagle pod jego adresem zaczęły poja-

tów w Gruzji – Polaków z możliwością zamachu na prezydenta. Przekonanie, że Lech Kaczyński jest szkodnikiem, którego zniknięcie byłoby czymś korzystnym, nasiliło się po jego słowach wypowiedzianych w 2009 r. na Westerplatte w obecności Władimira Putina, które odnosiły się do inwazji na Gruzję: „To problem nie tylko totalitaryzmu, to problem wszelkich imperialnych czy neoimperialnych skłonności. Przekonaliśmy się o tym w zeszłym roku. [...] Z Monachium trzeba wyciągnąć wnioski, które sięgają czasu współczesnego, imperializmowi nie wolno ustępować. Nie wolno ustępować imperializmowi ani nawet skłonnościom neoimperialnym. Nie zawsze, tak jak w przypadku Monachium, daje to tak szybkie i tragiczne rezultaty. Ale z czasem takie rezultaty przychodzą zawsze. To wielka nauka dla całej współczesnej Europy, dla całego świata”.

SERIA WYPADKÓW SAMOCHODÓW PREZYDENTA I CZŁONKÓW RZĄDU SPOWODOWAŁA WYSYP MEDIALNYCH MATERIAŁÓW SUGERUJĄCYCH, ŻE SĄ ONI PIRATAMI DROGOWYMI. CZYLI JEŚLI ZA JAKIŚ CZAS ZGINĄ, ZDZIWIWONYCH TYM FAKTEM BĘDZIE MNIEJ.

wiać się najgorsze wyzwiska, w tym „odczłowieczanie go” jako „mlaskającego karła” itp. Nierzadko w tej kampanii dzikiej nienawiści brali udział ci sami dziennikarze, którzy wcześniej uważali Lecha za lepszego od Jarosława.

Przechodziło mi przez myśl, że to może taktyka i prezydent uznany został za ostatni atut odsuniętego w 2007 r. od władzy obozu niepodległościowego. Ale niekorzystne dla Lecha Kaczyńskiego sondaże wcale tego nie potwierdzały.

Po Smoleńsku nie miałem wątpliwości, że ta akurat kampania była w wykonaniu niektórych dziennikarzy przygotowującym gruntu pod zbrodnię. Choć oczywiście mogli oni tylko wykonywać polecenia i nie wiedzieć, że ich brudne zachowania służą temu, by Polacy nie żałowali zabitego prezydenta.

► Oswajanie

Obok „odczłowieczania” było też „oswajanie” – przynajmniej od czasu ostrzelania obu prezyden-

Po 10 kwietnia 2010 r. kilkakrotnie wypowiedział się o Smoleńsku Aleksander Dugin, ideolog eurazjatyizmu i doradca Putina. Wydaje się, że wypowiedzi te dokładnie odzwierciedlały przekaz, jaki wśród postkomunistycznych elit III RP oraz lemingów zaszczerpić miała rosyjska agentura wpływu.

Dugin mówił, że choć nie był to zamach, to śmierć ta była przejawem „immanentnej sprawiedliwości”. Bo celem ich wizyty miał być czarny PR, a prezydent Polski nie leciał do Rosji jako przyjaciel. Nie leciał też bynajmniej do Rosjan, lecz chciał „rozbudzić prozachodnią, katolicką, rusofobiczną tożsamość Polaków”. „Dlatego Kaczyński zabrał ze sobą całe kierownictwo państwa, żeby przed kamerami światowych mediów kolejny raz zadać historyczny cios Rosji. To forma wojny cywilizacyjnej” – przekonywał w rozmowie z portalem Nakanune.ru. Choć Dugin uznawał za bardzo niestosowne komentarze internautów, że „dobrze im tak” i „trzeba było nie napadać na Rosję”, to jednak wyraźnie przestrzegał: „Kto przyjdzie do nas z mieczem, ze złem lub czarnym PR-em, ten sam zginie”.

1

1. Ksiądz Bolestaw Stefański „Stefan”
2. Ksiądz Stanisław Brzóska „Generał Brzeziński”, ostatni walczący powstaniec styczniowy
3. Ksiądz Władysław Gurgacz „Sem” ze st. sierż. Stanisławem Szajną „Orłem”
4. Ksiądz Władysław Gurgacz „Sem” przed Mszą świętą z oddziałem Polskiej Podziemnej Armii Niepodległościowej

Dariusz Jarosiński



Kapłani WYKŁĘCI



2



4



Można mówić o wspólnocie losów Żołnierzy Wyklętych i powstańców styczniowych – i jedni, i drudzy „żyli prawem wilka”. Jedni byli wymazywani z pamięci przez carską ochronę, drudzy przez komunistów i postkomunistów. Zarazem i w jednym, i w drugim przypadku znajdziemy postaci dzielnych przedstawicieli stanu duchownego, którzy aktywnie włączyli się w walkę z ciemniznami.

Rzadko się o tym mówi, ale w 2011 r. z preambuły projektu sejmowego ustanawiającego 1 marca Narodowym Dniem Pamięci Żołnierzy Wyklętych, pod koniec prac legislacyjnych w Sejmie, na wniosek posłów SLD i PO, usunięto sformułowanie „powstanie antykomunistyczne”. Szkoda, bo chyba już żaden rzetelny historyk nie ma wątpliwości, że w Polsce w latach 1944–1953 mieliśmy do czynienia z narodowym powstaniem przeciwko bolszewickiej okupacji, które było kontynuacją powstania antyniemieckiego – operacji „Burza”. „W hołdzie Żołnierzom Wyklętym – bohaterom Powstania Antykomunistycznego” – tymi słowami zaczynała się preambula projektu ustawy przesłanego w 2010 r. przez Kancelarię Prezydenta Lecha Kaczyńskiego do Sejmu. Należy wspomnieć, że projekt ten wpłynął do Sejmu miesiąc przed tragicznym lotem do Katynia.

Ku pamięci: ośmiu posłów było przeciwnych ustanowieniu Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych: pięciu z PO, jeden z SLD i dwóch tzw. niezależnych – Andrzej Celiński i Kazimierz Kutz.

Jako pierwszy określił powstanie antykomunistyczne użył na początku lat 90. Bohdan Urbanowski, poeta, pisarz. Wtedy wymagało to dużej przenikliwości, wyobraźni, bo rodzimi historycy wciąż jeszcze bajdurzyli o wojnie domowej.

► Kapelan wszystkich sił powstańczych

Istnieje wiele analogii między powstaniem styczniowym 1863 r. a powstaniem antykomunistycznym po 1944 r. Żołnierze Wyklęci z tą samą determinacją, z tym samym pragnieniem wolności, w imię Boże walczyli w beznadziejnej sytuacji z okupantem ze Wschodu, tak jak ich przodkowie w 1863 r. Wyklęci prowadzili najbardziej zacięte walki w tych samych regionach, w których też najsilniejszy był opór powstańców styczniowych – na Podlasiu, Mazowszu oraz we wschodnich i południowych województwach.

I w jednym, i w drugim powstaniu ogromną rolę odegrali polscy kapłani, wielu z nich pełniło funkcję nie tylko kapelanów, nie tylko modlitwą wspierało żołnierzy, lecz także walczyło z bronią w rękę, a byli również tacy, którzy dowodzili oddziałami partyzanckimi.

Najbardziej znanym duchownym jest ksiądz Stanisław Brzóska, wyklęty przez Rosjan, ścigany i tropiony przez nich do wiosny 1865 r. W momencie wybuchu powstania styczniowego ksiądz Stanisław miał 29 lat, a za sobą już spore doświadczenie. Jako wikary w parafiach w Sokołowie Podlaskim, w Łukowie potrafił dzięki niezwyklej charyzmie zdobyć serca swoich parafian. Za głoszenie patriotycznych kazań, które zdaniem służb carskich były „podburzaniem wiernych w duchu religijno-narodowym”, odbył karę kilku miesięcy więzienia. Po wyjściu z twierdzy zamojskiej nie zaprzestał wrogiej wobec caratu działalności, a wręcz bardziej ją wzmógł. W powstaniu sformował własny oddział, został naczelnikiem powiatu łukowskiego. Z czasem uzyskał stopień generalski i funkcję kapelana wszystkich sił powstańczych. W 1864 r., kiedy powstanie chyliło się ku upadkowi, kiedy sytuacja była beznadziejnie trudna, ksiądz Stanisław Brzóska na czele niewielkiego oddziału konnego dalej prowadził walkę partyzancką. Długo wymykał się oblacom rosyjskich żołnierzy, w końcu zdecydował się na rozwiązanie oddziału. Wraz ze swoim oddanym adiutantem, przyjacielem Franciszkiem Wilczyńskim, znaleźli schronienie we wsi Krasnodęby-Spytki w gminie Sokołów Podlaski. Przyjął ich w swoim gospodarstwie sołtys Ksawery Bieliński. 28 kwietnia 1865 r. Rosjanie dopadli księdza Stanisława i jego adiutanta. Dwaj ostatni powstańcy styczniowi zostali powieszani w publicznej egzekucji w Sokołowie Podlaskim 23 maja.

Jest coś symbolicznego w fakcie, że kiedy w PRL obchodzono 100. rocznicę powstania styczniowego, oczywiście w takim wymiarze, na jaki pozwalała komunistyczna władza, na Lubelszczyźnie, 21 października 1963 r. został ujęty i zabity ostatni partyzant

powstania antykomunistycznego, sierżant Józef Franczak „Laluś”.

23 maja 2008 r., w 145. rocznicę wybuchu powstania styczniowego, śp. prezydent RP prof. Lech Ka-
czyński odznaczył pośmiertnie ostatniego niezłom-
nego powstańca, księdza Stanisława Brzóske, naj-
wyższym polskim odznaczeniem – Orderem Orła
Białego.

► **Ufność swą położyłem w Matce Najświętszej**

Ojciec Władysław Gurgacz ps. Sem, jezuita, mi-
styk, kapelan nowosądeckich Żołnierzy Wyklętych,
wydaje się ciągle postacią znaną jedynie w wąskim
kręgu historyków. Urodził się w 1914 r. w niewiel-
kiej wiosce Jabłonica Polska w pobliżu Krosna, jego
wsią parafialną była Kombornia. Ta nazwa może coś
mówić polonistom, bo tutaj przyszedł na świat zna-
ny profesor USB i UJ, historyk polskiej literatury Sta-
nisław Pigoń, który swoje wspomnienia pomieścił
w książce „Z Komborni w świat”. Warto też wspo-
mnąć, że w pobliskiej wiosce, w sąsiedniej gminie
powiatu brzozowskiego na Podkarpaciu, urodził się
w 1913 r. kpt. Romuald Rajs „Bury”.

Władysław Gurgacz po ukończeniu krośnieńskie-
go gimnazjum wstąpił w wieku 17 lat do Towarzy-
stwa Jezusowego w Starej Wsi. Pierwsze śluby zakon-
ne złożył po dwóch latach. Pisane przez niego listy
do matki z kolegium jezuickiego w Pińsku, do które-
go później trafił, świadczą, iż oddał się całkowicie Bo-
gu i Matce Boskiej. Pisał do matki: „Znalazłem szczę-
ście w świętym Towarzystwie Jezusa i nie kłopotzę
się zbytnio o przyszłość, bo ufność swą położyłem
w Matce Najświętszej. Pisałem Wam już nieraz
o tym, jak opieka Matki Najświętszej oraz Jej błogo-
sławieństwo towarzyszy mi bez ustanku od pierw-
szych chwil życia zakonnego”.

Podjęte w 1937 r. studia filozoficzne w krakow-
skim kolegium jezuickim przerwał wybuch wojny.
Jeszcze kilka miesięcy przed jej wybuchem,
w Wielki Piątek 1939 r., Władysław udał się na Ja-
sną Górę i złożył akt całkowitej ofiary ze swego ży-
cia. Na początku września 1939 r. władze zakonne
zdecydowały się ewakuować kleryków do Dubna
na Wołyniu. Chciały zapewnić im bezpieczeństwo,
a okazało się, że to właśnie tam, na wschodzie Pol-
ski, czeka na nich duże zagrożenie ze strony bol-
szewików. Wkrótce po wkroczeniu Sowieców na
teren Wołynia, po 17 września, zaczęły się masowe
aresztowania. Władysławowi udało się uniknąć so-
wieckiej niewoli, po wielu trudach dotarł przez
zieloną granicę do Nowego Sącza. W sierpniu
1942 r. otrzymał w kaplicy jasnogórskiej święcenia
kapłańskie z rąk księdza biskupa Teodora Kubiny.

Jako młody kapłan pełnił posługę duszpasterską
w Kamiennej koło Wiślicy. W tym czasie ujawnił
się nie tylko jego talent kaznodziejski, lecz także
malarski. Obrazy ze scenami religijnymi sygnował
inicjałami SM, czyli Sługa Maryi. Nadal kontynu-
ował studia filozoficzne w Warszawie, ale kiedy
dały o sobie znać kłopoty ze zdrowiem, wiosną
1944 r. został przeniesiony do Starej Wsi. Gdyby
pozostał w Warszawie, niechybnie podzieliłby los
swoich współbraci z kolegium jezuitów, których
niemal wszystkich zamordowali niemieccy opraw-
cy w drugim dniu powstania warszawskiego.

Po przeprowadzonych specjalistycznych badaniach
lekarskich ojciec Władysław został skierowany w kwiet-
niu 1945 r. do szpitala w Gorlicach. Tutaj, oczekując na
operację, podjął obowiązki kapelana szpitalnego, oddał
siebie, całe otoczenie szpitalne pod opiekę Matki Naj-
świętszej. Szpitalna kaplica stała się też miejscem spo-
tkań z ludźmi podziemia antykomunistycznego, zagro-
żonymi aresztowaniem akowcami, żołnierzami NSZ.
To wówczas zaprzyjaźnił się z por. Stanisławem Pióro
„Emirem”, późniejszym przywódcą i jednym z twórców
Polskiej Podziemnej Armii Niepodległościowej. Ojciec
Władysław coraz wyraźniej zaczął postrzegać zagroże-
nia płynące ze strony bolszewii. We wrześniu 1947 r.
prowincjał zakonu powierzył ojcu Władysławowi funk-
cję kapelana u sióstr słuźebniczek Najświętszej Maryi
Panny Niepokalanie Poczętej w Krynicy. Siostry prowa-
dziły ochronkę, ośrodek dla osieroconych dzieci. W gło-
szonych kazaniach w kościele w Krynicy ojciec Włady-
sław nie pozostawiał suchej nitki na komunistach, od-
krywał przed wiernymi ich rzeczywiste zamiary wobec
polskiego narodu. Jesienią 1947 r. komuniści dwukrot-
nie próbowali zabić księdza, ale kapłan wychodził
z opresji na szczęście bez szwanku. Wojewódzki Urząd
Bezpieczeństwa Publicznego w Krakowie i powiatowa
bezpieka w Nowym Sączu wszczęły wówczas wobec ka-
plana sprawę o kryptonimie „Jezuita”.

► **W zgodzie z własnym sumieniem**

Przyjaciele kapłana – por. AK Jan Matejak „Brze-
ski” oraz por. Stanisław Pióro „Emir” – nie mieli złu-
dzeń, że trzeci zamach na życie ojca Władysława mo-
że okazać się skuteczny. Na ich prośbę duchowny
przyłączył się do utworzonej w 1947 r. organizacji
konspiracyjnej o nazwie Polska Podziemna Armia
Niepodległościowa. Organizacja miała charakter cy-
wilny, prowadziła akcje propagandowe, edukacyjne.
Wiosną 1948 r. z członków PPAAN został utworzony
zbrojny oddział leśny nazwany „Żandarmeria” – i to
do tego oddziału partyzanckiego trafił jezuita. Zrazu,
jak proponował ojciec Władysław, oddział miał się
nazywać Pierwszy Podhalański Oddział Partyzantów

pod Wezwaniem Najświętszej Marii Panny Królowej Różańca Świętego.

Przełożeni duchownego z Towarzystwa Jezusowego, a w szczególności ksiądz Wojciech Krupa, prowincjał Małopolskiej Prowincji, byli zdecydowanie przeciwni jego obecności w oddziale. Doszło do konfliktowej sytuacji. W czerwcu 1948 r. ojciec Władysław poinformował w liście ojca prowincjała, że w zgodzie z własnym sumieniem postanowił o pozostaniu w oddziale partyzanckim. Ksiądz Krupa obawiał się, że działalność konspiracyjna ojca Władysława może stać się pretekstem do represji komunistów wobec zakonu. 28 czerwca 1948 r. ksiądz Krupa poinformował Wojсковą Prokuraturę Rejonową w Krakowie o usunięciu ojca Władysława z zakonu z powodu niesubordynacji. Prawdopodobnie formalnej dysmisji jednak nie było.

W oddziale ojciec Władysław otrzymał funkcję kapelana, przyjął pseudonim „Sem”, utworzony od skrótu SM – Sługa Maryi (z języka łacińskiego Servus Mariae). Partyzanci zwracali się do niego per „ojcze”. Szybko zdobył zaufanie żołnierzy. Odprowadzał Msze Święte, spowiadał, głosił kazania, prowadził dyskusje na tematy religijne. Dbał o to, by partyzanci prowadzili walkę z komunistami zgodnie z etyką chrześcijańską. Oczywiście nie było to łatwe. Przyzwalał na przykład na zabór mienia państwowego czy spółdzielczego, bo uważał, że nie jest to suwerenne państwo polskie, a bolszewicka okupacja. Żołnierze „Żandarmerii” nie inicjowali starć zbrojnych, jeżeli dochodziło do potyczek, to w obronie własnej. Operowali w Beskidzie Sądeckim, główna baza partyzantów znajdowała się na Hali Łabowskiej, u podnóża której leży wioska Maciejowa. Przed tamtejszą szkołą w 1912 r. został odsłonięty pomnik dedykowany żołnierzom Polskiej Podziemnej Armii Niepodległościowej.

Wiosną 1949 r. oddział „Żandarmerii” liczył około dwudziestu partyzantów. Bezpieka nowosądecka, wspierana przez funkcjonariuszy z Krakowa, zintensyfikowała operację „Karpaty”, mającą na celu zlikwidowanie beskidzkich Żołnierzy Wykłętych. Całą akcją dowodził ubek z Krakowa, Stanisław Wałach, naczelnik wydziału III WUBP, późniejszy „literat”, który opisywał w swoich książkach-paszkwilach walkę z podziemiem antykomunistycznym na południu Polski. Nieustannie przeprowadzane obławy przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa i żołnierzy KBW sprawiły, że oddział został podzielony na trzy grupy, aby łatwiej można było się ukrywać. Pierwszą grupą dowodził por. Stanisław Pióro „Emir”, drugą Mieczysław Rembiasz „Orlik”, a trzecią ppor. Stefan Balicki „Bylina”. Ojciec Władysław „Sem” trafił do grupy tego ostatniego.

Wobec coraz trudniejszej sytuacji, codziennego zagrożenia, żołnierze ppor. „Byliny” postanowili zdobyć pieniądze na tzw. legalizację, czyli ułożenie sobie życia na nowo na Ziemiach Odzyskanych. W rodzinnych stronach byli spaleni. 2 lipca 1949 r. partyzanci ppor. „Byliny” napadli w Krakowie na konwojentów banku przenoszących pieniądze. Akcja nie powiodła się, wszyscy członkowie grupy zostali aresztowani. Obserwujący akcję z oddali ojciec Władysław „Sem” mógł uciec, swobodnie wyjechać z Krakowa, ale czuł się odpowiedzialny za kolegów, więc zgłosił się dobrowolnie na milicję. „Moje miejsce jest tam, gdzie moich chłopców. Byliśmy razem, dlatego do końca będziemy dzielić wspólny los” – mówił później ojciec Władysław w czasie przesłuchania.

Dwie pozostałe grupy Polskiej Podziemnej Armii Niepodległościowej również zostały rozbite. 11 czerwca 1949 r. zginął w zasadzce Mieczysław Rembiasz „Orlik”, miesiąc później w czasie obławy śmierć ponieśli trzej jego żołnierze. 14 sierpnia w wyniku prowokacji ubeckiej na pograniczu polsko-czechosłowackim rozbita została grupa por. Stanisława Pióro „Emira”. Akcją dowodził ubek Stanisław Wałach. „Emir”, znajdując się w beznadziejnej sytuacji, nie chcąc wpaść w ręce ubeków, popełnił samobójstwo. Tadeusz Ryba „Jeleń”, zmarły w październiku ubiegłego roku ostatni żołnierz Polskiej Podziemnej Armii Niepodległościowej, wspominał, że Wałach, przechodząc wśród rannych partyzantów ppor. „Emira”, kopał ich.

► Bądź mi sędzią, Boże

Krakowskim ubekom trafiła się nie lada gratka, bo dopadli grupę ppor. „Byliny” na gorącym uczynku, w czasie napadu na konwojentów banku, a wraz z nimi ujęli księdza katolickiego. Procesowi nadano szczególnie rozgłos, komunistyczna propaganda nie mogła nie wykorzystać okazji do zaatakowania Kościoła katolickiego oraz „podziemia będącego na usługach Watykanu”. Proces w komunistycznych gazetkach usłużni dziennikarze nazywali „procesem bandy księdza Gurgacza”. Wedle relacji radiowych i prasowych ksiądz miał wpajać członkom „bandy zbrojnej” nienawiść do „systemu sprawiedliwości społecznej”, namawiać do zabijania, kradzieży, napadów.

Ojciec Władysław w czasie pokazowego procesu zachowywał się niezwykle godnie, ze spokojem tłumaczył idee Polskiej Podziemnej Armii Niepodległościowej, odwoływał się do nauki Kościoła, do religii katolickiej, wspierał też duchowo żołnierzy ppor. „Byliny”. Komuniści nie mogli sobie pozwolić na zapisanie wypowiedzi księdza w protokole,

więc je sfalszowali. Danuta Suchorowska, autorka dwóch książek biograficznych o ojcu Władysławie wydanych w PRL w drugim obiegu, dotarła do osób obecnych na procesie i zebrała ich relacje. Na zakończenie procesu książd mówił m.in.: „Ci młodzi ludzie, których tutaj sądzicie, to nie bandyci, jak ich oszczerczo nazywacie, ale obrońcy Ojczyzny! Nie żałuję tego, co czyniłem. Moje czyny były zgodne z tym, o czym myślą miliony Polaków, tych Polaków, o których obecnym losie zadecydowały bagnety NKWD. Na śmierć pójdę chętnie. Cóż to jest zresztą śmierć?... Wierzę, że każda kropla krwi niewinnie przelanej zrodzi tysiące przeciwników i obróci się wam na zgubę”. W ostatnich słowach zwrócił się do Najwyższego Sędziego: „Iudica me, Deus, et discerne causam meam”, czyli „Bądź mi sędzią, Boże, i rozsądź sprawę moją” (Psalm 43).

14 sierpnia 1949 r. zapadł wyrok. Ojca Władysława Gurgacza, por. Stefana Balickiego „Bylinę” i st. sierż. Stanisława Szajnę „Orla” skazano na karę śmierci. Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski, nikt zresztą o to nie prosił. Wyrok wykonano miesiąc później, 14 września, na podwórku więzienia przy ulicy Montelupich, „strzałem katyńskim”, w tył głowy. Przed plutonem egzekucyjnym książd kapelan i dwaj partyzanci zaśpiewali „Pod Twą obronę”. Miejsce pochówku księdza i jego towarzyszy miało być nieznanne. Szczęśliwie jednak w 1964 r. odnaleziono na cmentarzu Rakowickim zapadnięty grób księdza Władysława i por. „Byliny”, bo obaj zostali pochowani w jednej skrzyni. Zgodnie z prośbą jezuity, na jego grobie przyjaciele postawili brązowy krzyż.

W 2008 r. prezydent RP Lech Kaczyński odznaczył pośmiertnie ojca Władysława Gurgacza Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. W czasie uroczystości odczytano okazjonalny list prof. Lecha Kaczyńskiego: „Ojciec Gurgacz wiedział, że przystępując do Polskiej Podziemnej Armii Niepodległościowej, zamyka przed sobą wszelkie możliwości powrotu do normalnego życia. W imię miłości Boga i Ojczyzny wybrał los ludzi wyklętych przez komunistyczną propagandę i wyjętych spod prawa, nieustannie tropionych przez aparat bezpieczeństwa, zaciekle zwalczanych, a w razie aresztowania okrutnie torturowanych i skazywanych na śmierć. I nie zahałał się pójść tą drogą aż do samego końca”.

Order śp. ojca Władysława znajduje się w muzeum jezuitów w Starej Wsi.

► „Więzień hardy i zarozumiały”

Książd Bolesław Stefański pochodził z niewielkiej wioski Kochów spod Garwolina. W momencie wybuchu wojny miał 29 lat, pracował jako wi-

kary w Kociszewie koło Łowicza. Już w 1939 r. wstąpił do Związku Walki Zbrojnej. W 1942 r., pracując w nowej parafii, objął funkcję prezesa powiatowej organizacji konspiracyjnego Stronnictwa Narodowego w Grójcu. Wydawał konspiracyjne pismo „Służba”, „Na Posterunku”, opiekował się grupą Szarych Szeregów, wyrabiał ukrywającym się Żydom fałszywe dokumenty. Wiosną 1944 r. wstąpił do oddziału partyzanckiego AK operującego w pobliżu Warki, przyjął pseudonim „Stefan”. Za swoją postawę w oddziale otrzymał Krzyż Virtuti Militari IV klasy.

Na początku 1945 r. został wikarym w parafii Świętego Józefa Oblubieńca NMP na warszawskim Kole, podjął też współpracę z oddziałem Ruchu Oporu Armii Krajowej (ROAK) w Markach. Odbierał przysięgę wojсковą od młodych żołnierzy. Za pieniądze uzyskane z akcji ekspropriacyjnych, którymi dowodził książd „Stefan”, zostały zakupione do oddziału broń, samochód ciężarowy. Wyplacono też żołnierzom zapomogi. W grudniu 1945 r. księdzu „Stefanowi” powierzono funkcję dowódcy Pogotowia Akcji Specjalnej (PAS) Narodowego Zjednoczenia Wojskowego w Warszawie. W akcjach bojowych brał udział razem ze swymi podkomendnymi żołnierzami.

W połowie marca 1946 r. książd Bolesław Stefański zmuszony był opuścić parafię i się ukrywać. Nadal jednak prowadził działalność konspiracyjną. 1 czerwca został ujęty przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Próba ucieczki zakończyła się niepowodzeniem. Bezbronnego, obezwładnionego kapłana jeden z ubeków postrzelił w akcie zemsty w nogę. Nie zawieziono jednak księdza do szpitala, lecz na przesłuchanie do Urzędu Bezpieczeństwa. Tutaj ubecy znęcali się w sposób wyjątkowo nieludzki nad rannym księdzem, m.in. grzebali pogrzebaczem w otwartej ranie postrzałowej. Doprowadzili w ten sposób do wdania się gangreny. Kiedy książd tracił przytomność, polewali go wodą i torturowali na nowo. Po jakimś czasie przewieziono go do szpitala, gdzie amputowano mu nogę.

Mimo że ujawniły się objawy choroby psychicznej wywołane potwornymi torturami, w grudniu 1946 r. kapłan stanął przed Wojskowym Sądem Rejonowym. Początkowo próbowano obarczyć księdza absurdalnymi zarzutami, m.in. że planował zamach na życie marszałka Josipa Broz Tito, który 16 marca 1946 r. przebywał w Warszawie. Został skazany na karę śmierci. O ulaskawienie księdza wystąpił z prośbą do Bieruta proboszcz parafii na warszawskim Kole, ks. Jan Sitnik. W liście pisał, iż książd Bolesław Stefański to „człowiek złamany psychicznie, chory na ciele, istny łachman ludzki – którego sam widok wzbudza najwyżej litość

i prosi o łaskę". Prośbę do Bieruta o ulaskawienie syna napisał też ojciec kapłana. Skutek odniosły dopiero zabiegi Augusta kardynała Hlonda. Prymasa Polski – w styczniu 1947 r. Bierut zamienił karę śmierci na dożywocie. Być może komuniści obawiali się, że ksiądz Bolesław Stefański powiększy grono kapłanów męczenników. Miesiąc później, w lutym, Wojskowy Sąd Rejonowy zmniejszył karę do 15 lat więzienia. W kwietniu 1947 r. duchowny trafił do więzienia we Wronkach. Zachowała się opinia z 1951 r. o więźniu Bolesławie Stefańskim: „Był kilkakrotnie karany dyscyplinarnie za łamanie przepisów więziennych. Jest więźniem hardym i zarozumiałym. W trakcie przeprowadzonych rozmów i z toku obserwacji stwierdzono, że jest nadal wrogiem Polski Ludowej”.

Dzięki zabiegom niestrudzonego proboszcza Jana Sitnika 14 lutego 1954 r. ksiądz Stefański został zwolniony z więzienia. Był w fatalnym stanie. „Wyszedł wrak człowieka, i w sensie fizycznym, i psychicznym” – opowiadał później ksiądz Sitnik. Ksiądz Bolesław Stefański zmarł 8 lutego 1964 r. Pochowany został w grobie rodzinnym w Maciejowicach koło Garwolina.

► Żołnierze księdza „Zagłoby”

Niewielu było kapłanów, którzy dowodzili oddziałami bojowymi, dlatego należy wspomnieć jeszcze o księdzu Feliksie Kowaliku. Urodził się w 1916 r. w wiosce Ruda Wielka koło Radomia. Podjętą naukę w Wyższym Seminarium w Sandomierzu w 1936 r. przerwał wybuch wojny. Feliks Kowalik zgłosił się na ochotnika do obrony kraju we wrześniu 1939 r. Po klęsce w kampanii wrześniowej założył organizację o nazwie Ochotnicza Brygada Obrońców Ojczyzny. W 1941 r. przyjął święcenia kapłańskie i podjął pracę duszpasterską. Jednak długo nie wytrzymał jako wikary w wiejskich parafiach – „ciągnęło wilka do lasu”. W 1942 r. przystąpił do Narodowych Sił Zbrojnych, przyjął pseudonim „Zagłoba”. Dowodził grupą dywersyjno-sabotażową, która wykonywała zadania specjalne, szczególnie trudne, wymagające świetnego wyszkolenia. Długo by można wymieniać akcje przeprowadzone przez księdza „Zagłobę” i jego żołnierzy. We wrześniu 1942 r. zniszczyli karty ewidencyjne Polaków zakwalifikowanych do wywózki do Rzeszy; w październiku obrabowali Volksbank w Końskich, zarekwirowali niemiecki samochód ciężarowy wraz z odzieżą; w lutym 1943 r. rozbili ośrodek wypoczynkowy dla oficerów Wehrmachtu w Kluczewsku. Dla „uczczenia” urodzin Hitlera, 20 kwietnia 1943 r., żołnierze księdza „Zagłoby”

obrabowali Bank Emisyjny w Częstochowie, zdobytą dużą kwotę pieniędzy przekazali na potrzeby Komendy Głównej AK i rządu RP w Londynie. Na swoim koncie żołnierze „Zagłoby” mieli też trzy akcje dywersyjne przeprowadzone w Berlinie.

Latem 1943 r. biskup sandomierski Jan Kanty Lorek polecił księdzu Feliksowi Kowalikowi zaprzestanie działalności zbrojnej. Ten posłuchał swego zwierzchnika i w sierpniu 1943 r. rozformował oddział. Z lasu jednak nie wyszedł – został kapelanem Koneckiego Obwodu AK na terenie Okręgu Radomsko-Kieleckiego AK. W kwietniu 1944 r. trafił do oddziału leśnego AK ppor. Antoniego Hedy „Szarego”, a po kilku miesiącach objął funkcję kapłana w 3. Pułku Piechoty Legionów AK. W październiku 1944 r. został ranny w bitwie w okolicy Przysuch. Służbę wojskową zakończył w stopniu majora w styczniu 1945 r.

Miesiąc później ubecy rozpoczęli polowanie na księdza Kowalika. Pod zmienionym nazwiskiem, jako Maciej Janiszewski, jesienią 1945 r. podjął pracę duszpasterską na terenie diecezji warmińskiej w miasteczku Górowo Iławeckie. W krótkim czasie zdołał zorganizować oddział Caritas, placówkę PCK, szpital, świetlicę dla młodzieży. W 1946 r. pod nazwiskiem Felicjan Kowalski rozpoczął studia zaoczne na Wydziale Prawa Kanonicznego UW oraz na Wydziale Psychologii Klinicznej Państwowej Wyższej Szkoły Higieny Psychicznej. W 1952 r. uzyskał na obu uczelniach doktoraty. Pod koniec tego roku został aresztowany i osadzony w więzieniu przy ulicy Rakowieckiej. Po brutalnym śledztwie Wojskowy Sąd Rejonowy skazał księdza na 4 lata więzienia. Po odsiedzeniu wyroku powrócił do pracy duszpasterskiej w diecezji warmińskiej, cały czas jednak nękany był przez komunistyczne władze. Ksiądz płk Feliks Kowalik „Zagłoba” zmarł 3 stycznia 1993 r. w Otwocku, pochowano go na cmentarzu w Józefowie, gdzie spędził ostatnie 16 lat życia jako rezydent.

Ksiądz Bolesław Stefański „Stefan” twierdził, że kapłan jest przede wszystkim dla Boga i ludzi, a nie dla siebie. I temu przesłaniu wierni byli wspomniani księża: Stanisław Brzóska „Generał Brzeziński”, Władysław Gurgacz „Sem”, Feliks Kowalik „Zagłoba”. I wielu, wielu innych. ■

Przy pisaniu tekstu korzystałem m.in. z następujących publikacji: Dawid Golik, Filip Musiał, „Władysław Gurgacz. Jezuita wyklęty”, Kraków, Wydawnictwo WAM – Księża Jezuit, 2014; Danuta Suchorowska-Słowińska, „Postawie mi krzyż brzozy: prawda o ks. Władysławie Gurgaczu”, Kraków, Wydawnictwo WAM – Księża Jezuit, 1999.

Magdalena Złotnicka



Legumina i jamnik Pana z kabaretu

Jeremi Przybora i Jerzy Wasowski,
czyli Kabaret Starszych Panów

To wspomnienie przytacza Dariusz Michalski w książce „Starszy Pan A”, obszernej biografii Jerzego Wasowskiego, zawierającej liczne wspomnienia rodziny i znajomych kompozytora. Wasowski to jeden z dwóch Starszych Panów z niezapomnianego kabaretu, jednego z dowodów na to, że w czasach Polski Ludowej także potrafiły powstawać rzeczy piękne, ciekawe, poruszające. Kabaret Starszych Panów świetnie znany jest także współczesnym. Jednak kojarzy się przede wszystkim z Jeremim Przyborą, rzadziej z Wasowskim. Dlaczego? Może dlatego, że Przybora częściej eksploatowany jest przez różne czasopisma, pochylające się nad jego życiem osobistym, faktycznie barwnym. Może zdecydowało to, że Przybora był autorem tekstów, a Wasowski muzyki? Niezależnie od motywacji, Wasowski jest postacią równie ciekawą, może nawet – ciekawszą.

► Legumina może wiele

Jerzy Wasowski, późniejszy Starszy Pan A, przyszedł na świat jeszcze przed I wojną światową. 31 maja 1913 r. w Warszawie. Jego rodzina miała pochodzenie inteligenckie i żydowskie. Ojciec kompozytora naprawdę nosił nazwisko Wasserzug. Wasowscy przyjęli jednak wyznanie rzymskokatolickie i zasymilowali się z Polską. Kim byli rodzice Jerzego? Ojciec, Józef, przez bliskich zwany „Profesorem”, był dziennikarzem zajmującym się polityką i sprawami społecznymi. Jak podaje Michalski, przez pewien czas pracował jako korespondent paryskiej „Nowej Gazety”, przekształconej później w „Gazetę Polską”, „Niwy Polskiej” oraz współpracownik „Prawdy”.

W pewnym momencie Józef poznał urodzoną w Wiedniu Marię Breslauer, rozwódkę. Jerzy był ich jedynym synem. Małżeństwo zresztą po kilku latach się rozpadło. „Profesor” poślubił wówczas aktorkę Marię Strońską. Maria Wasowska, żona Jerzego, w książce Dariusza Michalskiego podkreśla, że Starszy Pan A i Profesor darzyli się głębokim uczuciem. „Oni się bardzo kochali, choć były też sytuacje... no, dla małego chłopaka bardzo dramatyczne” – mówiła. I opowiadała, jak to mały Jurek uparł się kiedyś, że nie spełni jakiegoś polecenia rodziców. Ci zagrozili, że za karę wyślą go do bursy. Zaczęli nawet pakować jego rzeczy, na co małe nie zareagował. Cała sprawa miała miejsce w czasie obiadu, na deser była tego dnia legumina. Ojciec powiedział, Jerzemu, że deseru nie dostanie. Dopiero to poskutkowało. Wasowski od dziecka był wielkim łasuchem.

Także w czasach dzieciństwa Wasowski zainteresował się muzyką. Jak wspominał, rodzice zmuszali go do gry na pianinie, chociaż on – zamiast ćwiczyć utwory klasycznych mistrzów – wołał improwizować.

Wojciech Młynarski wspominał, że kiedy pierwszy raz odebrał od Jerzego Wasowskiego zapis nutowy muzyki do jednej ze swoich piosenek, zachwycił się starannym zapisem, praktycznie gotowym do publikacji, tak różnym od „lewych kwitów”, na których bazgrali inni kompozytorzy. Gdy wyraził podziw, Wasowski odpowiedział: „Proszę Pana, bazgrać mogą geniusze. Rzemieślnicy muszą pisać wyraźnie”.

W czasach szkolnych zdradzał zamiłowanie do przedmiotów ścisłych. Zasłynął także wybrykiem, którego nie powstydziliby się dzisiejsi rozhukani nastolatki. Otóż, będąc uczniem Gimnazjum im. Stanisława Staszica, wylał na głowę jednego z nauczycieli zawartość akwarium. W efekcie przeniesiono go do Gimnazjum w Milanówku. Najciekawsza jest jednak motywacja Wasowskiego. Akwarium wylał nie dlatego, że nie lubił belfra. Po prostu – jak wspominała Maria Wasowska – koledzy powiedzieli mu, że tego nie robi. Postanowił więc spróbować.

Na studia Wasowski poszedł na Politechnikę, gdzie uzyskał wykształcenie inżynierskie. Podchodził do tego zresztą sceptycznie. „Kiedy młody człowiek kończy szkołę, jest na ogół zdezorientowany i nie bardzo wie, gdzie mógłby się nauczyć tego, co by mu najbardziej odpowiadało. Pod tym względem i dziś niewiele zmieniło się od czasów mojej młodości. Ja byłem przekonany, że tego, co mnie interesuje, uczą na politechnice. Później okazało się, że to nieprawda, bo o fizyce teoretycznej praktycznie nie było tam mowy. Ale jak już zacząłem studiować, to i skończyłem. Później nie było czasu na naprawianie błędów, bo wybuchła wojna” – przytacza wypowiedź Wasowskiego Michalski.

Co znaczące, rok przed wybuchem II wojny światowej Wasowski rozpoczął pracę w Polskim Radio, jako „technik z cenzusem”. Pracował tam także w pierwszych dniach września 1939 r. „U uruchomili uszkodzony nadajnik Warszawy II. Nigdy w życiu nic już nie sprawiło mu takiej satysfakcji i poczucia przydatności społecznej jak sygnał »Warszawianki«, który 7 września przerwał milczenie radia. Jego inżynierski talent umożliwił m.in. transmisję przemówień prezydenta stolicy Stefana Starzyńskiego” – czytamy w serwisie Culture.pl, w tekście poświęconym Wasowskiemu.

To w radiu pierwszy raz zetknął się z Jeremim Przyborą, wówczas pracującym jako spiker. Wówczas jednak drogi obu przyszłych Starszych Panów skrzyżowały się na krótko. Wasowski wyjechał do majątku hrabiów Zamoyskich. Dariusz Michalski przytacza fragment wspomnień Jana Zamoyskiego z książki „Ostatni Ordynat”: „W tamtejszym majątku spędził [Wasowski] szmat czasu. Prowadził kursy gimnazjalne dla różnych grup dzieci i młodzieży. Uczyl panny Czartoryskie [...] a także wnuki administratora Trzebień, pana Jana Rostworowskiego, wśród nich Mikołaja Rostworowskiego, zwanego Nikiem, późniejszego poetę i publicystę związanego z PAX-em”. Zamoyski wspomina także, że raz, jako „człowieka pewnego”, wykorzystano Wasowskiego w sprawach radiowego sprzętu Armii Krajowej. Później wojenna zawierucha skierowała go do Zwierzyńca i Krakowa. W międzyczasie został – wraz z grupą innych mężczyzn – złapany przez Niemców

i zagnany do wycinania drzew. Sam mówił później, że w czasie wojny był drwalem.

► Opowieść o zacerowanych spodniach

Po zakończeniu wojny Wasowski znów znalazł się w Warszawie. Między 1945 a 1946 rokiem pracował w Polskim Radio, gdzie zajmował się sprawami technicznymi; bywał także spikerem. W 1946 r. nawiązał także współpracę z Miejskimi Teatrami Dramatycznymi. Przez krótki czas był aktorem, w końcu zajął się tym, z czego jest znany najlepiej. Komponowaniem.

W czasie trwania sztuki „Obcym wstęp wzbroniony” siedział za kulisami i grał na pianinie. Po premierze przedstawienia odbył się bankiet, na którym poznał Marię Dobrzyńską. „Był strasznie spięty, małomówny. Zwracał się do mnie – albo »Poproszę o majonez«, albo »Poproszę o sałatkę« (bardzo elegancko i nadzwyczaj wyraźnie), i miał do mnie interesy natury wyłącznie kulinarnej. Znudziło mnie to i po jakimś czasie przestałem się nim zajmować. Był tam wtedy oczywiście alkohol, a potem jakieś płasy i koło trzeciej nad ranem Wasowski zaprosił mnie do tańca” – przytacza wypowiedź Marii Dariusz Michalski. Mimo pierwszego niekorzystnego wrażenia Dobrzyńska i Wasowski zostali małżeństwem. Kiedy Maria pytała później męża, dlaczego za pierwszym razem zachowywał się tak dziwnie, wyjaśnił, że krępował się, ponieważ... miał zacerowane spodnie.

Późniejsza pani Wasowska także zaczęła występować w teatrze. Jej kariera aktorska ma kilka ciekawych epizodów, jak na przykład ten w filmie „O dwóch takich, co ukradli księżyc”. W książce Michalskiego Wasowska tłumaczyła, że jej występu nie można nazwać rolą. Dubbingowała Jacka i Placka, czyli braci Kaczyńskich. Przyszły prezes PiS Jarosław i śp. prezydent Lech Kaczyński śpiewali piosenkę „Ja jestem zuch, ty jesteś zuch, jest nas teraz zuchów dwóch”, głosami jej i Danuty Mancewicz.

W 1949 r. Wasowskim urodził się syn, Grzegorz. Po drobnych perypetiach mieszkaniowych i kilku zmianach adresu, co było przecież typowe dla młodych małżeństw w początkach PRL-u, osiedli ostatecznie w mieszkaniu przy ulicy Wilczej 11. Jak wspomina w książce Michalskiego żona kompozytora, kiedy dotarli do lokalu, okazało się, że jest on zaplombowany, bo ktoś inny chciał się tam zainstalować. Ostatecznie udało się jednak „odbić” mieszkanie.

Na Wilczej, już w późniejszych latach, z Wasowskimi mieszkała jamniczka Mufka. Stosunek, jaki miał do niej Jerzy, wiele mówi o nim jako człowieku. Bożena Toruń w książce Michalskiego wspomina, że

czasem przychodził z pieskiem do pobliskiej księgarni. „Ale kiedyś widząc ich na spacerze daleko od domu, widać zrobiłam zdziwioną minę, bo pan Jerzy oznajmił: »To Muffka mnie dzisiaj wyprowadziła«”. Inny znajomy wspomina, że kiedy Jerzy został ofuknięty, że poszedł z psem aż na Marszałkowską, odpowiedział, że Mufka tak chciała, więc poszli, bo przecież to jej spacer, nie jego.

► Profesor Pęduszek i sprawa Martyki

W 1948 r. Wasowski wrócił do Radia Warszawa. Tam kierował reżyserią muzyczną, następnie został głównym reżyserem akustycznym. Znów, tym razem na dużo dłużej, przecięły się drogi jego i Jeremiego Przybory. Ten ostatni zaproponował mu komponowanie muzyki do radiowego teatru „Eterek”.

„Moja propozycja wprawiła Jerzego w zdumienie, które mnie z kolei zaskoczyło. – Dlaczego uważa pan, że jestem kompozytorem? – zapytał surowo. Powołałem się na przeczytaną recenzję. Przyjął to jako argument nie całkiem jego samego przekonujący. [...] Na fortepianie umiał grać. Urodził się z tym. Umiał też wymyśloną melodię zapisać jako nuty na głos z fortepianem. Natomiast nie miał zielonego pojęcia o pisaniu partytury” – wspominał Przybora w swoich wspomnieniach. („Przymknięte oko Opaczności. Memuarów część II”).

Pierwszy program „Eterka”. „Słynne powiedzonka”, nadano 17 sierpnia 1948 r. w Programie II Polskiego Radia, następny w niedzielę 17 października, już w I Programie. Po pierwszych pięciu odcinkach nastąpiła prawie półroczna przerwa: szósty odcinek nadano 7 maja 1949 r. Ostatni odcinek, „Dramatyczny koncert życzeń”, opatrzony jest datą 24 marca 1956 r.

Głównym bohaterem przedstawień odtwarzanych był Profesor Pęduszek, w którego wcielił się Adam Mularczyk, starsi czytelnicy mogą pamiętać także Wdowę Eufemię (Irena Kwiatkowska) i jej syna Mundzia (Tadeusz Fijewski). Program, chociaż radosny i cieszący się dużą popularnością, nie był wolny od płacenia trybutu na rzecz ustroju. Pęduszek a to walczył z kulakiem, a to z imperializmem.

Jak podaje serwis Culture.pl, po 1950 r. Wasowski na stałe związał się z Polskim Radiem. „został zastępcą kierownika działu emisji (1950–1954) oraz reżyserem (1954–1962), a następnie reżyserem i starszym redaktorem Teatru Humoru i Satyry (1962–1973). W latach 1954–1973 zajmował się głównie reżyserią radiową, niekiedy telewizyjną. Został doradcą do spraw muzyki rozrywkowej przewodniczącą Radiokomitetu (1977–1979). Równocześnie pracował jako lektor i aktor. Występował też jako jedna z postaci w audycji »My z przyjaciół«” – czytamy na portalu.

Na antenie Polskiego Radia nadawana była też audycja „Fala 49”. W programie „Tym żył świat” Michała Nogasia i Wojciecha Włodarczyka, wyemitowanym na antenie Polskiego Radia w 2016 r., audycja jawi się jako symbol czasów stalinowskich: atakowano w niej bez pardonu wszystkich przeciwników Bolesława Bieruta i władz PRL. Program prowadzili Stefan Martyka i Wanda Odolska z „Trybuny Ludu”. „Martyka, aktor z wykształcenia, z pełnym zaangażowaniem wygłaszał felietony, w których ostrzegał słuchaczy przed zachodnim imperializmem i usprawiedliwiał pokazowe procesy żołnierzy Armii Krajowej i zbrodnie bezpieki” – czytamy na portalu Polskiego Radia. Wszystko wskazuje na to, że właśnie działalność radiowa Martyki doprowadziła do wydania na niego wyroku przez członków antykomunistycznej, podziemnej organizacji „Kraj”. 7 września 1951 r. wyrok wykonano – Martyka został zamordowany. Z jego pogrzebu władze Polski Ludowej uczyniły wielką demonstrację, kreując go wręcz na męczennika nowego systemu. Został pochowany na Powązkach.

Dlaczego tyle o Martyce? Ponieważ był on także reżyserem programu „Muzyka i aktualności” (nadawanego od 18 września 1950 r.). Po śmierci jego obowiązki przejął Wasowski. „To była audycja polityczna, nie w jego duchu. Był przymuszony do pracy przy niej, i to codziennej. Nie rozmawialiśmy na ten temat. Tylko raz powiedział, na początku: »Wiesz, będę musiał to robić«. Domyślałam się dlaczego” – mówiła Maria Wasowska w książce Michalskiego.

Lecz właściwie: dlaczego? Ani Michalski, ani osoby, które wypowiadają się w jego książce, nie podają tego w sposób jednoznaczny. Wasowski, w przeciwieństwie do Starszego Pana B, nie należał do PZPR-u (Przybora był w partii przez prawie 10 lat), a wręcz – jak podaje Jacek Szczerba w tekście „Starsi Panowie Dwaj. Historia Kabaretu w PRL-u”, zamieszczonym na internetowej stronie „Gazety Wyborczej” 21 września 2015 r. – zdążyło mu się żartować z przynależności partyjnej kolegi. Kiedy pewnego razu szedł z żoną na kolację do Przybory, powiedział jej: „Tylko uważaj na to, co mówisz, zwłaszcza po paru kieliszkach, bo Przybora należy do partii”.

Sam Wasowski nie udzielał się politycznie. Można się domyślać, że praca przy „Muzyce i aktualnościach” wynikała właśnie z podejścia polegającego na takim „nieudzielaniu się”. To znaczy, nie ześwinić się, ale także specjalnie nie narażać.

Michalski przytacza w swojej książce opowieść dziennikarki Danuty Kętrzyńskiej, która pokazuje, jak Wasowski radził sobie z PRL-em. A czynił to sposobem. Otóż pewnego razu przyszła jedna z komunistycznych dyrektorek, dla której poważny pro-

blem stanowiło... „r” jednego z lektorów, brzmiące z francuska. Stwierdziła, że jest ono imperialistyczne i że to nie uchodzi. Wasowski stwierdził, że teoretycznie ona może ma i rację, ale on dokładnie studiował pracę Józefa Stalina o językoznawstwie i podkreśla, że nie ma w niej słowa o wymowie poszczególnych zgłosek. Więc wymowa „r” w wykonaniu lektora jest prawidłowa. Dyrektorka poczuła się niepewnie i odpuściła. Oczywiście Wasowski żadnego Stalina nie czytał.

Wasowski był także opiekunem muzycznym kabaret Szpak, działającego w latach 1954–1963. Jego siedzibą była kawiarnia hotelu Bristol.

► Cylindry i sztuczne spodnie

„Addio pomidory”. Kalina Jędrusiak śpiewająca „Bo we mnie jest seks”, „Tanie dranie” – te i inne piosenki pochodzące z Kabaretu Starszych Panów, żyją własnym życiem do dziś, doczekały się zresztą licznych następnych wykonń. Chociaż kabaret wykreował wiele gwiazd, to jednak najbardziej niezapomniane są sylwetki samych Starszych Panów A i B, czyli Wasowskiego i Przybory. Ich marynarki, sztuczne spodnie, cylindry, krawaty, laseczki i purnonsensowy humor, zaprawiony lekką nostalgią wyrosły właściwie znikąd na tle przasnej, topornej rzeczywistości Polski Ludowej. Przybora pisał teksty, Wasowski komponował do nich muzykę. Skromnie oddawał pierwszeństwo koledze, chociaż bez niego kabaret nie zaistniałby w takiej formie, w jakiej powstał. Nie chodziło tylko o muzykę, lecz także o osobowość Starszego Pana A. „To jest jego pomysł. No i jego literatura. Ja byłem tutaj w pewnym sensie usługowcem, to znaczy pisałem muzykę. No, owszem, pełniłem rolę jakiegoś konsultanta redakcyjnego, można by to tak nazwać, współreżysera, i tak dalej, i tak dalej. Podsuwałem mu czasem jakieś pomysły, zresztą robili to i aktorzy pracujący w tym zespole. Ale to jest jego dziecko” – przytacza wypowiedź Wasowskiego Izolda Kielc („W kabarecie”, Wrocław 2004).

Pierwszy kabaret pojawił się w październiku 1958 r. Co ciekawe, po premierowym odcinku groziło mu zdjęcie z anteny. Jak podaje Michalski, na kolegiach programowych kabaretu bronił m.in. Adam Hanuszkiewicz. Biograf Wasowskiego przytacza taką jego wypowiedź: „Zobaczyłem pierwszy program Kabaretu. Postanowiłem pójść [na kolegium programowe], powiedzieć, że genialne. Spóźniłem się. [Dyrektor Telewizji, Jerzy] Pański zdziwił się, że przyszedłem. Odpowiedziałem: »Jestem zachwycony Kabaretem Starszych Panów i chciałem to powiedzieć na zebraniu«. Wtedy usłysza-

łem, że zdjęli. Nie wytrzymałem: »Co? Jeżeli nie ustąpisz, to będę walił pięścią w stół [...] Żądam, żebyście to jeszcze dwa razy puścili, a potem ludzie nie pozwolą wam tego zdjąć»”.

Kabaret nadawano na żywo na antenie telewizyjnej, z wykorzystaniem jako playback piosenek zarejestrowanych wcześniej. Kabaret ukazywał się również na antenie Polskiego Radia jako przygotowane osobno słuchowiska, powtarzające telewizyjną fabułę z tą samą obsadą. Ostatni, XVI wieczór Kabaretu Starszych Panów, ukazał się 22 lipca 1966 r.

Odcinki zaczynały się od piosenki, której refren kojarzy chyba każdy:

*Starsi Panowie, Starsi Panowie,
Starsi Panowie dwaj!
Już szron na głowie, już nie to zdrowie,
A w sercu ciągle maj!*

Mało jednak kto pamięta, że „autopromocyjna” – jak byśmy dziś powiedzieli – piosenka Starszych Panów w ostatniej zwrotce czyniła wycieczkę pod adresem długowiecznego Józefa Cyrankiewicza:

*Trudna rada, jeśli chodzi o karierę,
To nie będzie, już nie będzie się premierem.
Ale z drugiej strony, weźmy, co tu kryć,
Jak to długo tym premierem trzeba być!*

Przybora wspominał, że w związku z tą zwrotką cenzura ingerowała w jego tekst. Zresztą nie na polecenie Cyrankiewicza, który – zdaniem tekściarza – miał poczucie humoru. Stało się to za sprawą „jakichś nadgorliwców na niższych szczeblach”.

Nie będę się tu rozpisywała nad tym, czym pod względem artystycznym były kabaret i muzyka Wasowskiego. Na ten temat napisano już wszystko, co napisać można. I z całą pewnością nie wyczerpano tematu, bo są rzeczy, których nie da się opisać, które trzeba pokazać. Zastanawia mnie jednak co innego: czy przypadkiem kabaret, nawet jeśli całym swym jestestwem stanowił jeden wielki sprzeciw wobec rzeczywistości Polski Ludowej, nie został trochę potraktowany przez władzę jako swoisty „wentyl bezpieczeństwa” systemu, podstawiony inteligentom, a Przybora i Wasowski – nawet bez ich wiedzy – zwyczajnie wykorzystani?

Na fali popularności Kabaretu Starszych Panów powstały także film „Upał”, który, chociaż miał dobry pomysł na scenariusz, okazał się fiaskiem, i przedstawienie „Jedzcie stokrotki”, którego również nie można uważać za sukces. Okazało się, że mała forma kabaretowa po rozciągnięciu w coś większego zwyczajnie się nie sprawdza.

Zresztą współpraca Wasowskiego i Przybory też się rozluźniła. Chociaż Wasowski cały czas komponował muzykę do programów Przybory, czyli do audycji z cyklu „Divertimenta” oraz do „Opowieści Starszego Pana”. Spotkali się znów w „Kabarecie Jeszcze Starszych Panów”, na który Wasowski dał się namówić, ponieważ widział w tym szansę na utrwalenie na lepszych nośnikach dorobku pierwszego kabaretu. Wasowski i Przybora mają na swoim koncie także tzw. muzykały, czyli „Pannę Zuzannę”, „Balladynę 68”, przedstawienie „Medea, moja sympatia”, „Gotoleń”.

► „W Polskę idziemy”

Kabaret Starszych Panów i piosenki komponowane dla Przybory to niejedynie znakomite dokonania Wasowskiego. Skomponował także muzykę do takich szlagierów jak: z Romanem Sadowskim „Złoty pierścionek”, z Bronisławem Brokiem „Jeszcze poczekajmy” czy muzykę do „Warszawa da się lubić”. Był też dyżurnym kompozytorem w kabarecie Dudek Edwarda Dziewońskiego. Kabaret ten zadebiutował 13 stycznia 1965 r., w kawiarni Nowy Świat. Do Dudka bardzo szybko doszłusował wówczas bardzo młody Wojciech Młynarski. I błyskawicznie wyrósł na naczelnego tekściarza kabaretu. Do jego utworów muzykę pisał oczywiście Wasowski. W tym do kultowej już piosenki „W Polskę idziemy!”, którą wykonywał Wiesław Gołas:

*W tygodniu to jesteśmy cisi jak ta ćma,
W tygodniu to nam wszystko wisi aż do dna.
A jak się człowiek przejmie rolę, sam pan wiesz,
To zaraz plecy go rozbolą albo krzyż.*

*W tygodniu to jesteśmy szarzy jak ten dym,
W tygodniu nic się nie przydarzy, bo i z kim?
I życie jak koszula ciasna – pije nas,
Aż pocujemy mus i raz na jakiś czas*

*W Polskę idziemy, drodzy panowie,
W Polskę idziemy,
Nim pierwsza seta zaszumi w głowie,
Drugą pijemy.
Do dna, jak leci,
Za fart, za dzieci,
Za zdrowie żony.
Było, nie było...
W to głupie ryło,
W ten dziób spragniony.*

Ciekawy – i mało znany – jest wątek aktorski w życiorysie Wasowskiego. Zagrał m.in. w filmie „Miasto

nieujażmione” Jerzego Zarzyckiego, pierwszej filmowej opowieści o losach żydowskiego pianisty Władysława Szpilmana. Wcielił się tam w rolę niemieckiego oficera. Interesującą kreację stworzył także w „Ja gorę!” Janusza Majewskiego, grając księcia biskupa. „Bohaterem [filmu] jest »Pogorzelski herbu Krzywda, szlachcic z Ukrainy« (w tej roli doskonały Jerzy Turek), nękanym przez głos »starego tetryka, Wilibalda, księcia Zatorskiego«, ponad sto lat wcześniej zmarłego w wyniku pożaru zamku (jego kwestie wypowiada zza ekranu rewelacyjny Władysław Hańcza). Te ruiny zamierza odbudować przy pomocy szlachetki ich obecny właściciel, książę biskup (...). Ot, i wszystko. No, prawie wszystko, bo magnesem filmu, poza osobą dostojnika kościelnego, jest prześladowujące szlachcica, dobiegające z zaświatów, wszędzie słyszalne memento: »Pan tu, Panie Pogorzelski, ludzi z Bogiem do roboty wysyłasz, a ja gorę« albo »Pan tu, Panie Pogorzelski, wino popijając będziesz, a ja gorę«, albo »Pan tu, Panie Pogorzelski, na mnie biskupa sprawdzasz, a ja gorę!« – pisze o filmie Michalski. Wasowski wcielił się także w rolę pisarza Bolesława Prusa w „Telepatrydzie Pana Prusa”. Dzieła tego pisarza zresztą znał i lubił. Nie znosił za to Sienkiewicza.

► Czekając na śmierć

W 1970 r. Wasowski przeszedł pierwszy zawał. Jak mówiła żona kompozytora w książce Michalskiego, był to „pierwszy dzwonek”. „Ale on miał przez cały czas tajemnicze bóle jamy brzusznej, nie wiadomo skąd i dlaczego. Próbowaliśmy wszystkiego, akupunktury – nic. Potem był drugi zawał. I znowu bóle takie, że on przez tydzień nie mógł spać. Ja z nim. I wewnętrzna wojna: zwać pogotowie, skoro najlepsi lekarze w najlepszych szpitalach nie wiedzą, co mu jest? On przestał wierzyć, że wyzdrowieje i (...) siedział na krawędzi i czekał na śmierć. Uspokajałam go »Człowieku, przecież ona przyjdzie. Wszystko jest zapisane. Nie czekaj na nią«. To trwało czternaście lat” – wspominała Maria Wasowska ostatni okres życia kompozytora. Zmarł 29 września 1984 r.

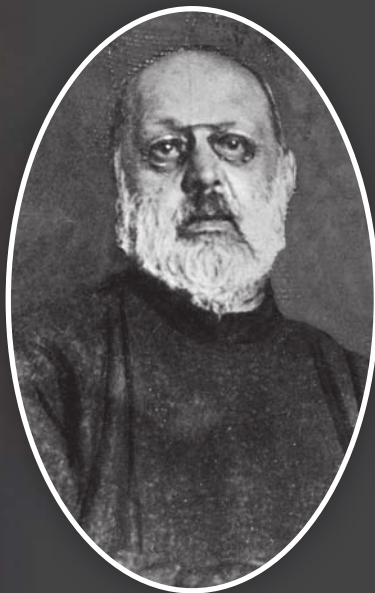
Był kimś, kogo można nazwać mianem „człowieka renesansu”. Cała jego twórczość, kabaretowa, muzyczna, aktorska nawet zaistniała – i znalazła znaczące miejsce – w mozaice kultury Polski Ludowej. Kultury, która mimo niesprzyjających okoliczności stworzyła pewien fenomenalny, nieporównywalny z niczym klimat artystyczny. Szkoda, że dziś pamięta się głównie Przybory. ■

Tekst dedykuję ceniom mojego dziadka Czeška, bez którego nie poznałabym pewnie „Kabaretu Starszych Panów”.

*„Ten jest dobry,
kto chce być dobry”
brat Albert*

Agnieszka Kowalczyk

Heroiczny apostoł miłosierdzia



Był wzorcem dla Karola Wojtyły, gdy ten stał na rozdrożu, czy wybrać teatr, czy poświęcić się kapłaństwu. Wtedy to właśnie przypomniał sobie o bracie Albercie, który porzucił sztukę, by służyć najbardziej potrzebującym. I ostatecznie, tak samo jak niegdyś w Adamie Chmielowskim – poszukującym Boga malarzu, tak i w nim dokonał się duchowy przełom.

Już jako papież Jan Paweł II dokonał kanonizacji brata Alberta. O tym pokornym i cichym opiekunie krakowskich nędzarzy wypowiedział znamienne słowa: „Pan Bóg prowadził go drogą niezwykłą: uczestnik powstania styczniowego, utalentowany student, artysta malarz, który staje się naszym polskim »Biedaczyną« (jak św. Franciszek z Asyżu), szarym bratem, pokornym jałmużnikiem i heroicznym apostołem miłosierdzia”.

► Z miłości do ojczyzny

Przyszł na świat w podkrakowskiej wiosce Igołomi w 1845 r., w rodzinie szlacheckiej pieczętującej się herbem Jastrzębiec. Wedle tradycji małego Adasia podawali do chrztu wraz z rodzicami chrzestnymi zaproszeni na ceremonię żebracy, by w ten sposób ściągnąć na niego z niebios błogosławieństwo ubogich. Chłopiec okazał się chorowity, toteż matka złożyła ślub Bogu, że jeśli jej pierworodny odzyska zdrowie, uda się z nim na pielgrzymkę do cudownego mogiłskiego Pana Jezusa. I tak też uczyniła. W oktawę Podwyższenia Krzyża Pańskiego wyruszyła do świętego miejsca, trzymając na ręku malca przebranego w zakonny habit. Istniał bowiem zwyczaj, że w dziękczynieniu za uratowanie dziecięcia przyoblekano je w mnisze szaty. Nikt jeszcze wtedy nie przypuszczał, że jest to symboliczna zapowiedź przyszłego losu Adama Chmielowskiego.

Niedługo jednak Adam cieszył się beztróskim dzieciństwem i rodzicielską miłością. Mając zaledwie siedem lat, przeżył boleśnie śmierć ojca, matka zmarła zaś, gdy ukończył pierwszą klasę warszawskiego gimnazjum. Osieroczonego chłopca wychowywała stryjka Petronela i to ona stworzyła mu prawdziwy dom i dała patriotyczne wychowanie. Niedługo potem, jak został studentem Instytutu Politechnicznego w Puławach, wybuchło powstanie styczniowe. Wówczas to gorące uczucie miłości do ojczyzny, przepełniające serce i duszę Adama, nakazało mu ruszyć do walki o wolność z fuzją i sztucerem. Najpierw bił się pod dowództwem starszego kolegi, Leona Frankowskiego, potem służył pod Marianem Langiewiczem. Jego oddział rozgromili Rosjanie pod Grochowiskami, a dziesiętkowani powstańcy dostali się w ręce Austriaków i osadzeni zostali w Ołomuńcu. Adamowi udało się uciec z twierdzy i dołączyć do szwadronu Zygmunta Chmieleńskiego. Walczył teraz nieustraszenie w puszczy Ilżeckiej, pod Janowem Oluskim, w Dzierzgowie, pod Ociesękami... W końcu wróg dopadł obydwu – Chmieleńskiego rozstrzelano na rynku radomskim, a Adam został ciężko ranny granatem pod Melchowcem. Półprzytomnego przeniesiono do chaty gajowej. Doszło jednak do zaka-

żenia rany i konieczna okazała się amputacja nogi. Różnie o tym opowiadano. Niektórzy mówili, że dzielny młodzieniec podczas operacji sam trzymał świecę w ciemnej izbie ambulansej, a inni twierdzili, że dla usmierzenia bólu dano mu tylko cygaro, które przy piłowaniu łydki połknął. W każdym razie za swój patriotyzm zapłacił wysoką cenę. „Wszystko postawił na jedną kartę z miłości do ojczyzny – mówił o nim Karol Wojtyła – miłość do ojczyzny wypaliła na nim dożgonny stygmat: pozostał kaleką aż do śmierci, zamiast własnej nogi miał protezę”. A żył jeszcze tak ponad 50 lat, stukając swoją sztuczną nogą o bruki Paryża, Monachium, Warszawy i Krakowa.

Po upadku powstania Chmielowskiemu groziło niechybnie ciężkie więzienie bądź zsyłka na Sybir. Widocznie jednak Boska Opatrzność czuwała nad nim, bo udało się przekupić strażników i z wojskowego szpitala więziennego wyniesiono młodzieńca w trumnie. Teraz pozostała mu już tylko dola tułacza. W maju 1864 r. znalazł się w Paryżu i tu ortopeda doktor Vieux sporządził dla niego najwyższej jakości protezę, lekką i doskonale przylegającą do nogi. Poruszał się na niej bez trudu, tańczył, a nawet jeździł na łyżwach po oblodzonym stawie, wprawiając tym w największe zdumienie samego króla bawarskiego. Kalectwo Adama okazało się paradoksalnie źródłem jego niezwyklej mocy duchowej, bo jak pisze Adolf Nowacki, „zbląkaney armatniej kuli moskiewskiej [...] zawdzięczamy i człowieka, i Jego dzieło. Gdyby był z powstania wyszedł zdrow, [...] byłby malarzem profesjonalistą, może wielkim, może średnim, w każdym razie jednym z wielu”.

► „Sztuka jest drogą do Boga”

Po powstaniu styczniowym Adam odkrył w sobie talent malarski. Warszawa, Paryż, Monachium, Kraków, Lwów – to kolejne przystanki na drodze młodego artysty, który swą inicjację w świat malarstwa rozpoczął w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych. We Francji widział, jak impresjoniści odkrywają powietrze i słońce, jak malarski Paryż pochyla się przed religijnymi scenami Pierre’a Puvisa de Chavannesa, a Monachium staje pełne zdumienia wobec realistycznych płócien Fritza von Uhdego, ukazującego Chrystusa pośród XIX-wiecznych biedaków. Za granicą Adam rozkoszował się życiem. Przy ulubionej czarnej kawie, w kłębach dymu papierosowego rozprawił godzinami o sztuce narodowej z Maksymilianem Gierzymskim, przyjacielem, którego przedwczesna śmierć wstrząsnęła nim do głębi. W Warszawie zaś był stałym bywalcem artystycznego salonu Heleny Modrzejewskiej, która zachowała po nim piękne wspomnienie: „Był on i jest jeszcze [...]

chodzącym wzorem wszystkich chrześcijańskich cnót i głębokiego patriotyzmu – prawie bezcielesny, oddychający poezją, sztuką i miłością bliźniego, natura czysta i nie znająca egoizmu, której dewizą powinno być: szczęście dla wszystkich, Bogu chwała i sztuce!”. I takie też – wypływające z głębi duchowych przeżyć – było jego malarstwo. Bolesne doświadczenie klęski 1863 r. znalazło swój wyraz w cyklu obrazów powstańczych odsłaniających dojmującą codzienność i dramat żołnierskiego życia („Na pikiecie”, „Powstańcy”). Są to zazwyczaj sceny z powstańcami wtopionymi w smutne, wieczorne pejzaże. Chmielowski tworzył też „liryczne nokturny” – obrazy nastrojowe, tajemnicze i symboliczne, dotyczące zagadki istnienia, jak „Pogrzeb samobójcy” o elegijno-nostalgicznej aurze. Malował zanurzone w mroku cmentarze z nagrobkami wtulonymi w pinie i cyprysy („Cmentarz włoski”), z postaciami samotnych żołnierzy przy grobie („Szara godzina”). Potem podczas swych misjonarskich podróży po Kresach tworzył „poetyckie” krajobrazy z chatami, zamkami, kościołami („Ruiny zamku w Kudryńcach”, „Karczma podolska”, „Opuszczona plebania”), zdążając w kierunku ujęć impresjonistycznych. W swoim szkicowniku utrzymywał akwarelę widoki bezkresnych pól podolskich, wąwozów, łąk i jarów. Dzięki spotęgowaniu nastroju obrazy jego nabrały symbolicznego, a nawet mistycznego wymiaru. W 1879 r. Chmielowski rozpoczął pracę nad swoim największym, choć nigdy nieukończonym dziełem – „Ecce homo” – wizerunkiem umęczonego Chrystusa w cierniowej koronie. „Szary dzień, deszcz pada – opisywał obraz Leon Wyczółkowski – Chrystus skatowany, oczy zapadnięte w głąb. Tak się stało i stać tak się musiało. Chrystus zmęczony, stargany, oplwany, szmatą purpurową spowity, ale oczy patrzą w głąb”. Był to artystyczny zapis duchowego przeobrażania się Chmielowskiego, dla którego sztuka stała się drogą do Boga.

► „Ciemna noc duszy ludzkiej”

Coraz częściej trawił go jednak wewnętrzny niepokój i odczuwał jakąś dojmującą pustkę, wciąż poszukując istoty życia duchowego. Zdawał się też coraz wyraźniej dostrzegać ludzkie cierpienie. Wsłuchiwał się w głos Chrystusa: „Niech nikt nie szuka własnego dobra, lecz dobra bliźniego”. I tak powoli dojrzewała w nim decyzja o wstąpieniu do nowicjatu u jezuitów w Starej Wsi, koło Rzeszowa. Zza klasztornej furty pisał: „Już nie mogłem dłużej znosić tego złego życia, którym nas świat karmi, [...] jak złodziej wydziera co dzień i w każdej godzinie wszystko dobre [...], kradnie nam Boga i niebo. Dla tego wszystkiego wstępuję do zakonu; jeżeli duszę bym stracił, cóżby mi zоста-

ło". Jedno było pewne – poczuł, że odnajduje tu szczęście i spokój. I tak doczekał 10 października 1880 r. Był to dzień jego obłóczyn zakonnych, w którym narzucił sobie bardzo rygorystyczny porządek życia duchowego. Podczas rekolacji wielkopostnych przeżył poważny kryzys wewnętrzny, rozpamiętując swoje życie i boleśnie doświadczając słabości własnej natury. Bracia nie potrafili wyrwać go ze stanu przygnębienia przechodzącego w załamanie psychiczne. Musiał więc przerwać nowicjat i podjąć leczenie w zakładzie dla nerwowo chorych w Kulparkowie koło Lwowa, gdzie spędził kilka miesięcy. Stwierdzono, że cierpi na „hipochondrię, melancholię, obłęd religijny, lęk, przeczulicę psychiczną”. W istocie był to stan kryzysu religijnego, który Adam musiał pokonać, by ukształtować swoją nową tożsamość. Musiał przejść proces duchowej transgresji, wyjść poza samego siebie i odkryć w obliczu Boga swoje prawdziwe „ja”.

Złamanego cierpieniem zabrał ze szpitala brat Stanisław dzierzawiący majątek w Kudryńcach nad Zbruczem. W tej pięknej podolskiej ziemi miał Adam odnaleźć spokojną przystań. Tu, wśród urzekających pejzaży kresowych, mógł ukończyć swą zbolalą duszę w objęciach współczującej Matki Natury. Widziano go, jak smutny i przygnębiony siadywał przed domem okryty swym szarym płaszczem, a na kolanach trzymał rozłożoną księgę. Mówiono: „Przyjechał z Paryża chory na melancholię”. Dopiero wiejski proboszcz, ks. Leopold Pogorzelski, wyrwał go ze stanu odrętwienia, uświadamiając mu bezgraniczne miłosierdzie Boga. Szczera spowiedź przyniosła Adamowi wewnętrzne oczyszczenie i poczucie, że dokonuje się w nim duchowy przełom. Dzięki lekturze pism św. Jana od Krzyża zrozumiał, że przeżył „ciemną noc duszy ludzkiej” i odkrył w sobie „żywy płomień miłości Bożej”. W skromnej bibliotece wiejskiego proboszcza odnalazł wtedy egzemplarz „Reguły św. Franciszka”, która stać się miała jego życiowym drogowskazem. Postanowił zostać tercjarzem franciszkańskim. Wówczas to często widać go było na koniu, w chłopskim stroju, w wielkiej futrzanej czapie na głowie; objeżdżał podolskie dwory ziemiańskie, wstępował do wiejskich chat, szerzył oświatę wśród ludu, werbował tercjarzy, malował obrazy dla miejscowych kościółków. W końcu jednak zwrócił na siebie uwagę rosyjskiej żandarmerii, upatrującej w nim niebezpiecznego emisariusza. Musiał więc opuścić ziemię kresową, w której po latach odnalazł Boga i samego siebie.

► Wobec ludzkiej nędzy i upodlenia

W 1884 r. Adam Chmielowski przebywał znów w Krakowie. Zdawał się być jednak odmieniony, żyjący już nie myślą o sztuce, ale ideą świętego Franciszka. Był na swojej Basztowej, w dawnej pracowni ma-

larskiej, tej samej, w której kilka lat wcześniej towarzyszył z powstania okradł go, zniszczywszy mu uprzednio sztuczną protezę. Teraz mieszkanie przedzielił kotarą na dwie części. W jednej miał swoje atelier i kąt do spania, a w drugiej urządził przytulisko dla nędzarzy i żebraków wałęsających się po krakowskich ulicach. Nigdy swych gości nie pytał o wyznanie ani o pochodzenie, a jego drzwi były zawsze otwarte dla potrzebujących. Pisał wtedy do ojca Czesława Bogdańskiego: „To są pierwsi moi pupile – niezwykle gołni prawda? Lecz cóż miałem robić, musiałem ich przygarnąć, bo to wszystko ludzie bezdomni, a zapowiedziane przez miasto ogrzewalnie jeszcze nie są urządzone. Co prawda, to mam nieco kłopotu z nimi. Pókim w domu, siedzą cicho, lecz ledwo wyjdę, zaraz zaczynają awantury. Już mi robił o to wyrzuty właściciel domu i wspominał, że się o te hałasy lokatorzy żalą i że się nie czują bezpieczni przy takich sąsiadach. Muszę się za jakimś innym dla nich i dla siebie oglądać mieszkaniem, bo przecie tych biednych nie opuszczę”. Gdy tylko dowiedziano się, że Adam daje u siebie schronienie ubogim, na Basztową zaczęły ciągnąć rzesze obdartusów, aż w końcu znieruchomiony gospodarz kamienicy wypowiedział malarzowi mieszkanie.

W Krakowie zaczął wieść on życie na modłę iście franciszkańską. Urządził na przykład Wigilie dla biedoty miejskiej. Przypadkowym świadkiem jednej z nich był pewien piętnastoletni chłopiec, który często widywał, jak Chmielowski wchodził i wychodził z gmachu Akademii Sztuk Pięknych. Wtedy jeszcze nie wiedział, kim jest ten poważny pan w pelerynie. Na tym samym placu zaś stał jednopiętrowy budynek starej szkoły, rozpadająca się rudera pozbawiona podłóg i całkowicie opuszczona przez ludzi. Jakież było zdziwienie chłopca i jego kolegów, gdy w wieczór wigilijny w starej szkole zamigotały tajemnicze światła. Zaciekawieni młodzieńcy czym prędzej podbiegli do okien i ku swojemu wielkiemu zdziwieniu ujrzeli owego człowieka w pelerynie pośród żebraków. W kręgu, na gołej ziemi siedziało kilkunastu wynędzniałych starców, na środku paliło się parę mizernych świec, a na gazetach rozłożono długo oczekiwane potrawy. Żebracy z namaszczeniem rozpoczęli wigilijną wieszercę.

Można powiedzieć, że to właśnie w Krakowie dokonało się ostateczne przeobrażenie Adama w brata Alberta, o czym świadczy poruszająca relacja przekazana przez profesora Karola Estreichera. „Wielki Jałmużnik Krakowa” miał kiedyś zmęczony światowym życiem opuścić Pałac pod Baranami, gdzie właśnie trwał wspaniały karnawałowy bal. W tę śnieżną noc włóczył się samotnie ulicami Krakowa i poszukiwał malarskich motywów pośród starych uliczek spowitych księżycowym blaskiem. Idąc w stronę Biblioteki

Jagiellońskiej, nieopodal kapliczki świętego Jana, spotkał „Antośkę oplakującą swój grzech”. I wtedy to próbując pocieszyć nieszczęśliwą, podążył za nią, wstępując jakby w inny świat, o którego istnieniu nie miał do tej pory pojęcia. Otwierał się przed nim krakowski Stradom – „Rzeczypospolita żebraków i nędzarzy, dziadów, śmieciarzy i włóczęgów”. Ich domem stały się stare kanały, od dawna nieużywane, a obok rosło potężne śmietnisko, które usypywane latami, przyciągało ową najstraszliwszą nędzę krakowską. „Tam – pisał Estreicher – ujrzał ludzi pozbawionych człowieczeństwa, lachmany ciał budzące odrazę. Tam poczuł powołanie twórca zakonu albertynów. Jak prawa żebracze ominął, co uczynił, że wyszedł stamtąd, że nikt nie porwał się na niego, pozostało jego tajemnicą i tych natchnionych sił, jakie nosił w sobie”.

Ten wstrząsający obraz ludzkiej nędzy i upodlenia zrodził w Adamie najpiękniejszą i najszlachetniejszą myśl, że „powinno się być dobrym jak chleb, który dla wszystkich leży na stole, z którego każdy może kęs dla siebie ukroić i nakarmić się, jeśli jest głodny”. Pragnął całym sobą być taki jak Chrystus – kochać bezwarunkowo i bezgranicznie. W ewangelicznym ubóstwie, w pokornej i ofiarnej służbie małuczkim odkrył prawdziwy sens swojego istnienia. Każdy z nędzarzy miał dla Adama twarz umęczonego i ubiczowanego Chrystusa, podobną do tej z obrazu „Ecce homo”.

► „Brat Albert idzie!”

25 sierpnia 1887 r. w kaplicy u krakowskich kapucynów klęczał Adam Chmielowski przed łaskami słynącą figurą Madonny Loretąńskiej, a uroczyście Mszę Świętą odprawiał ojciec Wacław Nowakowski, dawny powstaniec styczniowy i katorżnik syberyjski. To moment przełomowy w duchowej biografii Adama – uroczysty akt jego obłóczyn. „Obiit Adamus Chmielowski, frater natus est Albertus” – napisał później. Umarł w nim dawny człowiek, a przed Bogiem narodził się nowy – brat Albert.

Okryty habitem z grubego szarego sukna, przewiązany białym prostym powrozem z różańcem przy boku, zapuszczał się w najbardziej podejrzane zaułki Krakowa, wchodząc między nędzarzy i dziadów proszanych z Kazimierza i zaglądając do posepnych noclegowni na Piekarskiej i Skawińskiej. To, co oglądał, przechodziło wszelkie wyobrażenia. Oto wyrastała przed nim zniszczona budowla, a w jej wnętrzu kryła się wielka, zaniedbana sala bez podłogi, za to pokryta śmieciem, błotem, lepiącym się brudem i... pełzającym wszędzie robactwem. Gnieździło się w niej około dwustu nędzarzy w różnym wieku, zdrowych i chorych, uczciwych i degeneratów, pośród nich także dzie-

ci, a wszystko to zdawało się tworzyć obraz jakiegoś Dantejskiego piekła. Pod zgniłą ścianą, jak opowiadał ks. Czesław Lewandowski, stało kilka ław, na których zasiadały „złe mocarne jednostki, co tamże rej wodziły, pijąc i w karty grając, pod ławami zaś skuleni leżeli starcy i chorzy, którzy prawie dogorywając, z jękiem i płaczem na próżno o pomoc wołali. Przez całą salę przechodziła rura z sąsiedniego małego przedsionka, gdzie stał piec, w którym stróż miejski miał obowiązek w razie zimna raz na dzień napalić. Pod tą rurą ogrzana kłębiły się ciała uliczników krakowskich i dzieci, ze stosów zaś mokrego ubrania sypało się jak pył różnego rodzaju robactwo na śpiących chłopców, których twarze przez nie pokąsane wyglądały tak, jakoby były ospą czy trądem zeszecone. Nieznośny przy tym zaduch i trujące powietrze tamowało oddech...”. Najstraszniejsze jednak było to, że samowładnymi panami noclegowni zostali najgorsi niegodziwcy, żądający od innych zapłaty za ten ohydny kąt, by móc potem urządzić sobie pijackie biesiady.

Brat Albert, patrząc na to wszystko, obmyślał już powołać „plan bojowej akcji chrześcijańskiej”, który przedstawił władzom miasta i kardynałowi Dunajewskiemu. Postanowił przeobrazić odrażające ogrzewalnie w przytuliska z prawdziwego zdarzenia. I tak się też stało. Obydwie noclegownie przeszły pod jego opiekę. Kraków zaczął przyzwyczajać się do widoku braciszka w szarym habicie, który, ciężko wspierając się na swej sztucznej nodze, kwestował na rzecz swoich podopiecznych. A z jego postaci biła jakaś niepojęta moc, która uderzała i wielkich tego świata, i małuczkich, a zwłaszcza tych nadwiślańskich lachmaniarzy, którzy oczekiwali go z bijącym sercem. Znał go też każdy, a dzieci na widok tej szarej, kulejącej postaci wołały rozradowane: „Brat Albert idzie!”. Widziano go często, jak wjeżdżał małym jednokonnym wózkiem na targ przy placu Szczepańskim, a na głos jego dzwonka kto tylko mógł, przynosił jakiś dar dla potrzebujących. Zjeżdżał w ten sposób cały Kraków, od przekupek do hrabin, od sklepów do jatek. Wszystko to czynił z myślą o swoich opuchlakach, jak nazywano obrzmiałych z głodu. Dbał, by dostawali ciepłą stawę, talerz grochówki czy kaszy, i by zawsze mieli choćby tę kromkę chleba... Brat Albert nie ograniczał się jedynie do zaspokajania elementarnych potrzeb swych podopiecznych, lecz także z równą gorliwością troszczył się o ich życie duchowe. Była to przecież wspólnota ludzi szczególnie łaknących Bożej miłości. Dlatego wprowadził wspólne modlitwy poranne i wieczorne, przybliżał swym biedakom prawdy wiary, prowadził rekolekcje wielkopostne, głęboko przekonany, że zbawcze Słowo Boga „zlewa się na opuszczone, surowe dusze” i dociera do twardych, skamieniałych serc. I to dopiero jest „huragan łaski”, „burza

wstrząsająca dębami do samych korzeni”. Podczas takich rekolekcji w ogrzewalniach, wśród najbardziej zatwardziałyłch grzeszników, niejednokrotnie dokonywał się cud. „Gdy na takich raz zleje się ta moc łaski – pisał – ta pewność ratunku, wyobrazić sobie trudno, co się dzieje. Co za odrodzenie! Wprost zmartwychwstanie. Taki najgorszy grzesznik, tknięty wielką skrucą, to już pewniak do nieba. Co się w tej duży mieści żalu, zrozumienia, jaka dobywa się siła woli i bogactwo miłości”.

Swobodnym antidotum na cierpienia moralne i fizyczne człowieka była w jego przekonaniu społecznie użyteczna praca, która miała przywrócić mu poczucie własnej godności. Pisał o tym w 1892 r.: „Człowiek, jeżeli jest już poratowany, trzeba mu bezpośrednio otworzyć niejako furtkę do wyjścia z nędzy, inaczej bowiem prawie nie warto go było ratować, stać się zaś to może tylko przez pracę, którą wtedy podsunąć i ułatwić mu trzeba”. I słowa te wcielał w życie, urządzając stolarnie, zakłady szewskie, szwalnie, piekarnie, w których żebracy, uwijając się przy warsztatach, czuli się szczęśliwi, bo potrzebni innym. Poprzez pracę doskonalili się moralnie, stawali się lepsi. Brat Albert utworzył nawet w przytulisku fabrykę mebli giętych, o czym rozpisywały się ówczesne gazety.

Największą chyba jego ofiarą na drodze do świętości było ostateczne zerwanie z malarstwem. Gdy dokonał się w nim przełom duchowy, kazał zabrać braciom wszystkie swoje płótna i wynieść na strych kazimierzowskiego przytulku. I tam, jak opowiada Nowaczyński, przeleżały długie lata w zapomnieniu. Któregoś dnia brat Albert przypomniał sobie jednak o swych dawnych obrazach i zapragnął je znów zobaczyć. Poprosił braciszków, by znieśli je na dół, lecz ci nigdzie nie mogli ich znaleźć. Po pewnym czasie dopiero jeden z nich przyznał się, że te stare, podniszczone płótna pociął na kawałki i wrzucił na podpałkę do pieca, nie przypuszczając, że były cokolwiek warte. „Zima była taka ciężka” – dodał zakłopotany. Wówczas „braciszki zmartwiali z żalu i przerażenia, z rozpaczą wpatrzni w ukochanego. A ten tylko zbladł, lekko zaczerpnął powietrza, oczy zamknął na chwilę, po czym ocknął się i już winowajcę-barbarzyńcę przytulił do siebie i powiedział tylko to jedno, niezapomniane jedno: „...Oj, prostaku, prostaku! Tożes ty nie wiedział chyba, coś uczynił!«. I nic więcej”. I tak jako malarz raz na zawsze rozstał się ze swoją przeszłością. Była to widocznie próba, na jaką Bóg go wystawił. Próba charakteru, wierności i miłosierdzia.

► Coraz bliżej Chrystusa

W 1915 r., w kościele krakowskich bernardynów brat Albert dostał wylewu, a w jego następstwie lek-

kiego paraliżu. Powrócił jednak do sił, ale odczytał to jako znak od Boga, jako ciche wezwanie do ofiary, do niesienia własnego krzyża. Podążał przecież drogą Chrystusa, drogą miłości, ale i cierpienia. Siedemdziesięcioletniego starca zaczęły nękać coraz silniejsze bóle żołądkowe, duszności i bezsenność. Diagnoza lekarska brzmiała: rak żołądka. Nigdy się nie oszczędzał i tak było do końca. Schodząc między ubogich, pragnął żyć tak jak oni. „Żeby podeprzeć kulawy stół – powtarzał – nie można go obciążać, pochylić się trzeba i z dołu podeprzeć. To samo z nędzą ludzką. Chcąc ratować nędzarzy, nie należy [...] prawie moralów, będąc sam[emu] sytym i dobrze ubranym; trzeba się stać nędźniejszym od najnędźniejszego, aby go dźwignąć”. Te słowa stały się jego życiowym credo. Sam zatem upodobił się do swych podopiecznych, chcąc zrozumieć ogrom ich cierpienia. Spał więc na gołych deskach tapczanu, pod głową miał poduszkę z sieczką, a jego okryciem był stary, obszarpany koc. Nawet w tych ostatnich grudniowych dniach swego życia nie dał się namówić na łóżko, nawet najnędźniejsze, ani na pościel. I tak nadszedł dzień Bożego Narodzenia 1916 r., ostatni dzień jego ziemskiej wędrówki. Wcześniej, 23 grudnia, pękł wrzód żołądka, a ból doprowadził chorego do utraty przytomności. Dane mu było jednak przeżyć jeszcze wspólną Wigilię z braciszkami, połamać się opłatkiem. Może wspominał wtedy wszystkie swe Wigilie, te spędzone pośród artystycznej bohemy i te pośród nędzarzy, w starej opuszczonej szkole św. Floriana, a potem i te w przytuliskach... Konał w południe, w dzień Bożego Narodzenia, w biednej celi swego kazimierzowskiego przytulku. Umierał „otoczony szarymi habitami, w których serca zamierały z bólu, że odchodzi człowiek za życia święty, jedyny na stulecie”. Przez całą Polskę przemknęła niczym błyskawica wieść o śmierci tego wielkiego przyjaciela ubogich. Swego apostoła żegnał cały Kraków przekonany, że odszedł prawdziwy święty.

Piękne słowa o bracie Albercie wypowiedział Nowaczyński, dla którego ów sługa maluczkich stał się największym życiowym odkryciem: „W życiorysie tego człowieka ani nic dodawać, upiększać, brązować, srebrzyć, złocić zdaje się nie trzeba. Na to życie złożyło się wszystko, co najpiękniejsze: rycerskość, artyzm, patriotyzm, miłosierdzie, męstwo, sztuka, ofiarność. Dzieciństwo sielskie anielskie, młodość górna chmurna, wiek męski: praca społeczna i służba ubogim; starość: widome rezultaty mozolu całego żywota, przytuliska, ogrzewalnie, domy noclegowe, zakłady exegi monumentum, wdzięczność całego społeczeństwa. [...] Poszedł w służbę maluczkim, od kolebki wydziedziczonym, dożytnio bezrobotnym, najuboższym, bez orzędzi i bez manifestów, cicho i bezgłośnie”.

Piotr Lisiewicz

Państwowi terroryści z materiałami wybuchowymi, młodzi PR-owcy z ministerstw i urzędów, wreszcie dziennikarze, niekiedy na podwójnych etatach – taka współdziałająca zgodnie drużyna to gwarancja sprawnego przeprowadzenia operacji specjalnej – czy będzie to likwidacja niewygodnej osoby, czy wysadzenie w powietrze budynku mieszkalnego, czy zamach na samolot. Lektura książki sprzed lat – mam przed sobą jej polskie wydanie z 2007 r. – zatytułowanej „Wysadzić Rosję”, autorstwa Aleksandra Litwinienki i Jurija Felsztyńskiego – robi dziś na polskim czytelniku zupełnie inne wrażenie niż wtedy.

Opowieści Litwinienki o wysadzaniu na rozkaz rosyjskich władz bloków mieszkalnych były wtedy czymś szokującym, ale odległym. Wydarzenia rozgrywały się w kraju, do którego III RP nie wydawała się, mimo wszystkich wad, podobna. W latach 2010–2015 mieszkaliśmy w państwie, w którym uruchomiono bardzo wiele spośród opisanych przez Litwinienkę mechanizmów.

Niedowiarkowie przypomnieć sobie powinni, z jakimi honorami przez prezydenta Komorowskiego i rząd PO oraz PSL przyjmowany był w Polsce Nikołaj Patruszew, główny mózg zbrodni opisywanych przez Litwinienkę. Jeśli ktokolwiek ma złudzenia, że Rosja odpuściła i na zawsze zrezygnowała z używania w ten sposób swojej agentury w III RP, jest naiwny. Ona będzie używana dokładnie w taki sposób, na jaki Moskwie pozwolimy. W zależności od stanu świadomości zwykłych Polaków o mechanizmach używanych przez Rosję. Gdy będzie ona duża, metody Rosji nie okażą się skuteczne. Bo opisana poniżej wiedza jest bronią.

Aleksander Litwinienko, Jurij Felsztyński

Oni całkiem zamydlili nam oczy

Ci, którzy znają tę sprawę od środka, twierdzą, że Putin nie miał wyboru i musiał awansować Patruszewa, ponieważ dysponował on materiałami kompromitującymi premiera. 17 sierpnia 1999 roku Nikołaj Patruszew został więc dyrektorem Federalnej Służby Bezpieczeństwa. I wtedy się zaczęło...

Rodowód Federalnej Służby Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej (FSB) w zasadzie nie wymaga komentarza. Od najwcześniejszych lat sowieckiej państwowości aparat przymusu stworzony przez partię komunistyczną znany był z bezwzględności. Działania jego funkcjonariuszy nigdy nie miały wiele wspólnego z wartościami i zasadami człowieczeństwa. Począwszy od rewolucji roku 1917, tajna policja sowieckiej Rosji, a później ZSRR, funkcjonowała niezawodnie jako mechanizm służący likwidacji milionów ludzi. W istocie jej struktury nigdy nie podejmowały działań innego rodzaju, ponieważ władze nie wyznaczyły im żadnych innych praktycznych czy politycznych celów, nawet w okresach względnej liberalizacji ustroju. Żaden cywilizo-

wany kraj nie stworzył nigdy czegoś, co można by porównać z państwowymi siłami bezpieczeństwa ZSRR. [...]

Po okresie zamieszania, który nastąpił po wydarzeniach z sierpnia 1991 roku, a także po krótkiej fazie mylnego oczekiwania, iż pracownicy dawnego KGB zostaną poddani podobnemu ostracyzmowi jak członkowie partii komunistycznej, funkcjonariusze służb specjalnych zdali sobie sprawę, że nowa era – wolności od ideologii komunistycznej i od kontroli partyjnej – ma też dobre strony. Dawna KGB potrafił wykorzystać swój ogromny potencjał ludzki (zarówno istniejący oficjalnie, jak i całkiem nieoficjalny) tak, by umieścić swych ludzi we wszystkich sferach życia wielkiego państwa rosyjskiego. [...]

► „Opary materiału wybuchowego z rodzaju heksogenu”

Cele polityczne drugiej wojny czeczeńskiej były znacznie poważniejsze: wykorzystać chaos wynikły z konfliktu o przejęcia władzy w Rosji podczas zbliżających się wyborów prezydenckich roku 2000. „Zaszczyt” wywołania wojny z Czeczenią przypadł w udziale nowemu dyrektorowi FSB, generałowi pułkownikowi Patruszewowi. [...]

Owe wydarzenia, które wstrząsnęły całym krajem, miały związek ze wzlotem kariery jeszcze jednego człowieka: tego dnia, gdy Putin został premierem Rosji, Patruszew stał się dyrektorem FSB. Ci, którzy znają tę sprawę od środka, twierdzą, że Putin nie miał wyboru i musiał awansować Patruszewa, ponieważ dysponował on materiałami kompromitującymi premiera. 17 sierpnia 1999 roku Nikołaj Patruszew został więc dyrektorem Federalnej Służby Bezpieczeństwa. I wtedy się zaczęło...

We wrześniu 1999 roku Bujnaskiem, Moskwą i Wołgodońskiem wstrząsnęły potworne akty terroryzmu. Zaczniemy jednak od ataku terrorystycznego, który mógł przynieść najstraszliwsze skutki, gdyby nie został udaremniony.

22 września wydarzyło się coś niespodziewanego: w Riazaniu zauważono pracowników FSB podkładających worki po cukrze z heksogenem w osiedlu mieszkaniowym Daszkowo-Piesocznia. O dwudziestej pierwszej piętnaście Aleksiej Kartofielnikow, kierownca zatrudniony w klubie piłkarskim Spartak, lokator mieszkania w jedenastopiętrowym bloku zbudowanym dwadzieścia lat wcześniej przy ulicy Nowosiolow 14/16, zatelefonował do osiedłowego komisarzatu milicji w Daszkowie-Piesocznia i poinformował, że kilka minut wcześniej zauważył białe żyzguli, model pięć lub siedem, z moskiewską tablicą rejestracyjną T534VT77RUS przed jedyną bramą swego bloku, gdzie znajdował się sklep całodobowy. Samochód wjechał na podwórze i zatrzymał się. Wyszli z niego mężczyzna i młoda kobieta, którzy zeszli do piwnicy budynku, skąd wrócili chwilę później. Teraz wóz zajechał pod same drzwi i troje pasażerów zaczęło wyładowywać i znosić na dół worki. [...]

Gdy milicjanci, pod dowództwem chorążego Andrieja Czernyszowa, dotarli na miejsce o dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt osiem czasu moskiewskiego, odkryli trzy pięćdziesięciokilogramowe worki od cukru ukryte w piwnicy bloku, w którym było siedemdziesiąt siedem mieszkań.

Czernyszow, który pierwszy zszedł do zaminowanej piwnicy, wspomina: „Poświeciliśmy do środka i zobaczyliśmy kilka worków po cukrze, jeden na drugim. Leżący na wierzchu był nacięty i wystawało

z niego jakieś urządzenie elektroniczne: widzieliśmy kable owinięte taśmą oraz zegar... Naturalnie byliśmy zszokowani. Wybiegliśmy z piwnicy. Ja stanąłem na straży przy drzwiach, a moi ludzie pobiegli ewakuować mieszkańców”. [...]

Później oczywiście technicy rozbroili ładunki. Nikt nie miał wątpliwości, że zagrożenie było rzeczywiste. Ekspresowa analiza substancji znalezionej w worku, przeprowadzona za pomocą analizatora gazowego, wykazała obecność „oparów materiału wybuchowego z rodzaju heksogenu”.

W tym miejscu należy podkreślić, że jakakolwiek pomyłka jest wykluczona. Użyto nowoczesnych i poprawnie działających przyrządów, a specjaliści, którzy przeprowadzili analizę, byli doskonale wyszkoleni.

Zawartość worków nie przypominała kryształów cukru. Wszyscy świadkowie, którzy mieli udział w odkryciu podejrzanych worków, potwierdzili później, że zawierały one żółtawą, granulowaną substancję podobną do makaronu nitki - właśnie tak wygląda heksogen.

► Mętny komunikat Putina

23 września centrum prasowe Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Rosji wydało oświadczenie, z którego wynikało, że „analiza wzmiankowanej substancji wykazała obecność oparów heksogenu” i że ładunek wybuchowy został rozbrojony. Innymi słowy, w noc poprzedzającą 23 września miejscowi eksperci stwierdzili, że detonator był sprawny i że „cukier” był w istocie mieszkanką wybuchową. [...]

O dziewiętnastej „Wiesti” podały z normalną porcją wiadomości: „Dziś premier Rosji Władimir Putin wypowiedział się na temat ataków powietrznych na lotnisko w Groznm”. W Riazaniu szukano więc terrorystów, a rosyjskie samoloty bombardowały Grozny. Był to akt zemsty. Ci, którzy stali za nieudanym zamachem terrorystycznym, mieli drogę zapłacić za nie przespaną noc i zepsuty dzień Rosjan.

Putin odpowiedział na pytania dziennikarzy: „Jeśli chodzi o atak sił powietrznych na lotnisko w Groznm, nie mogę go skomentować. Wiem, że generalna dyrektywa nakazuje ścigać bandytów, gdziekolwiek się ukryją. Nie znam szczegółów, ale jeśli ukryli się na lotnisku, tam właśnie należy ich atakować. Naprawdę nie mogę dodać nic ponad to, co zostało już powiedziane”.

Wyglądało na to, że premier Putin wie coś, o czym zwykli obywatele jeszcze nie słyszeli: że terroryści znaleźli schronienie na lotnisku w Groznm. Putin skomentował też doniesienia z Riazania: „Jeśli chodzi o wydarzenia w Riazaniu, to nie wydaje mi się, by doszło tam do błędu. Skoro worki, w których jak

się okazało, znajdowały się materiały wybuchowe, zostały zauważone, to należy spojrzeć na pozytywne strony tego zdarzenia, choćby na to, że obywatele właściwie reagują na to, co dzieje się dziś w naszym kraju. Chciałbym skorzystać z okazji i podziękować za to społeczeństwu [...]. To absolutnie słusza reakcja. Bez paniki, bez sympatii dla bandytów. Oto duch, z jakim należy walczyć z nimi aż do końca. Do zwycięstwa. A zwyciężymy”.

Słowa były raczej mętne, ale ogólny sens sytuacji – dość jasny: nieudana akcja terrorystów w Riazaniu nie była pokazem nieudolności służb specjalnych, które nie wykryły spisku, ale triumfem rosyjskiego narodu, który zachowuje czujność nawet w prowincjonalnych miastach. I za to premier był swym współobywatelom wdzięczny. [...]

► Terrorysty na telefonie z FSB

Wyobraźmy sobie na chwilę, że w Riazaniu rzeczywiście trwały ćwiczenia. Czy moglibyśmy spodziewać się milczenia FSB przez cały 23 września, kiedy światowe media prześcigały się w doniesieniach o udaremnionym ataku terrorystycznym? To niemożliwe. A czy można sobie wyobrazić, by premier Federacji Rosyjskiej i były szef FSB, którego łączyła z Patruszewem bliska znajomość, nie został poinformowany o takich „ćwiczeniach”? Nie, nawet w najgłębszych snach.

Na swoje nieszczęście generał Aleksander Zdanowicz, szef Centrum Kontaktów Publicznych rosyjskiej FSB, miał wystąpić w programie telewizyjnym „Bohater dnia” stacji NTW. Dzięki temu mamy jeszcze jeden ważny dowód na to, że FSB chciała po prostu przetrzymać całe zamieszanie, pozwalając, by mieszkańcy Riazania i dziennikarze przełknęli taką wersję wydarzeń, w której była mowa o nieudanym zamachu czezeńskich terrorystów. Nie budzi wątpliwości, że przed wystąpieniem Zdanowicza FSB nie zamierzała promować wersji o „ćwiczeniach”. [...]

Nieco później tego dnia dyrektor FSB postanowił wreszcie wystąpić z oświadczeniem na temat „ćwiczeń” w Riazaniu. Co mogło go skłonić do takiej zmiany taktyki? Przede wszystkim podstawowy dowód rzeczowy – trzy worki z materiałami wybuchowymi i sprawny detonator – został dostarczony do Moskwy i znalazł się w jego rękach, co było dla Patruszewa bardzo korzystną okolicznością.

Mógł bez trudu zlecić podmienienie worków i z wielką pewnością siebie twierdzić, że prowincjonalni eksperci z Riazania popełnili błąd i opublikowano mylne wyniki analiz. Wkrótce jednak nadeszła i zła dla niego wiadomość: FSB w Riazaniu zatrzymała dwóch terrorystów. [...] Funkcjonariusze nie mieli

żadnych wątpliwości, że udało się namierzyć niedoszłych sprawców zamachu. Pojawił się jednak problem: numer, z którym kontaktowali się terroryści, przypisany był do jednego z biur FSB w Moskwie. [...]

► Rozkaz z Moskwy: nie aresztować terrorystów

W riazańskej delegaturze FSB zrozumiano, że mieszkańcy miasta zostali „wystawieni” i że Prokuratura Generalna Rosji może wystąpić przeciwko jej funkcjonariuszom z oskarżeniem o zaplanowanie zamachu. Wstrząśnięci zdradą moskiewskich kolegów riazańscy pracownicy FSB postarali się o alibi dla siebie: obwieścili światu, że całą operację zaplanowano w Moskwie. Nie można inaczej tłumaczyć oświadczenia FSB obwodu riazańskiego, które ukazało się wkrótce po wywiadzie Patruszewa, kiedy to padły słowa o „ćwiczeniach w Riazaniu”.

Przytoczmy pełny tekst tego oświadczenia: „Jak ujawniono, podłożenie 22 września 1999 roku makiety ładunku wybuchowego w Riazaniu było elementem ćwiczeń międzyregionalnych. Wiadomość ta jest dla nas zaskoczeniem, a została opublikowana akurat, gdy funkcjonariusze miejscowego oddziału FSB ustalili miejsce pobytu podejrzanych o zamach i byli gotowi ich zatrzymać. Sukces ten odniesiono dzięki czujności i wsparciu wielu mieszkańców Riazania, współpracy Urzędu Spraw Wewnętrznych oraz profesjonalizmowi naszego personelu. Dziękujemy wszystkim, którzy ułatwili nam pracę. Będziemy kontynuować nasze wysiłki także w przyszłości, żeby zapewnić bezpieczeństwo mieszkańcom Riazania”.

Ten unikatowy dokument odpowiada nam na najważniejsze pytania. Po pierwsze, riazańska FSB nie miała nic wspólnego z nieudaną operacją wysadzenia budynku mieszkalnego. Po drugie, w Riazaniu wytropiono co najmniej dwóch terrorystów. Po trzecie, terroryści przynajmniej przez jakiś czas mieszkali w mieście i ich kryjówki, „bezpieczne domy”, zostały odkryte. Po czwarte, gdy wszystko było gotowe do ich zatrzymania, przyszedł rozkaz z Moskwy: nie aresztować podejrzanych, ponieważ rzekomy atak terrorystyczny w Riazaniu to tylko „ćwiczenia” FSB. [...]

Fakty wyglądały zgoła inaczej. Terroryści rozproszyli się, szukając schronienia w „bezpiecznych domach”. Dopiero gdy dowództwo riazańskej delegatury FSB zgodnie z procedurą zawiadomiło telefonicznie Patruszewa, że podejrzani mogą zostać zatrzymani, odpowiedział on zakazem aresztowania i oznajmił, że udaremniona akcja terrorystyczna w Riazaniu to tylko „ćwiczenia”.

Możemy sobie tylko wyobrażać, jaką minę miał oficer prowadzący sprawę – zapewne sam generał

Siergiejew – gdy w rozmowie ze swym przełożonym, Patruszewem, usłyszał, że ma zostawić terrorystów w spokoju.

► Bo Czeczeni planowali atak

Patruszew zaś ledwie zdążył odłożyć słuchawkę, już udzielał wywiadu telewizji NTW: „Incident w Riazaniu nie był ani zamachem bombowym, ani udarem nionym zamachem bombowym. To były ćwiczenia. Worki zawierały cukier, a nie materiały wybuchowe. Takie ćwiczenia prowadzone są i w innych miastach, ale trzeba oddać honor milicji i społeczeństwu Riazania za ich szybką reakcję. Jestem przekonany, że tego typu ćwiczenia należy przeprowadzać w warunkach jak najbardziej zbliżonych do rzeczywistych, bo w przeciwnym razie niczego się nie nauczymy i nigdzie odpowiednio nie zareagujemy na zagrożenie”.

Dzień później Patruszew powiedział jeszcze, że „ćwiczenia” w Riazaniu przeprowadzono na wieść o tym, że wkrótce w Rosji ma dojść do ataków terrorystycznych. W Czeczenii kilka grup terrorystów było już gotowych do akcji i miały przedostać się na terytorium Rosji, żeby przeprowadzić serię zamachów. [...] Właśnie ta informacja skłoniła nas do konkluzji, że przeprowadzenie ćwiczeń jest niezbędne i że powinny one być niepodobne do poprzednich, znacznie trudniejsze [...]. Nasi ludzie muszą być gotowi; musimy poznać słabe strony organizacji naszej pracy i wprowadzić stosowne poprawki.

Gazeta „Moskowskij Komsomolec” pozwoliła sobie z tej okazji na żart: „24 września 1999 roku szef FSB, Nikołaj Patruszew, wygłosił sensacyjne oświadczenie, w którym ujawnił, że zamach bombowy w Riazaniu wcale nie był zamachem, tylko ćwiczeniami [...]”. Tego samego dnia minister spraw wewnętrznych Władimir Ruszajło pogratulował jego ludziom ocalenia bloku mieszkalnego w Riazaniu od pewnej zagłady. [...]

► Wszystko tajne

I tu nasze śledztwo rozbija się o starą dobrą klauzulę „ściśle tajne”. Postępowanie karne wszczęte przez FSB obwodu riazańskiego w związku z wykryciem ładunku wybuchowego (z paragrafu 205. kodeksu karnego Federacji Rosyjskiej, dotyczącego terroryzmu) zostało objęte tajemnicą, a akta sprawy nie są dostępne. Nazwiska terrorystów (pracowników FSB) również utajniono. Nie wiemy nawet, czy zostali przesłuchani, a jeśli tak, to jak brzmiały ich zeznania.

Patruszew z całą pewnością miał coś do ukrycia. „Nic na to nie poradzę, chłopaki. Mam obowiązek wszczęć postępowanie karne” – tak brzmiała odpo-

wiedź uparcie powtarzana przez śledczego z riazańskiego FSB na pytania kolegów z Moskwy, którzy próbowali dyskretnie wywierać na niego nacisk. W końcu jednak wysłano na prowincję ludzi z centrali FSB, którzy po prostu skonfiskowali wyniki analiz. [...]

Jak wyraził się jeden z mieszkańców nieszczęsnego (a może właśnie szczęsnego) bloku w Riazaniu, „oni całkiem zamydlili nam oczy”.

► Winni nierozpoznanie cukru poniosą konsekwencje

W marcu 2000 roku, tuż przed wyborami prezydenckimi, wyborcy mieli okazję popatrzeć na jednego z trojga terrorystów („funkcjonariusza »spec centrum« FSB”), który opowiedział, jak to 22 września wieczorem całą trójką wyjechali z Moskwy do Riazania, jak przypadkiem znaleźli nie zamkniętą piwnicę, jak kupili na targu worki z cukrem, a w sklepie z bronią Kolczuga nabój, wreszcie jak na miejscu zrobili „makietę ładunku wybuchowego”.

Dodał, że „w całej sprawie chodziło o to, by wykonać zadanie. Ale nie sabotaż, tylko ćwiczenia. Nawet nie próbowaliśmy się ukrywać”. 22 marca (na cztery dni przed wyborami) Stowarzyszenie Weteranów Grupy „Alfa”, reprezentowane przez generała rezerwy i byłego dowódcę pododdziału FSB „Wypiel”, Dmitrija Gierasimowa, oraz generała porucznika w stanie spoczynku Giennadija Zajcewa, byłego dowódcę grupy „Alfa” oraz Bohatera Związku Radzieckiego, wsparło oficjalną koncepcję „ćwiczeń” tajnych służb w Riazaniu. Gierasimow zapewnił, że podczas owych ćwiczeń nie użyto działających urządzeń detonujących, a jedynie „naboju śrutowego”, ich celem zaś było jedynie „wywołanie szoku”. Jako że szok istotnie udało się wywołać, z tego punktu widzenia organizatorzy „ćwiczeń” mogli je uznać za sukces.

Zdaniem Zajcewa historia o autentycznych detonatorach użytych podczas ćwiczeń powstała na skutek wadliwego działania instrumentów używanych przez śledczych z FSB obwodu riazańskiego.

Oświadczył, że „nieszczęsny cukier, nazwany przez niektórych heksogenem, członkowie grupy specjalnej nabyli na miejscowym bazarze. W żadnym razie nie mógł to być materiał wybuchowy. Specjaliści z laboratorium po prostu zignorowali podstawowe zasady i użyli brudnych instrumentów, na których pozostały śladowe ilości materiałów wybuchowych z poprzednich analiz. Winni tego zaniedbania zostali ukarani. W tej sprawie wszczęto już sprawę karne”.

Przedruk za: Aleksander Litwinienko, Jurij Felsztyński, „Wysadzić Rosję”, Rebis, Poznań 2007. Tytuł i śródtytuły od redakcji „NP”.



foto: mat. pras.

Scenariusz filmu „Zerwany kłos” napisało samo życie, a przypomnienie jej widzom nie było wyłącznie artystycznym wyzwaniem. Losy błogosławionej Karoliny są ważne dla Polaków i katolików, a sens jej śmierci ma bardzo doniosły wymiar. To temat bardzo trudny. Pokazujący realne cierpienie i zło. A jednak wlewa nadzieję – z **Witoldem Ludwigiem**, reżyserem i scenarzystą filmu „Zerwany kłos”, rozmawia **Sylvia Krasnodębska** (Polskie Radio)



Sylvia Krasnodębska
Polskie Radio

Iskra nadziei w błogosławionej KAROLINIE

► Jest Pan reżyserem i scenarzystą filmu „Zerwany kłos” o bł. Karolinie Kózkównie. Stworzył Pan zespół filmowy złożony ze studentów Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu oraz jej absolwentów pracujących w TV Trwam. Średnia wieku członków całego zespołu filmowego wynosi 27 lat. Żadna z tych osób nie studiowała w szkole filmowej. W tym szaleństwie jest metoda?

Młodość ma ideały i determinację do pokonywania przeciwności. Ma też radość i siłę do „przenoszenia gór”. Nie zapominajmy jednak, że nasz zespół współpracował z wybitnymi artystami i twórcami

z całej Polski. Mamy więc do czynienia z ciekawą mozaiką talentów i osobowości, ale które połączyły wspólne pragnienia i misja. Nie ma jednak wątpliwości, że dużą rolę odegrały tu erupcja młodzińskiej witalności i pragnienie czynienia dobra. Pięknie wyraził to Adam Mickiewicz w swoim romantycznym manifestie „Oda do młodości”: „Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga! Łam, czego rozum nie złamie! Młodości! orla twych lotów potęgą. A jako piorun twe ramie!”.

► „Zerwany kłos” to Pana fabularny debiut. Praca nad filmem religijnym to bardzo trudna sztuka. Trzeba trafić do tzw. nieprzekonanych, unikać pewnych poprawności i oczywistości i zarazem nie dokonać profanacji. Zgodzi się



Witold Ludwig, reżyser i scenarzysta filmu „Zerwany kłós”

Pan ze mną, że ten gatunek kina to większe wyzwanie niż praca przy „normalnej” fabule, gdzie można po prostu puścić wodze fantazji?

Scenariusz tej historii napisało samo życie, a przypomnienie jej widzom nie było wyłącznie artystycznym wyzwaniem. Losy bł. Karoliny są ważne dla Polaków i katolików, a sens jej śmierci ma bardzo doniosły wymiar. To temat bardzo trudny. Pokazujący realne cierpienie i zło. A jednak wlewa nadzieję, bo chrześcijanin może znaleźć oparcie w wierze. W obliczu tak granicznych sytuacji, jak gwałt, jak morderstwo mógłby nas ogarnąć pesymizm. A jednak bohaterowie tego filmu pokazują, że iskra nadziei rozprasza najciemniejszy mrok.

► Dziś epatowanie przemocą i brutalnością jest w filmie traktowane często jak dodatkowa „atrakcja”. Pan miał okazję, by przemoc pokazać dosłownie. Mówimy w filmie o gwałcie i morderstwie. Tymczasem sięga Pan po inne środki, by sceny te były, z jednej strony, bardzo poruszające, a z drugiej niedosłowne...

Rzeczywiście to wymagało ogromnej odpowiedzialności, aby pokazać prawdę o tamtych wydarzeniach,

ale z drugiej strony, aby nie ranić wrażliwości widza. Dlatego zdecydowaliśmy się na bardzo rapsodyczną formę tego filmu. Filmu łączącego liryczne i malarskie zdjęcia, poetycki język, a zarazem przejmującą muzykę. Ale nie zawahaliśmy się także pokazać ran, jakie zadał Karolinie, opierając się zresztą na badaniach naukowych Kościoła. Brutalność w kulturze często wynika z fascynacji złem. Ten nihilizm niszczy człowieka. Tymczasem nam zależało na tym, aby natchnąć widza pięknem, dobrem i mądrością.

► Film „Zerwany kłós” jest pierwszym obrazem powstającym przy TV Trwam wytwórni filmowej. Co o niej wiemy? Znamy jakieś plany, zespół, który go tworzy?

Za wcześniej na odpowiedź na to pytanie. Jednak bez cienia wątpliwości w Wyższej Szkole Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu mamy do czynienia z unikalnym środowiskiem formującym młodzież w miłości Pana Boga i Ojczyzny. Ale są to zarazem ludzie ukształtowani do świadomego tworzenia życia społecznego i kultury. Takie piękne środowisko, w tym duszpasterstwo akademickie – służą zawiązywaniu przyjaźni, a przy tym podejmowaniu wielkodusznych pragnień. Ewangelizacja przez media i kulturę z pewnością jest takim zadaniem. Mamy plany, zamysły. Potrzeba jednak cierpliwej modlitwy i pracy.

► Jest Pan też autorem słów do piosenki przewodniej z filmu pt. „Warto jest wierzyć”. „Nasz piękny świat legnie w gruzach”. To tylko motyw piosenki czy odniesienie do rzeczywistości?

Przesłanie piosenki do „Warto jest wierzyć” jest ponadczasowe, jednak inspirowane otaczającym nas światem i jego problemami. Żyjemy przecież w świecie ogarniętym chaosem wojny. W czasach brutalnych prześladowań chrześcijan na całym świecie. Otacza nas cywilizacja śmierci. Ta piosenka jest wołaniem o to, że świat odmieni swoje oblicze, jeśli człowiek odmieni swoje serce.

► „Zerwany kłós” to historia sprzed 100 lat, o młodej dziewczynie, która jest błogosławioną. Z jakim przekazem taki film może trafić do dzisiejszych odbiorców?

To film wlewający nadzieję. I dodający wiarę, że dobro zawsze zwycięża nad złem, miłość jest silniejsza od nienawiści, a cierpienie – chociaż jest tajemnicą – ma głęboki sens. Musimy jednak otworzyć swoje serce i – jak pisał pewien pisarz – pozwolić: „zaskoczyć się radością”.

Jakub Kozłowski

Ile tlenu w „Tlenie”?

Na początku lat 70. zaangażowanie się w projekt oparty jedynie na brzmieniach syntezatorów, który nie dawał gwarancji sukcesu ani rozpoznawalności, wymagał odwagi i zdecydowania. Nie przeszkodziło to jednak wizjonerom, jak Kraftwerk czy Jean-Michel Jarre w nagrywaniu pionierskich płyt determinujących kierunek rozwoju muzyki elektronicznej na kolejne dziesięciolecia.

Pomimo wcześniejszych – udanych zresztą – „dzieł” Jarre’a, album „Oxygene” z 1976 r. przyniósł artyście międzynarodowy rozgłos. Wraz z jego premierą ukonstytuowała się i okrzepła europejska scena elektroniczna. „Oxygene” zresztą, ku zaskoczeniu samego Jarre’a, stał się fundamentem, do którego swoje cegiełki dokładały całe pokolenia późniejszych twórców. Krążki „Oxygene 2” z 1991 r. oraz najnowszy z grudnia 2016 r. „Oxygene 3” są dopełnieniem historii, rozwinięciem koncepcji. Mówiąc inaczej: kolejnymi tomami tej samej opowieści. I chociaż są to tomy wyraźnie odstające poziomem od oryginału, to jednak zasługują na uwagę każdego słuchacza dobrej muzyki elektronicznej.

O kształcie tego trzeciego zdecydował przypadek. W trakcie prac nad jednym z najważniejszych i najbardziej skomplikowanych projektów w karierze Jarre’a, albumem „Electronica”, powstał utwór, jak twierdzi sam autor, wyjątkowy: przestrzenny, przepelniony duszą i tajemniczością. Tyle że zupełnie niepasujący do wówczas przygotowywanej muzyki. Trafił więc do archiwum. Przed 40. rocznicą pierwszego wydania „Oxygene” muzyk postanowił zrobić coś więcej, niż tylko uczcić oryginalne kompozycje remiksami. Podjął się więc nagrania kolejnej inkarnacji „Oxygene”, a podstawę stanowić miał „odłożony na bok” utwór „Oxygene Part 14”. Wyjątkowość płyty podkreślać miały odgórne założenia ograniczające do pewnego stopnia spektrum technicznych możliwości oferowa-

nych przez współczesne instrumenty. Dzięki temu płyta miała jak najwierniej odzwierciedlać proces, który doprowadził w przeszłości do powstania pierwszego „Tlenu”. Tymczasem najnowsze wcielenie „Oxygene” to nadal dzieło mające wyraźne odwołanie do lat 70., z tym że nowoczesne pod względem aranżacji. Album dopełnia dotychczasowe artystyczne poszukiwania Jarre’a, lecz ich nie przyćmiewa.

Według mnie „Oxygene 3” jest najmniej emocjonalnie zaangażowana. W nowych kompozycjach Jana-Michela Jarre’a da się wyczuć nutkę nieszczerości, element wskazujący na wymuszone korzenie ich powstania. Co najbardziej jednak zwraca uwagę, to

niezdecydowanie artysty, czy chce przygotować płytę nowoczesną, wizjonerską czy nostalgiczną, znamionującą powrót do minionych lat w muzycznej karierze Francuza. Wydaje się wręcz, że Jarre chciał równocześnie osiągnąć oba cele, co oczywiście nie było możliwe. Choć każdy krążek Jarre’a to w pewnym sensie płyta koncepcyjna, przez co trudno byłoby rozpatrywać każdą kompozycję z osobna, w przypadku „Oxygene 3”, to właśnie kompozycje, a nie nastrój całości, zapisują się w pamięci. O ile bowiem wspomniany skomplikowany i nieoczywisty „Oxygene Part 14” oraz niezwykle melodyjny

„Oxygene Part 17” nawiązują do najlepszych wzorców obu poprzednich albumów, o tyle według mnie płyta jako całość zawodzi. Co nie znaczy, że nie jest warta uwagi. Mam też nieodparte wrażenie, że Jarre sam zdaje sobie sprawę, że dzieło jego życia dawno już zostało nagrane. O ostatnim utworze na albumie artysta mówił: „Jest jak zgaszona zapalka lub prochy rzucone na wiatr”. Być może więc nie warto po raz kolejny rozpalać tego samego ognia? Tym bardziej że zapalek w kieszeni Jarre’a, jak się wydaje, nie zostało już chyba zbyt dużo. ■





Sylwia Krasnodębska
Polskie Radio

Na kogo to polowanie?

„Pokot” Agnieszki Holland to śmieszno-straszna baśń dla dorosłych. Osnuta wokół zmanipulowanych słów: „czyńcie sobie ziemię poddaną”. I tak oto opowieść o zwariowanej ekolożce i krwiożerczych kłusownikach staje się jaskrawo ideologicznym, antychrześcijańskim filmem, w którym Holland w scenie filmowanej w kościele w symboliczny żłóbek kładzie nie Jezusa, a... zabitego dzika.

Na festiwalu Berlinale liczy się wydźwięk filmu. Do konkursu głównego, gdzie znalazł się najnowszy film Holland, trafiają oczywiście obrazy twórców doświadczonych, z łatwością i maestrią posługujących się filmowymi narzędziami. Ale krytycy często podkreślają, że to nie warsztat i kunszt liczą się najbardziej. Cenniejsze są konflikty i spory. Czasem po prostu polityka. I w tym sensie Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Berlinie to idealne miejsce na światową premierę filmu „Pokot”, która odbyła się 12 lutego.

► Kot i Pokot

Film jest „ładny w obrazku”. Ma spójną narrację i świetną obsadę: Agnieszka Manat, Wiktor Zborowski, Jakub Gerszał, Borys Szyk, Tomasz Kot, Andrzej Grabowski, Katarzyna Herman, Marcin Bosak. To właśnie praca aktorów zasługuje na szczególną uwagę. Widać, że reżyser pewną ręką prowadzi ich w każdej scenie. Agnieszka Manat, odtwórczyni głównej roli, weszła na zdjęciowy plan krótko po tym, jak wycofała się z produkcji Stanisława Celińskiego. Warunki na planie okazały się dla niej zbyt wymagające. Ciekawy duet tworzą ojciec i syn – Wiktor Zborowski i Tomasz Kot. „Tomka Kota poznałem w czasach, kiedy jeszcze zastanawiał się, czy zdawać do szkoły teatralnej. Powiedziałem mu: zdawaj chłopie, jesteśmy tego samego wzrostu (196 cm), będę mógł zagrać twojego ojca. No i zagrałem” – mówi o pracy nad filmem Wiktor Zborowski. Niezwykle są też sceny z dziką zwierzyną. Zdjęcia dokumentalne z udziałem zwierząt kręcone były przez dwie ekipy ze Słowacji i z Czech.

► Dziczyna kontra Bóg

Ale filmu „Pokot” nie można oceniać, abstrahując od przekazu, który niesie, i ideologii, która z tych pieczołowicie stworzonych kadrów płynie. Piękne i tajemnicze Sudety. Czasy współczesne. Janina Duszejko (Agnieszka Manat) jest astrolożką, wegetarianką i ekolożką. Jej życie ma wszystkie te cechy, które najlepiej obrazują słowa: w zgodzie z naturą. Agnieszka Holland, bazując na tekście książki Olgi Tokarczuk pt. „Prowadź swój pług przez kości umarłych”, pokazuje nam człowieka skonfliktowanego z naturą. Z ważną uwagą, że Janina występuje po stronie natury, a nie ludzkości. W czasie gdy Duszejko z matczyną miłością odnosi się do swoich psów, kłusownicy przygotowują broń. Gdy bohaterka czule zwraca się do dzika, barbarzyńcy upatrują łupu. Zresztą tytułowy pokot oznacza łup właśnie. Tak zarysowane są strony sporu. Jednak gdy jednym z członków kłusowniczej grupy jest ksiądz katolicki, a Duszejko broni dzikich saren, posługując się piątym przykazaniem mówiącym

o niezabijaniu, zaczynamy rozumieć, że film nie jest jedynie opowieścią o złym człowieku i dobrej naturze. Do przekroczenia wręcz niewiarygodnego dochodzi, gdy ksiądz kłusownik odprawia mszę, podczas której, patrząc na zabitego dzika leżącego w żłóbku, przywołuje boskie słowa: „czyńcie sobie ziemię poddaną”. Te słowa brzmią jak tragiczna wyrocznia. Jak alibi dla okrucieństwa. I jak przyzwolenie do łamania prawa. Obrończyni zwierząt zostaje wyrzucona z kościoła, ale będąc za jego murami, wciąż docierają do niej powtarzane jak mantra słowa z „Księgi Rodzaju”. Często twórcy filmowi, chcąc wyrazić swój manifest religijny czy antyreligijny, posługują się przenośniami, tezami wypowiedzianymi między wierszami czy po prostu pewnym sprytem i subtelnościami. Tymczasem Holland ów manifest prezentuje z gracją drwala posługującego się tęym toporem. Okolicznością łagodzącą może być fakt, że prezentowany obraz widziany jest oczami nieco zwariowanej bohaterki. Jednak antykatolicki przekaz jest tak silny, że trudno go wziąć w nawias czy zbagatelizować. Nie przesadził Cezary Gmyz, pisząc, że film ma wydźwięk pogański.

► Szeroki strumień pieniędzy

Film powstał w polsko-niemiecko-czesko-szwedzkiej koprodukcji z udziałem Słowacji. Dostał dofinansowanie z Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej w wysokości 3,5 mln zł. Z informacji podanej na stronie instytutu wynika, że cały budżet filmu Agnieszki Holland to niemal 12,5 mln zł. Pozostałe pieniądze udało się pozyskać m.in. z Polsko-Niemieckiego Fundusz Co-Developmentowego, z programu „Media” Unii Europejskiej oraz z Funduszu Rady Europy „Eurimages”. Koproducentami i współfinansującymi filmu byli również: Narodowy Instytut Audiowizualny, Odra-Film, HBO i Agora.

Dla porównania, budżet „Ostatniej rodziny” Jana P. Matuszyńskiego o rodzinie Beksińskich wyniósł niespełna 6 mln zł. „Jestem mordercą” Macieja Pieprzycy prawie 7 mln, a „Powidoki” Andrzeja Wajdy prawie 10 mln zł.

Choć sama Agnieszka Holland przyznaje, że film „Pokot” to „anarchistyczny, feministyczny, ekologiczny kryminał z elementami czarnej komedii”, to jednak trudno go uznać za promujący ekologię. Scenarzystki Holland i Tokarczuk mają duży dystans do swojej bohaterki. Z jednej strony, jest ona kobietą wrażliwą na piękno natury, która ma wielkie serce, ale z drugiej, bywa po prostu dziwaczką, potrafiącą histerycznie płakać, wtulając się w brudne ciało zastrzelonego dzika. Trudno więc patrzeć na ten film jak na film proekologiczny. Można wręcz uznać, że pokazuje on ekologię w sposób stereotypowy, a nawet prześmiewczy. Może więc nie o dobro zwierząt chodziło scenarzystkom i reżyserce filmu, lecz o kolejny pretekst do rozprawiania się z Kościołem katolickim? ■



Krzysztof Karnkowski



Kino historycznego **NIEPOKOJU**

W lutowym numerze „Nowego Państwa” pisałem o tym, jak koreański przemysł filmowy potrafi współtworzyć świadomość historyczną widzów, równocześnie doskonale na tym zarabiając i tworząc znakomite filmy. Ostatnie dwa lata to bowiem rosnąca popularność nowego nurtu w tamtejszym kinie – opowiadania na różne sposoby o czasach okupacji japońskiej i oporze Koreańczyków wobec okrutnych agresorów.

Późniejsze losy Korei Południowej (wojna koreańska to jeszcze inna, od dawna i bardzo często obecna na ekranach historia) filmowców interesują tym bardziej, im mniej krępowani są przez cenzurę. Od końca lat 90. na ekranach można było zobaczyć wiele obrazów dotykających problemów represji politycznych, którym poddawane było tamtejsze społeczeństwo na początku lat 80., czy przemocy wobec obywateli. Ciekawe jest też, jak kraj, na pozór żyjący szczęśliwie i dostatnio, radzi sobie z traumą narodu podzielonego, żyjącego w cieniu zawieszonych tylko, czyli wciąż możliwej wojny.

► Gorzka mięta

Jednym z głośniejszych filmów, w którym Koreańczycy rozliczali się ze swoją przeszłością, był „Miętowy cukierek” Chang-dong Lee z 1999 r. Chang-dong Lee to znacząca postać dla koreańskiej kultury – oprócz scenariuszy do niektórych swoich filmów pisał również opowiadania, zaś z rąk prezydenta Roha, który pojawił się jeszcze w tej opowieści, otrzymał nawet tekę ministra. Choć „Miętowy cukierek” (tytuł międzynarodowy „Pep-

niezbyt przyjaznych ludziom kolegów). To już czasy autorytarnego reżimu, dla bohatera – katowania zatrzymanych i cynicznego uwodzenia kobiet, zawsze według tej samej, wypróbowanej metody, w której dużą rolę odgrywa opowieść o dawnej ukochanej. Wreszcie wojsko i pacyfikacja protestów, a w tle wielkiego, społeczno-politycznego dramatu również epizod, który łamie życie przyszłego policjanta, biznesmena i samobójcy i zmienia go w emocjonalnego żywego trupa, którym stał się później. Widzimy jeszcze wcześniejsze chwile bez troski i tak opowieść staje się pełna. Myślę, że na koreańskich widzach film ten robić musi o wiele większe wrażenie.

► Płacz podczas seansu

Pokazywana swego czasu w Warszawie „Oda do mojego ojca”, opowieść o losach rodziny rozdzielonej przez wojnę koreańską i doświadczoną kolejnymi dramatycznymi zwrotami historii, też wzbudza emocje. Choć dla Polaków na sali był to po prostu dobry, poruszający film, z miejsc zajmowanych przez Koreańczyków nieraz dało się podczas seansu usłyszeć odgłosy płaczu. Ten film z 2014 r. obejrzało

O ILE POŁUDNIOWOKOREAŃSKIEJ KINEMATOGRAFII ZDARZA SIĘ, ZWŁASZCZA OD CZASÓW PREZYDENTA ROHA, WPROWADZAĆ BOHATERÓW – PÓŁNOCNYCH KOREAŃCZYKÓW – ZASŁUGUJĄCYCH NA WSPÓŁCZUCIE, CZASEM NAWET PRZYJAŹNIĄCYCH SIĘ ZE „ZDRAJCAMI” Z POŁUDNIA, TO MIMO WSZYSTKO APARAT PAŃSTWOWY PÓŁNOCY ZAWSZE POZOSTAJE OPRESYJNĄ MACHINĄ.

permint Candy”) jest dziełem trudnym i nieprzyjemnym w odbiorze, w 2000 r. znalazł się na dziewiątym miejscu pod względem frekwencji wśród rodzimych produkcji. Historia opowiedziana przez Lee zaczyna się spektakularnie – bohater pojawia się jako nieproszony gość na spotkaniu klasowym, psuje dawnym kolegom i koleżankom zabawę tylko po to, by chwilę później popełnić samobójstwo. Kolejne sekwencje stopniowo cofają nas w czasie i w ten sposób obserwujemy skokowy upadek Yong-ho. Człowieka bliskiego samobójstwa, otrzymującego nieoczekiwany prezent od umierającej kobiety – aparat fotograficzny, który okazuje się spinać całą akcję. Podobnie jak postać samej kobiety – nieszczęśliwej, obsesyjnej miłości bohatera. Początkowo jednak nie znamy ich wspólnej historii. Cofamy się kilka lat, by zobaczyć całkiem niezłe prosperujących biznesmenów, który jednak niezbyt dobrze układa sobie relacje z rodziną, zdradzając żonę z młodszą pracownicą firmy. Potem dowiadujemy się, że nim Yong-ho został biznesmenem, był uchodzącym za sadystę policjantem (nawet wśród

ponad 14 mln widzów, dając mu drugie miejsce w ogólnych zestawieniach wszech czasów.

W tym samym roku triumfy święcił dramat „The Attorney” w reżyserii Woo-seok Yanga. To luźne nawiązanie do historii przywołanego prezydenta Roha, którego udział w życiu publicznym zaczął się od tzw. Sprawy Burim. Grupa około 20 osób – studentów i wykładowców – została oskarżona na podstawie sfabrykowanych dowodów i wymuszonych torturami zeznań o udział w prokomunistycznym spisku. Moo-hyun Roh został obrońcą grupy, a po procesie stał się jedną z kluczowych figur demokratycznej opozycji, wreszcie zaś prezydentem Korei Południowej. Na tym stanowisku nie spełnił jednak oczekiwań i stracił społeczne poparcie. Odsunął się od polityki, ta jednak dopadła go, gdy członków jego rodziny i jego samego oskarżono o korupcję. Ostatecznie, mimo że był katolikiem, popełnił samobójstwo, rzucając się ze skały. Do dziś nie wiadomo, czy głównym powodem tego kroku były oskarżenia, z których został pośmiertnie oczyszczony, czy narastające kłopoty ze zdrowiem... W „The Attorney” obserwujemy przemianę adwokata – naiwnego i pocziwego cwaniaka

– w świadka dramatu, a w następstwie – przeciwnika reżimu. Podobnie jak w „Miętowym cukierku” chwilami trudno jest patrzeć na ekran, sceny tortur i policyjnej przemocy są bardzo autentyczne. O tym, że film był potrzebny, przekonuje ponad 11 mln widzów w koreańskich kinach.

Nie wszystkie oskarżenia o komunizm były jednak sfabrykowane. W czasach autorytaryzmu i biedy nie brakowało osób, zwłaszcza młodych, zerkających na Północ i upatrujących szansy bądź to we wprowadzeniu tamtejszych rozwiązań, bądź, jeśli pierwsze się nie uda, w ucieczce. Interesujący, choć mniej znany, film „Kwadratura koła” („Paradox Circle”, reż. Seong-hoon Kim), opowiada o grupie przyjaciół zafascynowanych komunizmem i biorących udział w studenckich protestach wczesnych lat 80. Pretekstem do rozpoczęcia historii jest spotkanie grupy przyjaciół wiele lat później, na pogrzebie jednego z dawnych buntowników. Później cofamy się kawał czasu i resztę zdarzeń poznajemy już chronologicznie. Mamy tu

(częsty w ostatnich latach jest na przykład motyw agentów, którzy przez swój kraj zostają przeznaczeni do likwidacji – jak w popularnych „Secretly Greatly” i „The Commitment” z chłopcami z boys bandów jako szpiegami), czasem nawet przyjaźniących się ze „zdrajcami” z Południa, to mimo wszystko aparat państwowy Północy zawsze pozostaje opresyjną machiną. „Słoneczna polityka” Roha przyniosła kilka obrazów, w których pojawiali się żołnierze lub agenci, nawiązujący przyjaźnie z rodakami z drugiej strony strefy zdemilitaryzowanej. Przykłady takich filmów to pokazujące żołnierzy obu stron „Joint security area” Chan-wook Parka czy wyprodukowany przez znanego reżysera Ki-duk Kima „Red family”. W tym ostatnim widzimy grupę „śpiochów” (uśpionych agentów), którzy, udając zwyczajną rodzinę i szantażowani losem bliskich, którzy zostali w Korei Północnej, zaczynają zachowywać się względem siebie

„26 LAT” GEUN-HYEON YO COFA NAS W CZASY MASAKRY W KWANGJU – WYDARZEŃ BARDZO PRZYPOMINAJĄCYCH NASZ GRUDZIEŃ '70. WIDZIMY, JAK GINĄ BLISCY OSÓB, KTÓRE STANĄ SIĘ WŁAŚCIWYMI BOHATERAMI FILMU. TO ONI, POD WODZĄ GNĘBIONEGO WYRZUTAMI SUMIENIA ŻOŁNIERZA, PO 26 LATACH ZBIORĄ SIĘ, BY SPRÓBOWAĆ WYMIERZYĆ SPRAWIEDLIWOŚĆ ÓWCZESNEMU MUNDUROWEMU OPRAWCY.

i studencki bunt, i policyjną przemoc, różne typy charakterów, konflikty wewnątrz grupy, w tym wątek pięknej „Róży Rewolucji” (o której względy rywalizują intelektualista i aktywista), więzienie i ucieczkę dwóch liderów na Północ i dwie odmienne reakcje na zastaną tam rzeczywistość. Rewolucjonista staje się częścią bezpieki Phenianu, myśliciel doznaje rozczarowania i znów znajduje się bardzo nie na miejscu, co skutkuje represjami i kolejną ucieczką, tym razem na Południe. Na stypie okazuje się też – co czyni film jeszcze ciekawszym z naszego punktu widzenia – że jeden z kumpli donosił na pozostałych. Czy mu wybacza? Całość psuje, niestety, wrażenie, że sam reżyser musiał przechodzić fascynację komunizmem i choć dowiedział się, czym naprawdę jest Korea Północna, nie całkiem pozbył się swoich młodzieńczych sympatii.

► Masakra w Kwangju

W „Paradox Circle” poznaliśmy motywację i rozczarowania koreańskich lewaków, wobec których, choć nie wszystkich, widz mógł poczuć pewną sympatię. Jednak Północ pokazana została nawet tu w bardzo ciemnych barwach, i to trzeba uznać za standard południowokoreańskiej kinematografii. O ile zdarza się jej, zwłaszcza od czasów prezydenta Roha, wprowadzać bohaterów – północnych Koreańczyków – zasługujących na współczucie

jak prawdziwa rodzina, co prowadzi ich do nieuchronnej zguby.

Na koniec chciałbym wspomnieć o obrazie, który stał się inspiracją do napisania tego artykułu, thrillerze „26 lat” Geun-hyeon Yo. To film fabularny, który zaczyna się jednak bardzo mocną, piękną i staranną animacją, cofającą nas w czasy masakry w Kwangju, wydarzeń bardzo przypominających nasz Grudzień '70. Widzimy, jak giną bliscy osób, które staną się właściwymi bohaterami filmu. To oni, pod wodzą gnębionego wyrzutami sumienia żołnierza, po tytułowych 26 latach zbiorą się, by spróbować wymierzyć sprawiedliwość ówczesnemu mundurowemu oprawcy. Wojskowemu zbrodniarzowi, który praktycznie nie poniósł żadnych konsekwencji, a po latach cieszy się szacunkiem, finansową stabilizacją i pozycją autorytetu moralnego. Dziwnie znajome, przyznają Państwo. Przypomnienie nierozliczonej zbrodni i wciąż świeżej narodowej traumy wpisane zostało w poetykę azjatyckiego kina zemy w sposób bardzo sprawny i przekonujący.

Opisane filmy mogą być ciekawe również dla polskiego widza, ponieważ w większości przypadków stawiają pytania, których, niestety, nie lubią zadawać nasi rodzimi twórcy, a które pozostają wciąż w mocy, gdy dyskutujemy choćby o finansowych przywilejach dawnych służb. Czy również w sferze kultury coś się może zmienić? ■



Marcin Wolski

Przekombinowane

Służby specjalne Związku Sowieckiego oraz Rosji (sprzed i po czerwonej zarazie) uchodzą za najlepsze na świecie. W dziedzinie prowokacji, skrytobójstw, zamachów, infiltracji przeciwnika trudno im dorównać, zwłaszcza gdy ich działaniom towarzyszyły cynizm, bezwzględność, profesjonalizm, ślepe posłuszeństwo i wewnętrzny terror. Od 300 lat doskonale uzupełniają się z działalnością dyplomatyczną i propagandową, tworząc podstawę imperium. Aż trudno zrozumieć, jak przy tych wszystkich zaletach w połączeniu ze ślepotą i głupotą reszty świata nie udało im się zapanować nad całym globem. Być może jedną z przyczyn jest dążenie do perfekcjonizmu, a zarazem monstrualny przerost, który powoduje, że Golem zaczyna potykać się o własne nogi.

Teoretycznie rzecz biorąc, ochrona była jedną z najlepszych policji świata – trzymała społeczeństwo Rosji w karchach, a równocześnie, dzięki siatce agentów, kontrolowała wszelkie grupki gotowe wystąpić przeciw samodzierżawiu. W którymś momencie uznała nawet, że zamiast ścigać rozproszonych rewolucjonistów, trzeba pomóc w tworzeniu ich organizacji. Dzięki spryciarzom takim jak Azeff tajna policja mogła kontrolować władzę i opozycję, jak trzeba napuszczając ich na siebie. Człowiek, który mógł uratować Rosję, premier Stółypin, zginął właśnie z rąk policyjnych konfidentów. Na przełomie wieków ochrona kontrolowała większość rewolucyjnych komórek, których kierownictwo w 90 proc. składało się z agentów, kreowała swych tajnych współpracowników na liderów, jednym z nich był Stalin... Ale przyszła wielka wojna, potem rewolucja lutowa, agenci zaczęli grać na własny rachunek i to, co miało uratować carat, przyniosło mu zgubę.

Czy historia powtórzyła się u schyłku ZSRS, i to w całym bloku? Zapewne KGB usiłowało rozgrywać swych konfidentów, być może w zamyśle Andropowa wszystko miało posłużyć wielkiej transformacji. Udało się średnio. Siłowicy utrzymali się w Rosji, ale jakże okrojonej, reszta przepadła,

a dawne imperium jest dzisiaj ledwie dziesiątym pod względem liczby ludności zapóźnionym krajem surowcowym, który wprawdzie może zniszczyć świat i siebie, ale niewiele więcej. Chyba więc nie o to chodziło?

A świat współczesny? Widać, że reżim Putina gra na wielu fortepianach, zamiast wspierać skrajną lewicę, stał się protektorem skrajnej prawicy. Ma swych agentów wpływu, całe tłumy użytecznych idiotów. Ale co może ugrać? Myślę, że niewiele – jeśli nawet ustawi swych pupilów na czele różnych ważnych państw, te nadal pozostaną demokratyczne – ewentualni sympatycy Kremla, dochodzący do władzy pod hasłami obrony państw narodowych, nie będą mogli działać wbrew interesom swoich narodów, a przy okazji swoim własnym. (Nawet Łukaszenka woli być suwerennym dzierzymordą niż zależnym od centrali wielkorządcą).

Jeśli istniała operacja Trump, to poniosła klęskę, zanim mogły pojawić się jej pierwsze owoce. Nie twierdzę, że rosyjscy hackerzy nie przyczynili się do sukcesu miliardera, tyle że teraz zamiast przewidywalnych i lękliwych demokratów, w Białym Domu zasiadł człowiek nieprzewidywalny, który nie pozwoli sobie w kaszę dmuchać. Już zażądał zwrotu Krymu Ukrainie. Ludzie Obamy wahali się przed użyciem zmasowanego odwetu w wypadku ataku nuklearnego na któreś z państw NATO, Trumpowi palec na atomowym spuście nie zadrży.

A nawet jeśli istnieją jakieś haki na „Donalda Większego” – prezydent USA to nie car Nowej Rosji, który może kierować się własnym widzimisię. Kontroluje go dość perfekcyjny system sprawdzony od ponad 200 lat, a gdyby mimo wszystko spróbował go przechrzcić...? Cóż, czterech prezydentów opuściło Białą Dom w kondukcje przed końcem kadencji.

Znane powiedzonko głosi, że bagnet rozwiązuje bardzo wiele spraw, ale nie sposób na nim siedzieć. Podobnie ze służbami – można nimi znakomicie grać, ale w decydującej rozgrywce o najwyższą stawkę trudno jest wygrać. ■

Olga Doleśniak-Harczuk



Czerwone niebo nad Berlinem



foto: SERGEI ILIUTINSKY / PAV / EPA

„Mamo, zobaczysz, kiedyś przyjadę po ciebie mercem”

– przyrzekł w latach

60. swojej matce Erice

Vossler nastoletni Gerhard Schröder. Słowa dotrzymał.

„Chcę do środka!”

– wykrzykiwał jeszcze jako

członek socjalistycznej

młodzieżówki pod bońską kancelarią kanclerza RFN.

W 1998 r. przekroczył próg Kanzleramtu i rządził

w nim niepodzielnie

siedem lat. Później, na

etacie w Gazpromie,

niiby wycofał się z życia

politycznego, ale

zawsze był w obwodzie.

Dziś jest pożądanym

mówcą i doradcą,

niekwestionowaną szarą

eminencją przeżywającej

właśnie renesans SPD

i ojcem kariery politycznej

nowo zaprzysiężonego

prezydenta Franka-Waltera

Steinmeiera. Cóż, stało

się, Gerhard Schröder

wrócił do gry i kampania

wyborcza od razu nabrała

rumieńców.

Stary socjaldemokrata ochoczo komentuje w mediach kandydaturę Martina Schulza na kanclerza, uznając ją za dobre posunięcie swojego środowiska politycznego, przy czym kokieteryjnie zaprzecza, jakoby od początku był wtajemniczony w chytry plan Sigmara Gabriela, który, wyskoczywszy z wyborczego kieratu, przekazał pałeczkę Schulzowi, a sam objął tekę w MSZ-cie. Były zaś teki dysponent, czyli Frank-Walter Steinmeier, od kilku tygodni cieszy się tytułem 12. prezydenta Republiki Federalnej Niemiec. To w historii powojennych Niemiec trzeci prezydent wywodzący się z SPD, a w osobie Steinmeiera dodatkowo prezydent uznawany za człowieka byłego kanclerza, co nie do końca jest prawdą, ponieważ i ta relacja nie była wolna od pewnych perturbacji (vide: Bodo Hombach). Z drugiej strony, bez trudu w poglądach Steinmeiera odnajdziemy rys Schrödera, który ewidentnie wpłynął na jego postrzeganie Rosji.

► Gdzie się podziali uchodźcy?

Patrząc z tej perspektywy ostatnich ruchów na politycznej szachownicy w Berlinie, faktycznie zrobiło się w styczniu jeszcze bardziej czerwono niż zwykle. Niektórzy, najbardziej historyczni, eksperci wieszczą nawet schyłek chadecji i Angeli Merkel, a siłą prawa symetrii – rozkwit SPD porównywalny z tym z lat 70., gdy Niemcy rzucili się na partyjne książeczki powodowani „efektem Brandta”. Jak na razie przekaz ten przebija się do mediów, a z nich do głów wyborców, skutecznie przykrywając problem z uchodźcami z Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej, tak jakby gorączka kampanii wyborczej ogarnęła nie tylko autochtonów, lecz także Afgańczyków, Marokańczyków i Syryjczyków, zapewne licytujących się teraz na stołowie, kto jest lepszy: Schulz czy Merkel. Dla obu stron pozorowanego konfliktu politycznego sytuacja ta jest arcywygodna, największe zmartwienie nie tylko Niemiec, lecz także Brukseli zeszło na dalszy plan, a dziennikarze, zamiast o salafickim zagrożeniu czy buntach w ośrodkach dla imigrantów, relacjonują teraz wizytę gospodarską Martina Schulza w ochotniczej straży pożarnej pod Duisburgiem, jego spotkanie z mieszkańcami domu seniora w Schwafheim i problemy... administracji Trumpa. Tak, Trump przykryje każdy niemiecki problem, a nawet jak nie on osobiście, to z pewnością sprawią to Thilo Sarrazin lub Gerhard Schröder wypowiadający się o Trumpie. Ta metoda naprawdę działa. Niemcy nie zastanawiają się już nad tym, dlaczego niiby mieliby chcieć zagłosować na spadochroniarza z Brukseli, który bez programu, bez doświadczenia w realnym świecie pracy (w sensie – na wolnym rynku) lansuje się jako zbawca seniorów, dzieci, chorych i potrzebujących, tylko nad tym, ile wspólnych chromosomów mają Trump

z Nixonem. A to, że 6,2 mld euro nadwyżki budżetowej za 2016 r. trafi na poczet polityki migracyjnej, ponieważ, jak podają media, „rząd nie miał innego pomysłu, jak te środki zagospodarować”, przechodzi bez większego echa.

► Martin „więcej Europy” Schulz

Wrażenie jakoby czerwoni zdominowali wyścig do Bundestagu i – co się z tym łączy – do Kanzleramtu, spotęgowały sondaże dające SPD nawet kilka punktów procentowych przewagi nad CDU/CSU. W połowie lutego sondaże się jednak uspokoiły i szala przechyliła się na korzyść chadeków, wracając niejako *status quo*, ale tzw. efekt Schulza w dalszym ciągu jest podgrzewany w mediach. Trend ten nie utrzyma się raczej do wrześniowych wyborów do Bundestagu. Owszem, liczba członków SPD w samym tylko Berlinie wzrosła znacznie i obecnie oscyluje wokół 18 tys. członków (CDU ma 12,2 tys. członków w stolicy), ale przecież, *primo* do urn 24 września pójdą nie tylko czerwone landy, *secundo* do tego czasu czar Schulza zdąży już się ulotnić i wszystkie marnotrawne dzieci wrócą do statecznej

jąć, jakimi sukcesami zasłużył na kilkaset tysięcy euro rocznych dochodów ten nietolerujący sprzeciwu człowiek, apelujący nieustannie o „więcej Europy”, podczas gdy Europa zdecydowanie potrzebuje odnowy, ale w odwrotnym kierunku niż by sobie tego życzył.

► Gerhard – szara eminencja SPD

Póki co Martin Schulz odwiedza wsie i miasteczka, Angela Merkel ze stoickim spokojem czeka na czwartą kadencję, a Alternatywa dla Niemiec czyści szeregi przed decydującym starciem. To jedyna formacja, która postawi w kampanii na straszenie uchodźcami, innych opcji nie ma. Samej kampanii wyborczej niewątpliwie doda kolorytu obecność Gerharda Schrödera, który z pozycji mentora ocenia teraz kondycję swoich młodszych kolegów z SPD. Schröder od 2005 r. jest związany z Gazpromem, a od lipca ubiegłego roku kieruje radą dyrektorów Nord Stream 2 AG. To postać kontrowersyjna, nawet w kręgach SPD, ale respektowana z uwagi na swoje liczne kontakty. Po 2005 r. przylgnęło do niego kpiarskie „Gazowy Gerd”, ale jego działalność, o czym zbyt często się zapomina, nie

SCHRÖDER JEST M.IN. HONOROWYM PRZEWODNICZĄCYM POZORNIE NISZOWEGO STOWARZYSZENIA BLISKIEGO I ŚRODKOWEGO WSCHODU, KTÓRE, JAK CZYTAMY NA STRONIE INTERNETOWEJ TEGO GREMIUM, MA WSPIERAĆ BILATERALNE STOSUNKI MIĘDZY NIEMCAMI A KRAJAMI BLISKIEGO WSCHODU.

Merkel. Sygnałem niechybnego zwrotu mogą być przemycane na blogach internetowych teksty przypominające sympatykom SPD o niebotycznych zarobkach Schulza jako szefa Parlamentu Europejskiego, a zwłaszcza o jego dodatkowych (poza pensją, dodatkami na biuro, fundusz reprezentacyjny etc.) nieopodatkowanych dniówkach w wysokości 304 euro za każdy dzień pracy w PE, które rocznie sumowały się na kwotę ponad 110 tys. euro. I pieniądze te należały się politykowi niezależnie od tego, czy był w pracy, czy na urlopie. O tej sprawie Niemcy nie przeczytają w „Spieglu”, Schulz został już bowiem namaszczonej przez liberalne media na następcę Angeli Merkel i burzenie jego wizerunku polityka poświęcającego się w imię tzw. sprawiedliwości społecznej nieszczególnie współgra z faktycznym wizerunkiem zamożnego, duchowego spadkobiercy Dyzmy, który z pozycji księgarza wskoczył na najwyższe stanowiska unijne. A jakby było mało – na jego pokazną pensję składali się europejscy podatnicy, którym nawet przy najszczerszych chęciach trudno po-

ograniczać się wyłącznie do Gazpromu. Schröder jest też honorowym przewodniczącym pozornie niszowego Stowarzyszenia Bliskiego i Środkowego Wschodu, które, jak czytamy na stronie internetowej tego gremium, ma za zadanie wspierać bilateralne stosunki między Niemcami a krajami Bliskiego Wschodu. W styczniu z mandatu stowarzyszenia były kanclerz odbył szereg spotkań na Bliskim Wschodzie, m.in. z królem Arabii Saudyjskiej Salmanem i emirem Kuwejtu, szejkiem Sabahem al-Ahmad al-Jaber as-Sabah. W Arabii Saudyjskiej zapowiedział, że „niemieckie przedsiębiorstwa są gotowe podzielić się swoimi doświadczeniami, by pomóc Arabii Saudyjskiej wdrożyć ambitny program Vision 2030” (program ogłoszono w kwietniu 2016 r., obejmuje on rewolucyjne zmiany we wszystkich niemal dziedzinach życia gospodarczego Arabii Saudyjskiej). W Kuwejcie były kanclerz przemawiał w Izbie Handlowej, chwalił postępy gospodarcze gospodarzy. W gazetce stowarzyszenia z przełomu marca i kwietnia 2016 r. na czo-

lówce jest zaś artykuł poświęcony wizycie Schrödera w Iranie, której celem było nawiązanie dialogu na wypadek zniesienia sankcji na to państwo. Jakkolwiek na to spojrzeć, były kanclerz zdaje się lobbować na rzecz niemieckich przedsiębiorstw zainteresowanych inwestycjami na Bliskim Wschodzie i czyni to nader aktywnie. A ponieważ strona rządowa zdaje się z kolei nie dostrzegać nic niestosownego w tych wycieczkach, można chyba założyć, że jej to nie przeszkadza. W Niemczech o działalności byłego kanclerza generalnie mówi się niechętnie i powściągliwie, z reguły gdy media zaczynają drażnić jego zaangażowanie w konkretne projekty, muszą się liczyć z kłopotami natury prawnej. W maju 2016 r. w wywiadzie na łamach „Nowego Państwa” do tematu nawiązał Boris Reitschuster, wieloletni korespondent mediów niemieckich w Moskwie, obecnie jeden z najbardziej zaciekle krytyków Putina. Tak mówił nam o Schröderze: „W Rosji w międzyczasie ukuto nawet specjalny termin »Szredyryzacja«, który wszedł do języka potocznego. Słowo to oznacza korupcję elit. Dziwię się trochę, że ten termin spotkał się z totalną ignorancją w Niemczech, chociaż, z drugiej strony,

► 50 fenigów na godzinę

Patrząc na życie i karierę Gerharda Schrödera, nie sposób mu odmówić tupetu i determinacji. To dzięki tym cechom prosty chłopak z Mossenbergu zarabiający pół marki za godzinę dojenia krów i pomoc przy wykopkach, zdobył nie tylko obiecanego matce „merca”, lecz także Kanzleramt, ogromny majątek i opinię człowieka, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych. Hans-Peter Schwarz, biograf Konrada Adenauera i Helmuta Kohla, nazwał go nawet „niemal bismarckowską figurą”, co, znając temperament i wysokie mniemanie o sobie Schrödera (posiadacza ogromnego portretu Bismarcka, jednego z 80, jakie wyszły spod pędzla Franza von Lenbacha), musiało go mile polecać. Przy całej wyrozumiałości dla zręczności pochlebnych Hansa-Petera Schwarza, trudno wymienić jakiegokolwiek cechy, które byłyby wspólne dla Schrödera i Bismarcka. Żelazny kanclerz nie znosił socjaldemokratów jak dżumy, nazywał ich szczurami, a wdrożony przez niego program społeczny miał umocnić monarchię i wytrącić socjalistom argumenty z ręki, co na pewien czas nawet się powiodło. Jedyna styczność między Bismarckiem a Schröderem to stosunek

W NIEMCZACH O DZIAŁALNOŚCI BYŁEGO KANCLERZA GENERALNIE MÓWI SIĘ NIECHĘTNIE I POWŚCIĄGLIWIE, Z REGUŁY GDY MEDIA ZACZYNAJĄ DRAŻYĆ JEGO ZAANGAŻOWANIE W KONKRETNE PROJEKTY, MUSZĄ SIĘ LICZYĆ Z KŁOPOTAMI NATURY PRAWNEJ.

i to można jakoś wyjaśnić. Były prezydent Niemiec Christian Wulff stracił urząd przez 700 euro, śledztwo prowadzone w jego sprawie ciągnęło się latami. A wcześniejszy kanclerz Gerhard Schröder anulował Rosji sowiecki dług w wysokości 7,2 mld euro, doprowadził do budowy Nord Stream i jeszcze przypieczętował kwotę 1 mld euro pożyczki dla Gazpromu, i tematu nie ma. Schröder działa jak lobbysta Putina, ale nikomu zdaje się to nie wadzić, o tym się nie dyskutuje. Społeczeństwo niemieckie nie widzi problemu [...] Rosyjska opozycja w Moskwie mówi o Putinie »Mistrz Werbunku«, a o Schröderze, że jest jego majstersztykiem. Myślę, że Putin bardzo wnikliwie analizuje słabości innych osób i kalkuluje, w jaki sposób najlepiej będzie mógł te słabości spozytkować. A Schröder dał się zwyczajnie zinstrumentalizować. Najdziwniejsze są te wszystkie powiązania gospodarcze, ale nie powiem nic więcej” – skończył Reitschuster, dając do zrozumienia, że na pewne tematy lepiej wypowiadać się z dużą dozą powściągliwości.

do Rosji i chyba tutaj tkwi klucz do fascynacji żelaznym kanclerzem u chłopaka z Mossenbergu, który, gdyby żył w czasach swojego idola, z racji niskiego pochodzenia mógłby się co najwyżej u niego nająć na stajenno. I nie ma w tym ani krzty złośliwości, sam Schröder w ciekawym wywiadzie dla „Spiegla” z 2015 r. bez oporów przyznał, że za Bismarcka niewątpliwie awans społeczny, który zaprowadził go aż do Kanzleramtu, byłby niemożliwy. W XXI wieku wiele jest możliwe. Jeżeli Martin Schulz mógł zostać szefem Parlamentu Europejskiego, to granic możliwości najzwyczajniej nie ma. Schengen totalne. A jak sam Schröder zaktywizował się na czas kampanii, to może niech Angela Merkel lepiej ruszy się z Berlina i odwiedzi jakiś dom opieki czy szkołę. „Kanclerz Schulz” brzmi jeszcze bardziej złowieszczo niż „przewodniczący Schulz”. Nie rzecz w ilości do kanclerz Niemiec, lecz w stosunku SPD do NATO. Wygrana socjaldemokratów i ewentualna koalicja z postkomunistami i Zielonymi otworzy drogę do najbardziej absurdalnych alternatyw do Paktu Północnoatlantyckiego. ■

Wizyta senatora Edwarda Moore „Teda” Kennedy’ego w Polsce,
ze stanu Massachusetts, luty 1962 r.

Działacze Partii Demokratycznej i liberalne (czyli lewicowe) środowiska próbują narzucić taką oto narrację, iż gdyby nie hakerskie ataki Rosjan na obóz Hillary Clinton, Donald Trump nie wygrałby wyborów. W ten sposób wpisują się w linię informacyjną Moskwy, która próbuje uczynić z nowego prezydenta USA swego zakładnika.

Antoni Rybczyński

Jak amerykańska lewica z Moskwą spiskowała

Powyższa retoryka jest także kolejnym dowodem na to, jak niezmierny jest ocean hipokryzji lewicy amerykańskiej. Bo to nie kto inny jak właśnie to środowisko, przez całe dekady, poczynając od początków zimnej wojny, nie miało nic przeciwko temu, by Sowieci ingerowali w amerykańską politykę. Wręcz nawet Moskwę do tego zachęcano. To lewica w USA przez dekady naciskała też na Partię Demokratyczną, by ta zajmowała jak najłagodniejszą postawę wobec ZSRS. Szczególnie ilustrują to przykłady dwóch przedstawicieli Partii Demokratycznej, nie jakichś tam marginalnych działaczy, ale takich z samego jądra jednego z dwóch zasadniczych nurtów amerykańskiej polityki. Jeden z nich działał faktycznie na korzyść Sowieców na początku zimnej wojny, drugi pod jej koniec. Obu łączy wrogość do prezydentów chyba najbardziej antysowieckich w historii, demokracji i republikanina. Obaj twierdzili, że postępują tak, a nie inaczej, bo amerykański rząd zagraża światowemu pokojowi. Pierwszego popierali komuniści amerykańscy, drugi sam oferował swe usługi Moskwie.

► Atomowe tajemnice dla Sowieców

Henry Agard Wallace (urodzony w 1885 r.) był członkiem establishmentu. Wykształcony na Iowa State College, syn sekretarza do spraw rolnictwa. Pomógł demokratom w 1932 r. zdobyć Iowę – jeden z tzw. swing states [stany „wahające się”, czyli znajdujące się w zasięgu kandydatów obu partii – przyp. red.] – i rok później dostał stanowisko, które zajmował kiedyś jego ojciec. Polityka rolna Wallace’a okazała się w czasach New Dealu tak skuteczna, że demokraci wzięli go na wiceprezydenta w 1940 r. – choć po zwyciężeniu partyjnej walce (przesądziło poparcie Eleanor Roosevelt). Przez kolejne cztery lata pokazał się jako lojalny, ciężko pracujący wiceprezydent czasu wojny. Co nie pozwoliło jednak przekonać partii do powierzenia mu raz jeszcze funkcji wiceprezydenta. Partia Demokratyczna była wtedy coraz bardziej konserwatywna, a Wallace uchodził za jednego z największych liberalów. Franklin Delano Roosevelt chciał go mieć jednak w gabinecie – dał mu tekę ministra handlu (1945). Ale już w kwietniu 1945 r. prezydent zmarł i stery w Białym Domu przejął ten, z którym Wallace nieco wcześniej przegrał walkę o stanowisko numer dwa w administracji: Harry Truman. Było jasne, że ci dwaj nie mogą być ze sobą na jednym pokładzie. Już w 1943 r. Wallace w jednym ze swych przemówień stwierdził, że „faszystowskie interesy motywowane głównie antyrosyjskimi uprzedzeniami” próbują „przejąć kontrolę nad naszym rządem”. Wallace był też pierwszą publiczną

postacią, która sprzeciwiła się twardej antysowieckiej polityce prezydenta Trumana. Ale jeszcze zanim zdążył to zrobić, w październiku 1945 r., gdy wciąż pozostawał sekretarzem handlu, w tajemnicy spotkał się w Waszyngtonie z Anatolijem Gorskim, szefem rezydentury NKGB (tak wówczas nazywało się późniejsze KGB). Wallace miał powiedzieć Gorskiemu, że chciałby podzielić się sekretami programu atomowego z Sowiecami, skarżył się na to, iż Truman jest pod wpływem „antysowieckiej grupy” w rządzie, która chce, by blok anglosaski zdominował świat, i mówił, że ma nadzieję, iż Związek Sowiecki może pomóc „znacząco mniejszej grupie” Wallace’a. Tak oto członek gabinetu prezydenta *de facto* prosił Sowieców o pomoc w wewnętrznej batalii rządowej. Gdyby Wallace dostał nominację na wiceprezydenta na początku 1945 r., a zarazem potem, po śmierci Roosevelta, automatycznie został prezydentem, wprowadziłby do administracji wielu prosowieckich polityków. Chociażby Harry’ego Dextera White’a (na sekretarza skarbu) i Laurence’a Duggana – którzy później okazali się sowieckimi szpiegami. Z rozszyfrowanych później akt Venony wynikało, że KGB liczyło, iż Duggan pomoże im, „używając przyjaźni z Wallacem dla wydobycia interesującej informacji”. Ale w ekipie Trumana Wallace tak naprawdę był osamotniony. Lewicujący sekretarz handlu nie pasował do przesuniętej mocno w prawo ekipy Trumana, któremu zresztą zarzucał militarystykę mający prowadzić do kolejnej wojny światowej. We wrześniu 1946 r. Truman w końcu wyrzucił Wallace’a z rządu po tym, jak ten publicznie skrytykował politykę zagraniczną prezydenta i na wiecu w Madison Square Garden wezwał do uznania sowieckiej strefy wpływu jako rzeczy nieuniknionej. W tym czasie w Europie przebywał sekretarz stanu James F. Byrnes, prowadząc negocjacje z Sowiecami. Byrnes natychmiast ostrzegł Trumana, że jeśli wyraźnie nie odrzuci słów Wallace’a, te będą przyjmowane jako linia USA i podważą wysiłki Byrnesea.

► Postępowiec walczy o pokój

Wyrzucony z administracji Wallace nie zamierzał składać broni. Przemówienie pod tytułem „Jeden Świat” w Wardman Park Hotel wyznaczało jego polityczny kurs na kolejne lata. Słowa „zamierzam prowadzić walkę o pokój” doskonale wpisywały się w nową politykę Sowieców, którzy w czasie zimnej wojny wiele swoich wywrotowych działań na Zachodzie ukrywali pod przykrywką pacyfizmu. Wallace publicznie sprzeciwiał się utworzeniu NATO, zaś plan Marshalla nazwał „planem wojennym” (gra angielskich słów „Marshall” i „martial”). A gdy komuniści dokonali

przewrotu w Czechosłowacji, Wallace mówił, że było to konieczne, aby zapobiec przejściu kraju przez „faszystów”. W 1948 r. były wiceprezydent ogłosił, że będzie niezależnym kandydatem na prezydenta w imieniu nowej, trzeciej partii, nazwanej Partią Progresywną. Zbudowali ją amerykańscy komuniści, realizując wiernie instrukcje z Moskwy.

Choć oficjalnie nie stali za tą kandydaturą, wpłynęli na taką, a nie inną decyzję byłego wiceprezydenta. To był efekt operacji sowieckiej agentury: zgromadzenie różnych ludzi (wielu ze zwolenników Wallace'a nie było wcale komunistami) pod jedną flagą i wokół jednego celu, tak się składa, że odpowiadającego Moskwie. Początkowo za Wallacem stały pewne środowiska Partii Demokratycznej. Komunistyczni działacze byli obecni na wszystkich zebraniach i wiecach demokratów popierających tę kandydaturę. Uczestniczyli w nich bardzo aktywnie, często zabierali głos. Jedną z takich postaci, bardzo zaangażowanych w kampanii, był Paul Robeson. Syn byłego niewolnika, urodzony i dorastający w czasach segregacji rasowej, jako trzeci Afroamerykanin w historii ukończył Rutgers University. Największą sławę i pieniądze dała mu jednak kariera piosenkarza. Na wiecach wyborczych Wallace'a mówił o niezależności, wolności i równości wszystkich ludzi. Robeson i jego żona byli związani z Partią Komunistyczną i różnymi jej fasadowymi organizacjami. Za prosowieckie poglądy w 1950 r. Departament Stanu cofnął Robesonowi paszport. Ten mimo to nigdy nie odzegał się od zarzutu, że jest komunistą. Dwa lata wcześniej Robeson pomagał założyć Partię Progresywną. Gdy bowiem komunistom udało się wprowadzić Wallace'a do prezydenckiego wyścigu, stopniowo wyeliminowali z jego zaplecza działaczy Partii Demokratycznej.

Na czym opierał się program Wallace'a? Na sprzeciwie wobec zimnej wojny, planu Marshalla i wielkiego biznesu. Agitował on również za zakończeniem dyskryminacji Afroamerykanów, popierał płacę minimalną. Nie potrafił jednak przekonać wyborców, że nie stoi za nim Partia Komunistyczna, która go formalnie poparła. Na dodatek wtedy właśnie rozeszły się jego drogi z Eleanor Roosevelt, która jeszcze kilka lat wcześniej widziała w nim godnego następcę męża, a teraz nie chciała firmować jego „politycznej naiwności” i pragnienia pogłębienia relacji ze Związkiem Sowieckim. W wyborach Wallace dostał zaledwie 2,4 proc. głosów. Zajął czwarte, ostatnie miejsce, nie zdobywając nawet jednego głosu elektorckiego. Uległ nie tylko zwycięzcy Trumanowi oraz republikaninowi Deweyowi, lecz także Stromowi Thurmondowi (skrzydło w Partii Demokratycznej opowiadające się za segregacją rasową). Niedługo potem niektórzy politycy, i to z obu partii, zaczęli głośno mówić o tym, że Walla-

ce winien tłumaczyć się z nominacji rzekomych komunistycznych szpiegów na kluczowe stanowiska w rządzie. Po wyborczej klęsce Wallace ostatecznie pogodził się z polityką zagraniczną Trumana, m.in. popierając stanowisko USA w Korei. Ale zaraz potem odszedł na polityczną emeryturę. Pisywał jeszcze o polityce i rolnictwie. Zmarł w 1965 r.

► Sfrustrowany senator podziwia Breżniewa

Do Trumana pod pewnymi względami podobny był Ronald Reagan. On też od początku był zaciekle atakowany przez lewicę. Gdy okazało się, że może rządzić kolejne cztery lata, demokratyczny senator Ted Kennedy postanowił sięgnąć po pomoc Sowietów. Historię tę po latach ujawnili Tim Sebastian (na łamach „The London Times” w 1992 r.) i Paul Kengor (w książce „The Crusader: Ronald Reagan and the Fall of Communism”).

Edward Moore „Ted” Kennedy (urodzony w 1932 r.) po raz pierwszy został wybrany do Senatu w 1962 r., aby zająć miejsce brata Johna F. Kennedy'ego, wybranego na prezydenta. Z ujawnionych po latach dokumentów FBI wynika, że Biuro zainteresowało się Kennedym poważniej po raz pierwszy już w 1961 r., gdy ten wybrał się w podróż po Meksyku i innych krajach Ameryki Łacińskiej. Miał wtedy stykać się z komunistycznymi agentami. Kennedy pozostawał w sferze zainteresowania FBI aż do 1985 r. Ale największe rewelacje na temat jego kontaktów z Sowiecami ujawniły dopiero dokumenty KGB, skopiowane i wywiezione na Zachód przez Wasilija Mitrochina w 1992 r. Bardzo wysoko oceniał je m.in. Herbert Romerstein, w latach 80. XX wieku szef amerykańskiego rządowego Biura ds. Przeciwdziałania Sowieckiej Dezinformacji i Środkom Aktywnym. Dzięki tym informacjom wiemy dziś, że Ted Kennedy próbował spiskować z Sowiecami przeciwko dwóm kolejnym prezydentom USA. Pierwszym był Jimmy Carter, z którym demokracja z Massachusetts nieznacznie przegrał prawyby w 1980 r. Carter nie obronił jednak Białego Domu w starciu z Reaganem. 5 marca 1980 r. w Moskwie doszło do spotkania oficerów KGB z emisariuszem Kennedy'ego. John Tunney był zaufanym człowiekiem senatora. Sam zasiadał wcześniej w Senacie jako przedstawiciel Kalifornii (1971–1977). Z Kennedym przyjaźnił się od czasów wspólnej nauki w University of Virginia. Już w 1978 r. miało dojść do pierwszych kontaktów KGB z firmą Tunneya – prawdopodobnie poprzez agentów we Francji. Jakie przesłanie zawiózł Tunney do Moskwy? Powiedział Sowiecom, że Kennedy jest pod wrażeniem wystąpienia Leonida Breżniewa na temat polityki zagranicznej. Senator widział w sowieckim przywódcy polityka „szczerze oddanego poli-

tyce détente". Kennedy obwiniał administrację Cartera o przyjęcie zbyt agresywnej postawy wobec ZSRS po inwazji na Afganistan w 1979 r. Tunney przekazał też opinię Kennedy'ego, że „nonsensy o »sowieckim zagrożeniu militarnym« i sowieckich ambicjach wojskowej ekspansji w Zatoce Perskiej są podsycane przez Cartera, Brzezińskiego, Pentagon i wojskowy kompleks zbrojeniowy”. Niedługo po spotkaniu w Moskwie Kennedy zaczął publicznie krytykować Cartera w tej kwestii.

► Piętnaście podróży do ZSRS

Minęły trzy lata i w Moskwie znów pojawił się Tunney. Znów jako wysłannik Kennedy'ego. Tym razem do rozmów doszło 9–10 maja 1983 r. Cztery dni później zrelacjonował je w piśmie do Jurija Andropowa szef KGB Wiktor Czebrikow. Wiadomo, że zadaniem demokracji z Kalifornii było nawiązanie „poufnych kontaktów”. Tunney miał przekazać rozmówcom, że Kennedy jest „bardzo zaniepokojony załamaniem amerykańsko-sowieckich stosunków pod rządami Reagana”. I obwiniał za to Reagana, nie Moskwę. Kennedy miał być też pod wrażeniem zachowania Andropowa i innych sowieckich dostojników. Na ocenie obecnej sytuacji politycznej demokracja nie kończył – ustami wysłannika proponował, ni mniej, ni więcej, wspólną operację w celu stordowania reelekcji Reagana. W sobie zaś widział skutecznego kontrkandydata. Czebrikow donosił Andropowowi, że Kennedy rozważa ubieganie się o prezydenturę w 1988 r., acz nie wyklucza też startu w 1984 r. Najmłodszy brat JFK, zamordowanego, jak wszystko na to wskazuje, na zlecenie KGB, przekonywał ludzi z tegoż KGB, że przy widocznej poprawie sytuacji gospodarczej w kraju, w Reagana uderzyć można tylko w sferze polityki zagranicznej. Jak pisał Czebrikow, „jedynym potencjalnym zagrożeniem dla Reagana są, zdaniem Kennedy'ego, problemy wojny i pokoju oraz sowiecko-amerykańskich stosunków. Te kwestie bez żadnej wątpliwości staną się najważniejszymi w kampanii wyborczej”. Dlatego Kennedy prosił Moskwę o pomoc we „wpływności na Amerykanów”. W tym celu proponował, żeby zorganizować „w sierpniu, wrześniu tego roku [1983 – przyp. aut.] telewizyjne wywiady z Andropowem”. Sugerował, żeby sowiecki przywódca wystosował „bezpośredni apel” do Amerykanów. Kennedy „i jego przyjaciele”, jak Walter Cronkite i Barbara Walters, pomogliby osiągnąć ten cel. Senator zapewniał też, że zaaranżowałby wywiady także z „niższego szczebla sowieckimi urzędnikami, zwłaszcza z wojska, którzy mieliby okazję zwrócić się bezpośrednio do Amerykanów z pokojowymi intencjami ZSRS”. Walter Cronkite, Barbara Walters i Elton Raul

(szef zarządu ABC) mogliby polecić do Moskwy, aby zrobić wywiady z sowieckim gensekiem. Jak pisał szef KGB, Kennedy wierzył, że takie telewizyjne wystąpienia wywołają duże zainteresowanie w jego kraju. Jako że Reagan prowadził antysowiecką politykę, liderzy Związku Sowieckiego powinni, argumentował Kennedy, „wykorzystać groźbę wojny atomowej”, „poprawić stosunki sowiecko-amerykańskie” i ostatecznie „określić bezpieczeństwo świata”.

W swoim piśmie szef KGB sugerował Andropowowi, że wpływy Kennedy'ego i jemu podobnych w Kongresie mogą pomóc w zablokowaniu rosnących wydatków na zbrojenia (jak wiemy, ten wyścig zbrojeń ostatecznie dobił ZSRS). Nie wiadomo, czy i jak Moskwa odpowiedziała na propozycję z Massachusetts. Wiadomo za to, że Tunney odbył co najmniej 15 podróży do ZSRS, gdzie występował w imieniu nie tylko Kennedy'ego, lecz także innych senatorów amerykańskich. Zresztą także w czasie wspomnianych spotkań w maju 1983 r. Amerykanin, w imieniu Kennedy'ego, sugerował Sowietał nawiązanie kontaktu z senatorem Markiem Hatfieldem, republikaninem z Oregonu, który przyłączył się do zwolenników zamrożenia rozbudowy arsenałów atomowych. Jednym z nich był Kennedy, który też starał się, żeby jak najbardziej ograniczyć możliwości działania kontrwywiadu. Wniósł projekt Ustawy o Nadzorze Zagranicznego Wywiadu (The Foreign Intelligence Surveillance Act, FISA), która wymagała od służb przedstawienia dowodu, że ktoś przekazuje tajne informacje zagranicznej służbie wywiadowczej. Ktoś, kto „tylko” miał potajemne kontakty z oficerem obcego wywiadu i przeprowadzał operacje wpływu na rzecz obcego państwa, nie mógł być podsłuchiwany i nagrywany. W tym wypadku Kennedy działał też we własnym interesie. Nie, nie był agentem KGB. Ale nie był też tzw. pożytecznym idiotą, dającym się wykorzystywać nieświadomie przez Moskwę. Kennedy był kolaborantem, chciał współdziałać z KGB dla własnych politycznych celów. Było to oczywiście naruszenie Konstytucji USA i szkodziło władzy prezydenckiej. Szukanie przez Kennedy'ego kontaktów z Moskwą było też złamaniem Ustawy Logana z 1799 r., która zakazuje amerykańskim obywatelom angażować się w prywatną dyplomację z obcymi rządami z zamiarem wpływania na politykę USA. „Ted” Kennedy był ikoną Partii Demokratycznej i amerykańskich liberałów. Nic dziwnego, że amerykańskie mainstreamowe media skutecznie przemilczały pierwsze informacje o tajnych kontaktach Kennedy'ego z KGB, opublikowane w „The London Times” 2 lutego 1992 r. Kiedy potwierdził te doniesienia w sowieckich archiwach i uzyskał więcej szczegółów historyk Paul Kengor, liberalna prasa nie chciała tego publikować. „Ted” Kennedy zmarł w 2009 r. ■

„Zwyciężają ci, którzy z wyprzedzeniem przeprowadzają w swojej kwaterze kalkulacje, uwzględniając jak największą liczbę czynników. Pobieżne kalkulacje oznaczają porażkę. A co dopiero ich brak!”.

Sun Tzu

Antoni Rybczyński

SpiecOperacja

Nic nie dzieje się przypadkiem w putinowskiej Rosji. W każdym razie nic, co dotyczy sztuki rządzenia. Władimir Władimirowicz i podległe mu służby od lat realizują kolejne polityczne cele. Krok po kroku, trup po trupie.

Najpierw celem była władza prezydencka. Potem niczym nieograniczona władza prezydencka. Potem sąsiednie państwa traktowane jako ofiary na ołtarzu imperialnych ambicji. Historia panowania Putina to w rzeczywistości szereg operacji specjalnych. Specjalnych, ale z wykorzystaniem nie tylko służb specjalnych. Te operacje specjalne bowiem oznaczają staranne przygotowanie i realizację planu z użyciem wszelkich dostępnych narzędzi. Oczywiście centralną rolę odgrywa aparat bezpieczeństwa, ale nie mniej ważni w takim przedstawieniu są inni aktorzy, od mediów, ekspertów i komentatorów przez ośrodki badania opinii publicznej po polityków z Putinem na czele. Dezinformacja, manipulacja, prowokacja – tym Rosjanie posługują się na każdym kroku, zgodnie z zaleceniem starożytnego chińskiego myśliciela Sun Tzu: „Cała sztuka wojenna opiera się na przebiegłości i stwarzaniu złudzeń”. Panowanie Putina w Rosji to bowiem ciągła wojna, w której eliminowani są, także fizycznie, przeciwnicy dyktatora, a podległe mu służby nie wahają się poświęcić życia niewinnych ludzi dla osiągnięcia politycznego celu. Przy czym działania służb bywają tylko maleńką częścią prowadzonej operacji. Dużo istotniejsze jest to, co robią media i politycy. Chodzi bowiem nie tylko o osiągnięcie zamierzonego celu, lecz także o dokonanie tego w taki sposób, by wydawało się to ciągiem niezwiązanych ze sobą zdarzeń, czasem jakby spontanicznych, jakby przypadkowych. Widownia – czy to krajowa, czy zagraniczna – ma być o tym całkowicie przekonana. A nielicznie uważni widzowie, którzy dostrzegą działanie jakiejś niewidzialnej ręki, władcy marionetek, skoro już trzymamy się teatralnej konwencji, zostaną przemilczani lub zdyskredytowani. Jedną z ulubionych taktyk rosyjskich służb jest w takim wypadku wywoływanie szumu informacyjnego, wrzucanie wielu, czasem zupełnie absurdalnych, teorii spiskowych, które skompromitują w efekcie nawet te trafne analizy i oceny sytuacji. Jeszcze jedną ważną cechą rosyjskich specoperacji jest ich rozłożenie w czasie. Jeśli to konieczne, Rosjanie planują i realizują działania w bardzo długiej perspektywie. Czasem tak długiej, że nie da się po-

wiązać wydarzeń następujących po sobie, ale w dużych przerwach czasowych. Tak było na przykład z operacją aneksji Krymu. Kolejna rzecz: operacji nie przeprowadza jedna służba specjalna, jeden podmiot. W szczególnie istotnych sprawach sztab operacji tworzą nieformalnie przedstawiciele kilku różnych instytucji, na ogół nie znając całości planu. Taką wiedzę posiada co najwyżej kilka osób. W ten sposób choćby Rosjanie wyeliminowali Aleksandra Litwinienkę – zaangażowano w to ludzi z FSB, SWR i FSO, swoją rolę odegrała też atomowa agencja Rosatom. Oto dziesięć reguł specoperacji.

► 1. Staranne przygotowany plan

Bez niego nie ma operacji. Rosyjski prezydent twierdził, że do momentu wybuchu starć na kijowskim Majdanie nawet nie pomyślał o zajęciu Krymu. Nie wspominając o wojnie, bo za taką Moskwą konfliktu w Donbasie nie uznaje. Jednak były doradca Putina, Andriej Illarionow, przekonuje, że plany gotowości bojowej na wypadek inwazji na Ukrainę zaczęły powstawać już w 2003 r., a kompletny scenariusz generałowie uzgodnili, a Putin zatwierdził pod koniec 2004 r., gdy Leonid Kuczma odmówił zdławienia siłą „pomarańczowej rewolucji”. Na okazję do częściowego wprowadzenia planu trzeba było czekać blisko dekadę (rzecz jasna, był on aktualizowany). Przygotowania do aneksji Krymu ruszyły po tym, jak prezydentem Ukrainy został Wiktor Janukowycz (rozbudowa agentury, przekonywanie lokalnych siłowników itd.), a przyspieszyły, gdy w Kijowie zaczęły się demonstracje. Daleko było jednak jeszcze do upadku reżimu, gdy prorosyjski spiker krymskiego parlamentu po podróży do Moskwy kazał prawnikom zebrać wszelką dokumentację dotyczącą przyłączenia Krymu do Ukrainy w 1954 r. Podobnie było z agresją na Gruzję. Plan wojny rosyjski sztab generalny miał gotowy już pod koniec 2006 r. – choć potem Putin przekonywał, że jedynie zareagował na agresję gruzińską, której w ogóle się nie spodziewał. Podobnie służby specjalne przygotowują drobniagzowo scenariusze eliminacji „wrogów ludu”. I zanim przystąpią do realizacji, na ogół dokonują czegoś w rodza-

ju próby generalnej – tak było choćby z Anną Politkowską czy sprawdzeniem posterunków drogowych przed akcją w Biesłanie.

► 2. Przygotowanie opinii publicznej

Ważnym elementem operacji jest przygotowanie opinii publicznej na wydarzenie, które dopiero nastąpi. Wydarzenie to ma bowiem wywołać pożądane reakcje. Chyba największym sukcesem pod tym względem było sprowokowanie drugiej wojny czeczeńskiej i podbicie popularności Putina do poziomu zapewniającego wygraną w pierwszej turze. Zanim doszło do serii zamachów na bloki mieszkalne w Rosji (o co oskarżono Czeczenów), dosłownie dwa miesiące wcześniej, w czerwcu 1999 r., doszło do serii publikacji w mediach zachodnich i rosyjskich o krążących plotkach, że w najbliższym czasie ma dojść do zamachów, o które zostaną oskarżeni Czeczeni. Rosyjską opinię publiczną powoli przygotowywano także na wojnę z „bratnią słowiańską” Ukrainą. Pojawiały się książki opisujące przyszły konflikt, a wszystkie łączyło kilka elementów: w Kijowie władzę przejmują „faszyści”, wybucha wojna domowa, Moskwa wyciąga „pomocną dłoń” do prorosyjskich rebeliantów walczących o tzw. Noworosję. Coś nam to przypomina? Na długo przed 2014 r. Moskwa psychologicznie przygotowywała swoich obywateli na zupełnie nowe doznanie – wojnę z Ukrainą – budując portret banderowskiej junty. Nic dziwnego, że Alaksandr Łukaszenka z takim niepokojem reaguje na prowadzoną od jesieni 2016 r. antybiałoruską kampanię w rosyjskich mediach. W tym wypadku kremlowscy demiurgowie będą musieli się mocno postarać, żeby zaszkodzić wizerunkowi białoruskich braci i Bački w oczach Rosjan na tyle, by opinia zaakceptowała ewentualny konflikt.

► 3. Zbudować atmosferę zagrożenia

Im bardziej brutalna i szokująca ma być akcja rosyjskiego państwa (służb), tym większą należy zbudować atmosferę zagrożenia, która usprawiedliwi działania Moskwy. Między 3 a 16 września 1999 r. w Rosji doszło do serii zamachów bombowych na bloki mieszkalne. Zginęło w sumie 313 osób. Te krwawe wydarzenia były dla Rosji tym, czym 11 września 2001 r. dla Amerykanów. Wywołały falę strachu przed terroryzmem i falę nienawiści i żądzy zemsty na Czeczenach. Jak pisał Siergiej Kowaliów, „to czego chcemy – taka była retoryka wielu polityków, w tym Putina – to bezlitosna eksterminacja »wroga« gdziekolwiek by był, niezależnie do

ofiary, bez znaczenia, jak wielu nieuzbrojonych cywilów musi umrzeć”. To wtedy Putin uzyskał społeczne przyzwolenie na eksterminację narodu czeczeńskiego. Poparcie dla p.o. prezydenta, który obiecał „czeczeńskim terrorystom” krwawą zemstę, błyskawicznie rosło. W połowie sierpnia 31 proc. We wrześniu już 53 proc. „Zniszczymy terrorystów, choćby się schowali w kiblu, tam też ich dopadniemy; basta, tę sprawę załatwimy do końca!” – ta mocna deklaracja przeszła do historii. To był początek budowania wizerunku twardego przywódcy narodu. Szef FSB Nikołaj Patruszew, przyjaciel Putina, pisał: „Organizatorzy to nie jacyś mityczni konspiratorzy na Kremlu, ale zupełnie konkretni międzynarodowi terroryści zakorzenieni w Czeczenii”. Wróg został wskazany, wojna – przypieczętowana. W rosyjskich miastach rozpętała się nagonka na Czeczenów, którzy bali się wychodzić z domów. Podczas debat w Dumie pojawiły się wręcz pomysły uderzenia w Czeczenię bronią atomową. 1 października wojska rosyjskie wkroczyły do Czeczenii. Putin miał 66 proc. poparcia. W listopadzie 78 proc....

► 4. „Mokra robota”

Paradoksalnie „mokra robota”, realizacja kluczowego elementu operacji przez służby specjalne, bywa łatwiejsza do wykonania niż inne etapy. Wykonawcami są „szwadrony śmierci” (zabójstwo Politkowskiej, Niemcowa), same tajne służby (zamach na Litwinienkę, zamachy 1999 r.) lub zmanipulowani przez służby (lub sprowokowani) formalni wrogowie rosyjskiego państwa. Tak było na Dubrowce i w Biesłanie. W grupach zamachowców znaleźli się rosyjscy agenci, a FSB wręcz ułatwiała przygotowanie zamachu i zajęcie obiektu (napastnicy w Biesłanie bez przeszkód przejechali szereg kontroli drogowych w strefie antyterrorystycznej). Zaś „antyterrorystyczne” działania miały wyeliminować wszystkich niewygodnych świadków i przełać jak najwięcej krwi cywilów. Na Dubrowce zakładników zginęło trzy razy więcej niż terrorystów. W Biesłanie na jednego martwego terrorystę padło już sześć osób zakładników. Inaczej wyglądała sytuacja przy operacjach zagranicznych, militarnych. W przypadku Krymu główną część zasadniczej roboty wykonały siły specjalne, przebrane za słynne „zielone ludziki”. W obwodach południowej i wschodniej Ukrainy rebelię mieli wywołać „turyści Putina” – przybysze z Rosji, głównie byli żołnierze i oficerowie służb. Sterowani przez etatowych funkcjonariuszy FSB i GRU, zdołali doprowadzić do wybuchu w Donbasie. Moskwa do dziś stara się

– przynajmniej formalnie – odżegnywać od udziału w tej wojnie.

► 5. Podsuwanie fałszywych tropów

Wykonaniu zasadniczej części operacji często towarzyszy podsuwanie fałszywych tropów, które utrudnią namierzenie prawdziwych sprawców. Taką rolę rosyjskie służby w planie zamordowania Litwinienki napisały jego włoskiemu znajomemu Mario Scaramellemu. Najpierw Włoch dostał od swego informatora, mieszkającego w Szwajcarii rosyjskiego emigranta Jewgienija Limariewa, informację, że rosyjskie służby chcą zamordować Litwinienkę, Bierzewskiego, włoskiego senatora Paolo Guzzantiego i samego Scaramellę. Wystraszony Scaramella natychmiast poleciał do Londynu, porozmawiać o tym z Litwinienką. I tak się złożyło, że do ich spotkania doszło tego samego dnia, między dwiema rozmowami Litwinienki z Ługowojem, podczas których podano mu polon. Kiedy później Litwinienko w szpitalu zaczął podejrzewać otrucie, najpierw wskazał jako podejrzanego Scaramellę właśnie. Kiedy wersja otrucia trafiła do mediów, długo wiązano z tym Włocha – o co zresztą dbała rosyjska agentura wpływu. To Moskwa wyreżyserowała spotkanie spanikowanego Scaramellego z Litwinienką właśnie w dniu otrucia – okazało się, że informator Limariew to agent wywiadu SWR. Limariewa Moskwa wykorzystała w tej sprawie raz jeszcze. Gdy wydało się, że głównym podejrzanym jest jednak Ługowoj, a nie Scaramella, Limariew ujawnił się jako agent SWR (by się uwiarygodnić) i oświadczył, że Ługowoj zabił Litwinienkę na zlecenie Bierzewskiego, a sam Litwinienko chciał szantażować biznesmenów z Rosji.

► 6. Bagatelizowanie, przemilczanie, dyskredytacja

Zabójstwo Litwinienki pokazuje, że reżyserzy operacji muszą być przygotowani na to, że sprawa się wyda. Aby zneutralizować negatywne tego skutki, podejmuje się takie działania, jak: bagatelizowanie wydarzenia, przemilczanie, dyskredytacja ofiary, świadków, krytyków. Gdy okazało się, że Litwinienko został otruty, a tropy wiodą do Rosji, w zachodniej prasie szybko zaczęły pojawiać się inspirowane artykuły atakujące Litwinienkę oraz przedstawiające fałszywe tropy w sprawie zamachu. Następnie przedrukowywała je prasa rosyjska. Rosjanie próbowali obciążyć winą Bierzewskiego. Sterowane z Kremla i Łubianki media zaczęły mówić o spisku wrogów Putina. Według tej tezy Litwi-

nienko miał się sam zatruć, konstruując „brudną bombę”. Miała ona być potem użyta do terrorystycznego ataku czeczeńskiego w Rosji. Łatwiej jest zacierać ślady na własnym podwórku. Przykład? Pod koniec 2006 r. komisja śledcza Dumy wysłała raport, w którym stwierdziła, że zakładnicy w Bieslanie zginęli, gdy terroryści zdetonowali ładunki wybuchowe. Tymczasem wiadomo, że pierwsze dwie eksplozje, które dały sygnał do szturm, były wynikiem wystrzałów z granatnika i z miotacza ognia z okien budynku naprzeciwko szkoły. Wielu zakładników zginęło od ostrzału czołgów. Przybyłe trzy T-72 strzelały eksplodującymi pociskami przeciwpiechotnymi. Rzadziej stosuje się metodę bagatelizowania faktu. „Utonął” – tyle miał do powiedzenia Putin zapytany przez Larry’ego Kinga w CNN o katastrofę okrętu podwodnego Kursk. Kiedy marynarze czekali na dnie morza na pomoc, admirałowie i rząd odrzucali ofertę zachodniej pomocy, a Putin wypoczywał w Soczi. Zabrał głos dopiero po pięciu dniach, zapewniając, że wszystko jest pod kontrolą.

► 7. Usuwanie świadków

To druga część „mokrej roboty”. Rosyjskie służby często sięgają po ten środek. Likwiduje się zarówno osoby zaangażowane wcześniej w zamach czy skrytobójstwo, by zatrzeć ślady, jak też ludzi, którzy później docierają do informacji grożących ujawnieniem całej operacji. Operacją wysadzania bloków mieszkalnych jesienią 1999 r. kierował ówczesny wiceszef FSB kontradmirał German Ugriumow – zmarł w niewyjaśnionych dotąd okolicznościach w maju 2001 r. W 2002 r. niezależny polityk Siergiej Kowaliow stworzył nieoficjalną komisję śledczą w sprawie zamachów. Pracujący dla niej były oficer FSB Michaił Triepaszkina znalazł dowody, że władze kłamią, obciążając odpowiedzialnością Czeczenów. W listopadzie 2003 r. Triepaszkina został aresztowany – pod fałszywymi, jak się okazało, zarzutami posiadania nielegalnie broni. Został wypuszczony na wolność w 2005 r., ale szybko znów aresztowany. W kwietniu 2003 r. jeden z najważniejszych członków komisji Kowaliowa, liberalny deputowany Dumy Siergiej Juszenkow, został zastrzelony w Moskwie. Inny członek komisji, znany dziennikarz śledczy Jurij Szczekoczichin, zmarł nagle w lipcu 2003 r. Były podejrzenia, że został otruty (za przyczynę zgonu oficjalnie uznano nieznaną bardzo silną alergię). Prace komisji Kowaliowa po stracie Triepaszkina, Juszenkova i Szczekoczichina zostały niemal spalizowane.

► 8. Osiągnięcie celu politycznego

Najważniejsze jest oczywiście osiągnięcie celu politycznego, który był powodem rozpoczęcia całej operacji. Krwawa prowokacja z zamachami na bloki mieszkalne dała Putinowi pretekst do ataku na Czeczenię. Inwazja, a potem okupacja i terror namiestnika Ramzana Kadyrowa kosztowały życie, według różnych danych, około 100–200 tys. Czeczenów. Nigdy, mimo wysiłków FSB i propagandzistów kremlowskich, nie znaleziono dowodu na współpracę czeczeńskich bojowników o niepodległą Izkerię z Al-Kaidą. Putin wykorzystał też zamachy 11 września 2011 r., żeby szybko dołączyć do koalicji antyterrorystycznej. Zatonienie Kurska ułatwiło dokonanie czystki w armii. Rzeź w Biesłanie dała Putinowi pretekst do zniesienia bezpośrednich wyborów gubernatorów w regionach i zastąpienia ich własnymi nominatami. Putin wydał rozkaz dokonania masakry swoich obywateli na Dubrowce po to, by storpedować negocjacje z Maschadowem i umiarkowanymi politykami czeczeńskimi, ustawić Rosję w roli ofiary islamskiego terroryzmu (rok po zamachach w USA), usprawiedliwić ludobójczą politykę w okupowanej Czeczenii. Putin rozprawił się też z resztkami niezależnych mediów – sposób relacjonowania dramatu na Dubrowce pozwolił Kremlowi określić, kto jeszcze z dziennikarzy czy właścicieli mediów nie dostosował się do nowego systemu „putinowskiego”. Napaść na Gruzję w 2008 r. pozwoliła umocnić rosyjską kontrolę nad Abchazją i Osetią Południową. Anektując Krym i atakując Ukrainę, Putin odwrócił niekorzystne trendy i znów jego popularność poszybowała w górę.

► 9. Elastyczność i modyfikowanie operacji

„Fatalną pomyłką byłoby przypuszczać, że on nigdy niczego nie zauważa, nigdy nie reaguje i tylko – do takiego przekonania się nas zachęca – prze do przodu w pogoni za władzą. Otóż zwraca on baczną uwagę na to, co widzi, i wszystko to bierze pod uwagę” – pisała kiedyś Anna Politkowska o Putinie. On wyciąga wnioski i do zmieniającej się rzeczywistości dostosowuje też swoje metody manipulacyjne i dezinformacyjne. Gdy po grudniowych wyborach parlamentarnych 2011 r. zaskoczyła go skala ulicznych protestów i dotąd niespotykana krytyka w zachodnich mediach, zaczął mówić o reformach, składać propozycje rozmów z opozycją, a nawet zapraszać niektórych jej przedstawicieli do rządu. Kazał też zainstalować we wszystkich lokalach wyborczych kamery internetowe. Oczywiście nie przeszkodziło to w fałszowaniu wyników. Zamachy bombowe jesienią 1999 r. początkowo miały służyć wprowadzeniu stanu wyjątkowego w kraju i odłożeniu wyborów parlamentarnych i prezyden-

kich. Antyczeczeńska kampania rozpetana w całej Rosji i ofensywa przeciwko „terrorystom” w samej Czeczenii miały pozwolić obozowi rządzącemu uniknąć wyborczych klęsk. Ale szybko okazało się, że popularność Putina szybuje w porażającym tempie (od 31 proc. w sierpniu do 78 proc. w listopadzie) i zmodyfikowano plan – teraz można było zrobić wybory.

► 10. Operacja nie kończy się nigdy...

...nawet jeśli cel został już osiągnięty. Cztery lata minęły od zwycięskiej wojny, zanim udało się wreszcie odsunąć od władzy Micheila Saakaszwilego. Borys Bieriezwowski zginął dopiero w 2013 r. Rosjanie potrafią też bardzo długo czekać, zanim się zemszczą na kimś, kto im szczególnie zalał za skórę. W listopadzie 2016 r. media podały, że w maju popełnił samobójstwo Matthew Puncner. To ten ekspert w 2006 r. odkrył, że Litwinienko został otruty radioaktywnym polonem. Ciało Puncnera z licznymi ranami kłutymi zostało odnalezione w jego domu. Mężczyzna miał obrażenia, które zadane zostały dwoma nożami. Patolog stwierdził, że „nie może wykluczyć”, iż do śmierci naukowca przyczynił się ktoś inny, ale ocenił, że rany były wynikiem wyłącznie jego działania. Wdowa mówiła, że nastrój męża „całkowicie się zmienił” po wizycie w Rosji. Brytyjski ekspert spędził tam kilka tygodni pół roku przed śmiercią.

Do przeprowadzenia specoperacji potrzebna jest aktywna agentura. Zarówno ta klasyczna, jak i wpływu. Swoje role odgrywają tzw. pożyteczni idioci oraz tzw. pułda rezonansowe (osoby, media powtarzające fałszywe informacje). Rosjanie nie raz udowodnili, że mogą skutecznie osiągać cele poza granicami Rosji. Nawet w takich krajach, jak Wielka Brytania. A co dopiero postkomunistyczna Polska. W naszym przypadku przedsięwzięć skuteczne działania zapobiegawcze jest tym trudniej, że Moskwa może w ramach realizacji planu „obudzić” zakonspirowanego jeszcze w czasach PRL agenta, tzw. śpioccha. Tak na przykład robiła w Estonii z Aleksiejem Dressenem czy Hermanem Simmem. Nawet uzyskanie dostępu do wszystkich akt SB czy wojskówki i pozyskanie wiedzy o ich tajnych współpracownikach może nie wystarczyć. Szczególnie cennych agentów Sowieci werbowali w PRL na własną rękę. I miejscowa zwasalizowana bezpieka nie miała prawa mieć o tym jakiegokolwiek wiedzy. W takich przełomowych czasach, jak obecne w Polsce, to zagrożenie jest szczególnie aktualne. Nie można mieć bowiem wątpliwości, że Rosja sięgnie po swoje aktywa, narażając je na spalenie, jeśli uzna, że polityka polskich władz zagraża jej żywotnym, długoterminowym interesom (a chodzi tu o perspektywę nie lat, lecz dekad) nad Wisłą. ■

Kompozytor i dyrygent Tyzen Hsiao

Politycznym przemianom i protestom na Tajwanie od lat towarzyszą piosenki. Niektóre z nich trafiły w przeszłości na listę zakazanych utworów, a ich twórcom i wykonawcom groziło więzienie. Po zniesieniu stanu wojennego w 1987 r. śpiewane przez demonstrujących piosenki wskazują już raczej na inne listy – przebojów.

Hanna Shen



Tajwańskie zakazane piosenki



Gdy w 1945 r. wiadomość o japońskiej porażce i kapitulacji dotarła na wyspę, Tajwańczycy cieszyli się, iż rządy kolonistów dobiegły wreszcie końca. Wkrótce jednak okazało się, że radość była nieuzasadniona. Czang Kaj-szek i Kuomintang, którzy przejęli władzę na Tajwanie, wprowadzili wyspę w okres tzw. białego terroru, który zakończył się, gdy w 1987 r. zniesiono stan wojenny. Tych ponad 40 lat rządów Kuomintangu ma swoją tragiczną kartę – aresztowania, a nawet mordy politycznych przeciwników Czanga. Językiem powszechnie używanym miał stać się mandaryński (to oficjalny standard mówionego języka chińskiego oparty na dialekcie pekińskim), a język tajwański (to odmiana języka minnan; język minnan wywodzi się z południa chińskiej prowincji Fujian) został zakazany. Uczniowie w szkołach byli karani za jego używanie na lekcjach. Z audycji radiowych, a potem programów telewizyjnych zniknęły popularne piosenki w tym dialekcie. One też stały się zakazane.

► Zakazany hit

Jedną z najbardziej popularnych tajwańskich piosenek jest „Wiosenny wiatr” („Bāng Chhun-hong”) W 2000 r. Tajwańczycy zapytani w jednym z plebiscytów o hit XX wieku, wskazali właśnie na tę kompozycję. Powstała ona w 1933 r. i opowiada o 17-letniej dziewczynie, która przy podmuchu wiosennego wiatru oczekuje na miłość swojego życia. Ten tajwański przebój stworzony przez ojca tajwańskiej muzyki folkowej Teng Yu-hsien, pod rządami Kuomintangu trafił na prawie 40 lat na listę utworów zakazanych. Taki sam los spotkał wiele innych piosenek skomponowanych przez Teng Yu-hsien. Były to niewinne ballady, ale ich wadą według cenzorów kuomintangowskiego reżimu było to, że były śpiewane po tajwańsku i zawierały elementy ludowej muzyki tajwańskiej. Teng Yu-hsien sam nie doczekał reżimu Chang Kaj-szeka, bo zmarł w wieku 37 lat, w 1944 r., gdy Tajwan był jeszcze kolonią japońską. Pewnie nigdy nie przypuszczał, że kilka lat później za wykonanie jego ballad będzie można trafić do więzienia.

10 grudnia 1979 r. w mieście Kaohsiung miała miejsce antyrządowa demonstracja. Przeszła ona do historii pod nazwą „wydarzenia w Kaohsiung” i uważana jest za początek końca dyktatury Kuomintangu. To wtedy Chiu Chui-chen, tajwański piosenkarz, a później polityk, wykonał „Wiosenny wiatr” i tak utwór ten stał się hymnem protestujących. Rządzący dość brutalnie rozprawili się z organizatorami demonstracji. Zostali oni aresztowani, m.in. późniejsza wiceprezydent Tajwanu Annette Lu spędziła w więzieniu 5,5 roku, a Chiu Chui-chen za wykonanie „Wiosennego wiatru” otrzymał wy-

rok 4,5 roku. Ale kilka lat później rozpoczął się na dobre proces demokratyzacji wyspy. W 1987 r. zniesiono stan wojenny.

W latach 80. zniesiono też zakaz odtwarzania piosenek w języku tajwańskim i artyści ponownie sięgnęli po utwory Tenga. Okazało się, że mimo upływu czasu publiczność nadal chce słuchać jego ballad i do dziś każdy szanujący się wykonawca na wyspie musi mieć w repertuarze jego utwory. I to nie tylko rodzimy artysta. Gdy w 2002 r. Plácido Domingo koncertował na Tajwanie, wykonał wtedy w języku gospodarzy jedną z piosenek ojca tajwańskiej muzyki folkowej pt. „Kwiat deszczowej nocy” („Ú iá hue”).

► Zakazany kompozytor

W latach 80. środowiska proniepodległościowe na wyspie wybrały swój hymn. Stała się nim pieśń „Tajwan Formoza” („Tâi-oân Chhù-i-chhi”); słowa do niej napisał pastor prof. Er-Yu Cheng, a muzykę stworzył Tyzen Hsiao. Warto przytoczyć fragment tego, w swej wymowie – bardzo chrześcijańskiego utworu: „Na początku Bóg stworzył piękną wyspę Tajwan, naszą ukochaną./ Bóg podarował ją naszym przodkom i nadal czuwa nad naszym państwem./ Chrystus jest Panem naszego narodu, a my dążymy do zbudowania idealnego państwa./ Chcemy stworzyć sprawiedliwy i pełen miłości kraj, tak by mógł on się stać rajem na ziemi”.

Twórca muzyki do tego hymnu – kompozytor i dyrygent Tyzen Hsiao – nazywany jest tajwańskim Rachmaninowem. Największy wpływ na twórczość Hsiao poza kompozycjami słynnego Rosjanina mieli Chopin i tajwańska twórczość ludowa. Urodzony w 1938 r. na południu Tajwanu w mieście Kaohsiung Tyzen Hsiao ukończył wydział muzyczny na National Taiwan Normal University, a następnie studiował na japońskim Musashino Music University. Do najbardziej znanych utworów Hsiao zaliczyć można m.in. symfonię „Formoza”, opus 49 (1987), „Ode do Góry Yu” (1999) i „Formozę: Rekwiem dla Męczenników Formozy” (2001) – utwór, do którego wykorzystano poezję Li Min-yong, tajwańskiego poety i tłumacza m.in. twórczości Zbigniewa Herberta.

Pod koniec lat 70. Hsiao przeniósł się do Stanów Zjednoczonych. To tu napisał piosenkę „Kocham Tajwan”, która nie spodobała się rządowi Kuomintangu. Tak Tyzen Hsiao trafił na listę osób niepożądanych przez władzę na Tajwanie i tak było prawie do połowy lat 90., kiedy to pozwolono Hsiao wrócić do kraju.

► I straszno, i śmieszno

Cenzorzy reżimu Kuomintangu czujnie przyglądali się utworom muzycznym także w języku mandaryń-

skim. Wylapując to, co mogło „zagrozić” władzy, ocierano się często o paranoję, bo na przykład na listę zakazanych utworów trafiły też lekkie chińskie piosenki, których tytuły według cenzurujących mogły mieć drugie dno. I tak utwór pt. „Nie wrócisz dziś do domu” („Jin tian bu hui jia”), wykonywany przez popularną w latach 60. piosenkarkę Yao Su-yung, według cenzorów mógł sugerować, że na Tajwanie nie wraca się do domów z powodów politycznych. Cenzorom nie podobala się także napisana w latach 30. i śpiewana w latach 70. przez tajwańską diwę Teresę Deng piosenka pt. „Kiedy wrócisz” („He ri jun zai lai”); znak „ri” w tytule używany jest także w słowie Japonia (ri ben), a znak „jun” czytany jest tak samo jak inne chińskie słowo oznaczające armię. A więc według cenzorów ta miłosna piosenka mogła tak naprawdę opowiadać o powrocie armii japońskiej. Może rzeczywistość coś w tym było, bo kompozycja była rekordy popularności w Japonii. Na Zachodzie spopularyzował ją Richard Clayderman. Ostrożni kuomintangowscy cenzorzy wstrzymali też piosenkę innej znanej tajwańskiej piosenkarki Ou Yang Feifei pt. „Gorąca pustynia” („Re qing de sha mo”). W tekście utworu pojawia się co chwila wdychanie („a, a, a”), które w wykonaniu wyglądało jak Tina Turner Ou Yang Feifei brzmiało dla cenzurujących zbyt... elektryzująco. Dziś młodzi wykonawcy na Tajwanie chętnie sięgają do przeboju, który sprawił Ou Yang Feifei trochę kłopotów.

► Chronią Tajwan i śpiewają

Minęły lata i teraz wolność słowa jest dla Tajwańczyków czymś naturalnym. Zniknęli cenzorzy, ale nie brak piosenek, które towarzyszą mieszkańcom wyspy w ważnych dla najnowszej historii ich kraju momentach. 28 lutego 2004 r. prawie 2,3 mln Tajwańczyków stworzyło żywy łańcuch długości 500 kilometrów, rozciągający się od położonego na północy miasta-portu Keelung po południowy przylądek Elunabi. Protestowano przeciwko rakietom rozmieszczonym w prowincjach Fujian i Jiangxi, na południowym wschodzie Chin, a wycelowanym w Tajwan. Komunistyczne władze Państwa Środka do dziś straszą, że pociski te zostaną użyte, jeśli wyspa ogłosi niepodległość.

I w tym proteste Tajwańczykom towarzyszyła piosenka. Trzymając się za ręce, śpiewali rodzimy utwór „Nasz skarb” („I si Lán-ê Pó-puê”). Tytułowym skarbem jest oczywiście Tajwan, któremu, jak mówią słowa piosenki, „nie możemy pozwolić upaść gdzieś w ciemności”. Słowa i muzykę do tego utworu napisał Chen Ming-chang, twórca wielu folkowych tajwańskich ballad. Po raz drugi milion Tajwańczyków wspólnie zaśpiewało „Nasz skarb” na demonstracji 26 marca 2005 r. I znów był to protest przeciwko zagrożeniu ze strony

Pekinu, który kilka dni wcześniej uchwalił ustawę antysecesyjną. Dokument ten stwierdza, że komunistyczne władze Chin „zastosują niepokojowe środki i inne konieczne metody”, jeśli Tajwan wykona ruchy mające na celu osiągnięcie suwerenności lub jeśli okaże się, że nie jest możliwe pokojowe zjednoczenie.

► Hit zakazany w Chinach

Dekadę później młode pokolenie Tajwańczyków też protestowało przeciwko zagrożeniu ze strony ChRL. W 2014 r. od połowy marca trwała 24-dniowa okupacja tajwańskiego parlamentu przez studentów, którzy wystąpili przeciwko ratyfikacji z Chinami umowy o wolnym handlu (CSSTA). Protestujący podkreślali, że otwierając się na kolejne chińskie inwestycje, wyspa uzależnia się coraz bardziej od komunistycznego rządu w Pekinie. Do studentów dołączyli inni obywatele Tajwanu i 30 marca odbyła się demonstracja wokół Pałacu Prezydenckiego w Tajpej. W demonstracji wzięło udział pół miliona obywateli Tajwanu. To wydarzenie przeszło już do historii pod nazwą rewolucji słoneczników. I nie mogło nie mieć swojego hymnu. Studenci okupujący parlament zwrócili się do członków znanej grupy punkowej Fire EX, aby stworzyli utwór specjalnie dla nich. I tak powstała piosenka „Wyspa się budzi” („Dao yu tian guang”), której słowa oddają atmosferę tamtych dni – poczucie obowiązku młodych ludzi wobec ojczyzny, które kazało im przez ponad trzy tygodnie nie opuszczać miejsca protestu. „Kochana mamo, proszę, nie martw się./ Wybacz, nie mogę opuścić protestujących, bo muszę walczyć z tymi, którzy postępują w niewybaczalny sposób./ Wybacz, kochana. Nie mogę iść z Tobą do kina./ Przebac mi, nie mogę opuścić protestujących, bo muszę walczyć z tymi, którzy nas ranią”.

Młodzi Tajwańczycy wyrazili swoją siłę. Pokazali, że są nosicielami suwerenności państwowej i że pokojowe zjednoczenie z Chinami staje coraz bardziej marzeniem chińskich komunistów i niewielkiego kręgu elit politycznych na Tajwanie. Rewolucja słoneczników rzeczywiście obudziła wyspę. Najpierw propekińskie władze przegrały w wyborach samorządowych, a w 2016 r. poległy w wyborach parlamentarnych i prezydenckich.

A „Wyspa się budzi” poza swoją karierą polityczną miała także swój sukces komercyjny. Stała się najczęściej odtwarzanym utworem we wszystkich stacjach radiowych, studiach telewizyjnych i na koncertach. W 2015 r. na Golden Melody Awards, tajwańskim odpowiedniku Grammy Awards, „Wyspa się budzi” otrzymała nagrodę za najlepszą piosenkę roku. Gdy ogłaszano przyznanie nagrody, w Chinach przzerwano transmisję z imprezy. Hymn tajwańskiej młodzieży protestującej przeciwko uzależnieniu ich kraju od Chin jest zakazaną piosenką w Państwie Środka. ■



Ryszard Czarnecki

W New Delhi tylko o polityce

Przez dwa dni ani zwiedzania, ani zabytków, ani turystyki – czysta polityka. Żadne tam notowanie obyczajów i zachowań – wyłącznie polityka międzynarodowa, wewnętrzna, reformy premiera Modiego itp., itd. Jestem w państwie, które za około pięć lat będzie najliczniejsze na świecie, wyprzedzając Chiny. W kraju, który jednak wciąż nie ma... jednolitego systemu podatkowego na całym swoim terytorium! Podatki są różne w zależności od stanów – no, w USA to jednak nie do pomyślenia. Co prawda, w końcu jednolity system uchwalono, ale cały czas brakuje przepisów wykonawczych. Rok budżetowy zaczyna się tutaj dopiero w czerwcu. Głównym celem tego na rok 2017 do połowy następnego będzie zmniejszenie deficytu do 3,2 proc. (w kolejnym roku do 3 proc.). Premier Modi, wielki reformator, autor kilku dalekosiężnych programów modernizacyjnych, chce zmniejszyć zadłużenie sektora publicznego, które teraz wynosi aż 66 proc., do 60 proc. w 2020 r. Co z tego planu wyjdzie – zobaczymy. Zwiększa wydatki na inwestycje, infrastrukturę kolejową, rozwój regionów wiejskich – tnie subsydia i wydatki socjalne. Zwiększa podatki dla najbogatszych, zmniejsza uboższym oraz małym i średnim firmom. I jest konsekwentny: mimo że właśnie teraz odbywają się wybory w kilku, i to największych, stanach, nie kupuje wyborców – choć od tych elekcji zależy przecież także skład izby wyższej parlamentu, która wybiera prezydenta Indii (system polityczny trochę przypomina ten w Niemczech: tam też Bundesrat jest izbą landów, tak jak tutaj – stanów).

Opór wobec reform stawia tu nieprawdopodobna biurokracja – nie rozumie ona planów Modiego. Uważa być może, że wystarczy ograniczyć reformy do tych z lat 90. A reformom wewnętrznym towarzyszy świadoma, suwerennościowa międzynarodowa polityka gospodarcza New Delhi. Na przykład wypowiedziano około 70 krajom (w tym 23 państwom UE) umowy handlowe. Indie uznały po prostu, że tracą za dużo pieniędzy, podlegając rozstrzygnięciom międzynarodowego arbitrażu rozsądzającego spory. Zresztą w każdym konflikcie międzynarodowym władze odwołują

się do narodowej dumy. Gdy USA wyrzuciły hinduską konsul z Nowego Jorku za znęcanie się nad służącą(!), to New Delhi praktycznie zamroziło relacje z Waszyngtonem na pół roku. Włoscy karabinierzy ochraniający przed piratami swój statek handlowy spędzili w więzieniu, a następnie w areszcie domowym (na terenie ambasady Italii) cztery lata (sic!) za pomyłkowe ostrzelanie hinduskiego kutra rybackiego, który uznali za statek piracki, i zabicie dwóch rybaków. Za samo nielegalne posiadanie broni od lat siedzi w hinduskim więzieniu 11 estońskich i czterech brytyjskich ochroniarzy oraz bliżej nieznana liczba Ukraińców. W ten sposób Indie chcą pokazać światu i własnym obywatelom, że ich terytorium jest święte i każdy, kto pojawi się na nim z „nielegalną” bronią, zostanie przykładnie ukarany.

To wszystko – reformy i dumna polityka narodowa – sprawia, że dla charyzmatycznego premiera Modi nie ma alternatywy. Partia Gandhiego i Nehru – Indyjski Kongres Narodowy – póki co nią nie jest. W najbliższych wyborach – za dwa lata – reformator i znakomity orator Narendra Modi przedłuży swój mandat. Będzie oazą stabilności na politycznym Oceanie Indyjskim.

Indie wciąż mają gigantyczny odsetek analfabetyzmu – aż 35 proc.! Ale Hindusi argumentują, że pod tym względem szklanka jest więcej niż do połowy pełna, bo u progu niepodległości, siedem dekad wstecz, stopień analfabetyzmu był już zupełnie porażający: 95 proc.

Indie, powtarzam to zawsze, to więcej niż państwo. To subkontynent. Rola stanów jest tu większa niż landów RFN i stanów w USA. Obecny minister obrony chętnie rzuci prestiżową tekę w New Delhi, jeżeli jego partia wygra wybory w największym stanie Indii, liczącym 220 mln (!) ludzi Uttar Pradesh (UP) i zaproponuje mu tam stanowisko lokalnego premiera. Zresztą rząd centralny układany jest podług niepisanych parytetów i jest mozaiką stanów, kast i religii. Jeśli szef rządu to hinduista, to prezydent państwa obowiązkowo muzułmanin. Hinduskie elity uważają, że spokój wewnętrzny jest gwarantem siły państwa – także w wymiarze zewnętrznym. ■



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Głęboka selwa pogranicza Panamy i Kolumbii. Z szukającymi tu schronienia kolejnymi grupami zbrojnymi FARC, z narkotycznymi gangami chowającymi się przed prawem. Wreszcie z nielegalnymi imigrantami, którzy w przeprawieniu się przez przesmyk widzą swoją szansę na pomyślne dostanie się do Panamy, Hondurasu, Gwatemali, a następnie Meksyku i może Stanów Zjednoczonych. Witajcie na ziemi niczyjej. Witajcie w Darién.

Tu, gdzie kończy się droga...



– Dlaczego nie wyszedłeś z autobusu? Mówiłem przecież jasno, prawda?

– Musiałem nie usłyszeć, przepraszam... – bronię się, nadal wybudzając umysł z głębokiego snu.

– Bierz paszport i zasuway mi do kolegi. Czekaj już na ciebie na zewnątrz.

Mundurowy służbista z Senafrontu (elitarnej jednostki panamskich służb specjalnych do spraw zwalczania przemytu narkotyków) i tak jest dosyć grzeczny. Nie warczy, nie szturcha, nie wlece do ciemnego zaułka. Po prostu czyni swe obowiązki. Nie czuję wobec niego żalu. Jedynie współczucie. Że o trzeciej w nocy musi pełnić wartę na środku szosy w dżungli.

Przeciskam się między zaspanymi współpasażerami. Kierowca standardowo rozkręcił klimatyzację na maksimum. Część ludzi siedzi więc przykryta szczelnie kocami. Ktoś wszedł w śpiwór. Jakaś pani tuli płaczące dziecko. Pewnie obudził je blask latarki świecącego po twarzach ludzi żołnierza. Chrapiący dwa rzędy przede mną pan jest już tak przechylony w lewo, że cudem jest, iż jeszcze nie wypadł w przejściu. Muszę go podtrzymać. Inaczej nie przejdę. Mimo że jest środek nocy i wszyscy śpią, mam wrażenie, że ktoś mnie nieustannie obserwuje. Jakby czekając, co się wydarzy. Czy przepuszczą białego gringo dalej. Czy będzie musiał wysiadać już tutaj. Sam się rzeczywiście nad tym zastanawiam...

– Po co właściwie chcesz wjechać do Darién? – przeglądający paszport żołnierz Senafrontu jest bardziej sympatyczny od swego poprzednika, który mnie tu skierował. Uśmiecha się życzliwie, wertując kartki mojego dokumentu.

– Chodzi o koniec Panamerykany – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– Jak to? – Żołnierz aż przerywa spisywanie moich danych do swojego zdezelowanego zeszytiku, utkwivszy bacznie wzrok w mojej twarzy. A właściwie w tym, co z niej widać przy półświatlistym żarze okolicznej latarni.

– Bardzo prozaicznie. – Choć o tej godzinie jest to ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę, siłę się na uśmiech. – Zawsze chciałem zobaczyć, jak wygląda koniec świata. I przyjmując, że właśnie tutaj nieprzerwana na całej pozostałej swej długości szosa ciągnąca się od Alaski aż po Ziemię Ognistą musi ulec przerwaniu, uznałem, że to właśnie koniec cywilizowanego świata.

– Zabawne. Słyszałeś? – Spisujący moje dane wojskowy zwraca się do stojącego obok kolegi.

Nie usłyszy jednak odpowiedzi. Kolega jest zajęty. Tak się składa, że wraz ze mną autobusem jedzie młode małżeństwo z dzieckiem. Mężczyzna w panice wyjmując jakieś dokumenty, tłumaczy, żywo gestykuje.

– To, co robicie, jest nielegalne. Musimy was zawrócić. Nie przejeździecie – mamrocze pod nosem przeglą-



Panamski warzywniak tuż przy porcie w Yaviza. I jego właściciel

dający z kamienną twarzą prezentowane dokumenty żołnierz.

– Ale chwileczkę. Tutaj wszystko stoi. Jedziemy z misją. Są pieczątki. Jest wszystko. – Młody niski mężczyzna robi, co może, aby uratować sytuację.

– Chwileczkę... – Żołnierz zabiera dokumenty i odchodzi na kilka minut. Dyskutuje z kapitanem punktu kontrolnego. Małżeństwu (jak się potem okaże kolumbijskiego pochodzenia) pozostaje jedynie czekać na werdykt w ich sprawie.

– Nie przejmuj się, będzie dobrze... – szepcze mężczyzna do żony. Widać jednak, że i on jest bardzo przejęty całą sytuacją.

Tego typu kontroli będziemy mieć na naszej trasie przynajmniej trzy. Przy nocnej muzyce świerszczy, bez dodatkowych świateł, raczej w półmroku. Na panamskiej prowincji. Gdzie próżno doszukiwać się większych gospodarstw. W atmosferze nocnej apatii i zmęczenia. Gdy świecą po oczach latarka służbisty Senafrontu nakazuje powrót do rzeczywistości z sennych wyobrażeń. Gdy znów trzeba wziąć w garść paszport, przeplnąć się przez na wpół zaspany autobus i doczołgać się ostatkiem sił do stojącej przy drodze kabiny żołnierzy. Kabiny wyklejonej zdjęciami nieciekawie wyglądających panów. Z ich rysopisem, podaniem winy i stop-



nia zagrożenia, jakie niesie ze sobą ich spotkanie. W kabinie poza lustrowaniem wiszących zdjęć przestępców standardowa rozmowa. Trzeba się tłumaczyć. Gdzie, z kim i właściwie po co? Bo tutaj tak naprawdę nie powinno się jeździć. Bo w niemal każdym przewodniku po Panamie znajdziemy informację, że prowincja Darién to nie jest turystyczne i bezpieczne miejsce. Wprost przeciwnie.

► Gdy jesteś sam

„Znowu spotkałem ludzi z AUC [Zjednoczona Samoobrona Kolumbii – tłum. aut.] i powiedzieli mi, że to duży błąd iść w kierunku rzeki Sucio. Usłyszałem o partyzantach FARC w tym rejonie i widziałem ich graffiti na domach. Są nazywani Smokami Uraby i są gdzieś pomiędzy mną a rzeką Sucio. [...] Jestem wciąż w głębokiej dolinie, gdy droga prowadzi mnie wzdłuż rzeki Sucio. Ściany doliny są zarośnięte tropikalnym lasem. Gdy ostatnie promyki światła znikają o zmierzchu, usłyszałem ruch. Dżungla jest pełna dźwięków, ale czasem wychwytyjesz spomiędzy nich tony, które swą nietypowością mogą ostrzegać przed niebezpieczeństwem. Czujnie, z walącym sercem, stałem bez ruchu. Nagle pojawiły się postaci – mężczyźni z ekwipunkiem na ple-

cach. Słyszałem charakterystyczny brzęk metalu. Broń! Smoki przekradały się. Było ich ponad dwudziestu, nie dalej jak 10 stóp ode mnie. Żaden się nie odezwał, ale w nocy i tak było ich dobrze słychać”. Tak spotkanie w niedostępnej selwie panamskiego przesmyku Darién opisał Karl Buschby – wędrowiec, który samotnie przeszedł całą planetę. W pewnym momencie nie miał wyboru. Idąc z Ameryki Południowej do Północnej, musiał przekroczyć dziewiczy, nienaznaczony żadną drogą, zamknięty przed światem obszar przesmyku Darién – jedyne drogi lądowej łączącej Kolumbię z Panamą.

Przesmyk słynnego przede wszystkim z walęsających się tutaj zbrojnych grup przestępczych, przemysłników oraz nielegalnych imigrantów próbujących przedostać się z Ameryki Południowej przez Środkową aż do Meksyku, a potem może do Stanów.

Dziś wiemy, że Buschby szczęśliwie uniknął bezpośredniego spotkania z partyzantami. Jedynie ich słyszał. Finalnie skrajnie wyczerpany przedarł się przez selwę do Panamy. Wyjście z lasu nie oznaczało wcale dla niego końca przygód. W pierwszym napotkanym miasteczku policja natychmiast aresztowała go za nielegalne przekroczenie granicy. Brytyjczyk musiał spędzić 18 dni w więziennej celi. W końcu został uwolniony i mógł kontynuować podróż.

Przeszedł Darién. Jeden z kluczowych punktów swojej trasy. Odcinek, w którym wiedział, że nie ma prawa oczekiwać jakiegokolwiek pomocy. Gdzie jego towarzyszy będą jedynie muchy, dzikie zwierzęta i gęstwina lasu deszczowego poprzecinanego kilkuset (!) rzekami i ciekami.

Jest styczeń 2017 r. Po całonocnej przygodzie autobusowej z wybudzaniem mnie w środku nocy przez żołnierzy służby Senafront i kolejnych kontrolach, dojeżdżam wreszcie do zapomnianej przez świat panamskiej miejsciny Yaviza. Tutaj kończy się świat.

► 25 750 km z niewielką przerwą na... pustkę

To pogranicze Panamy i Kolumbii. Tutaj słynna Pan-americana – wspomniana już droga ciągnąca się od amerykańskiej Alaski na północy po argentyńską Ziemię Ognistą na południu – ulega jednemu na całej swojej długości przerwaniu. W tym miejscu nie udało się po prostu budować dalej.

Chociaż próbowano. Jednak zarówno w 1971 r., jak i podczas kolejnej próby w 1992 r. prace zatrzymywały nieprzyjazna selwa, bagna, grzęzawiska, wreszcie zaś szalejące wśród robotników malaria z żółtą gorączką. Do dziś prac nie wznowiono. I planów na przyszłość też raczej nie widać.

Trudno się jednak dziwić. 3 miliony akrów dziewiczego lasu deszczowego skrywają z pewnością niejedną tajemnicę. Ponadto liczne wąwozy, obniżenia, góry

i doliny – wszystko dodatkowo szczególnie pokryte zieloną gęstwiną – to sprawia, że do ich odkrywania nie ma zbyt wielu chętnych. Ale do stania się samemu ową tajemnicą kilku chętnych już się znajdzie. W ten sposób Darién na swój dom wybierają przemytnicy, ludzie wyjęci spod prawa, partyzanckie oddziały rewolucyjnych sił wyzwoleniczych Kolumbii (FARC) czy wreszcie zwykli nielegalni imigranci.

Wielu próbowało. Części się udało. O innych słuch zaginął. Podobno bowiem Darién nie lubi się zanadto dzielić.

► Dalej niż Yaviza

„A więc tak wygląda koniec świata” – szepczę do siebie w myślach, wychodząc z przechłodzonego do granic możliwości autobusu.

Jest przed piątą. Do świtu jeszcze ponad godzina. Yaviza, ostatnia miejscowość, do której dobiega panamski odcinek Panamericany, pogrążona jest jeszcze w głębokim śnie. Na swój ostatni przystanek autobus wybiera piaszczystą zatoczkę przy drucianej siatce. To ogrodzenie portu nad rzeką Chucunaque. Od tej pory bowiem to rzeka staje się jedyną drogą komunikacji. Widząc zamkniętą bramkę do portu, udaję się w kierunku miasteczka. Przysnam, że wizja spaceru po jego opustoszałych i pogrążonych w totalnej ciemności zaułkach wywołuje u mnie trudny do pohamowania entuzjazm. Oto przede mną pogrążona we śnie ostatnia wioska Panamy. Ba! Ostatnia wioska Ameryki Środkowej. „Zawrotka dla Panamericany”. Idę.

– Hej! Hej! Ty... – Póki co nie widzę, kto mnie woła. Głos dociera zza drucianego ogrodzenia. Jego właścicie-

la jeszcze nie widać. Chyba się zbliża. Bo i głos coraz donośniejszy. Wreszcie jest. Stał w świetle jednej z nielicznych w miasteczku latarni. No tak. Mogłem się spodziewać. To członek Senafrontu.

– Słucham...

– Paszport proszę.

– Czy wy je kolekcjonujecie wszyscy po kolei? – mówię sobie pod nosem w ojczystym języku.

– Że co, proszę? – Po tonie rozmowy wnioskuję, że tym razem trafiłem na nie do końca mającego dobrą noc strażnika.

– A nic, nic. Tak sobie tylko pod nosem stękam. Zmęczony jestem nieco. Całą noc do was jechałem.

– Skąd?

– Z Panama City.

– Narodowość?

– Polak.

– Długo tu zamierzasz zostać?

– Ze dwa dni pewnie. Może trzy. Chciałem zobaczyć koniec świata. Panamskiego świata.

Fraza o końcu „panamskiego świata” chyba przypada spisującemu mnie w swoim zeszytiku mundurowemu, bo nawet się uśmiechnął. A może to tylko mnie się tak wydawało w tym półmrocznym światelku, w którym próbuję dostrzec wyraz jego twarzy. W dodatku schowany za drucianym ogrodzeniem.

– Przykro mi, Stefan. – Żołnierz Senafrontu przybiera na powrót poważną minę. – Nie możemy cię wpuścić dalej.

– To znaczy?

– Do Yaviza jeszcze mogłeś dojechać. Tutaj jednak kończy się twoja przygoda z „panamskim końcem świata”. – Po tym zdaniu odnoszę wrażenie, że być może



Do ostatniej miejscowości, do której prowadzi Panamericana, docieram nocą



Selwa Darién to najczęściej ściana lasu nie do przebycia

moja dowcipna fraza wcale mogła nie być taka zabawna. Chyba nie przypadła do gustu. – Będiesz musiał zawrócić. Dalej potrzebna jest przepustka. A tej, jak mniemam, nie posiadasz...

– Nie posiadam. Racja. Ale... – oponuje po chwili zastanowienia. – Do El Real chyba dojechać jeszcze mogę, nieprawdaż? Tej indiańskiej wioseczki, oddalonej od nas jakieś parę kilometrów w linii prostej.

Wojskowy przewraca oczami. Takiej odpowiedzi chyba się nie spodziewał. Polski turysta, który zna przepisy Senafrontu? A co gorsza kojarzy topografię Darién? Wystarczy poszperać co nieco w internecie, poprzeglądać mapy, poczytać udostępnione przez wojsko dokumenty, aby dowiedzieć się, że ostatnią wioseczką, do której jest jeszcze opcja legalnego podróżowania po przesmyku Darién, wcale nie jest Yaviza (ta, i owszem, jest ostatnią miejscowością, do której można dojechać drogą lądową – czytaj: końcem Panamery), a oddalona od Yavizy półtorej godziny płynięcia rzeką indiańska wioseczka El Real.

– Diego! – Kontrolujący mnie żołnierz chyba potrzebuje pomocy.

– Spokojnie, poczekam – uspokajam jego pytający wyraz twarzy, gdy wraz z moim paszportem zaczyna oddalać się w kierunku kolegi.

– Do El Real puszczamy? – słyszę w ciemności, gdy już żołnierska sylwetka znikła mi z oczu.

– A co? – odpowiada nieznamy mi do tej pory głos.

► Poranna bryza Darién

Szósta piętnaście rano. Wokół jedynego w porcie mołu krząta się jakiś mężczyzna. Ubrany w dżinsy, bluzę i czapkę z daszkiem układa towary w wąskich czółnach. Powyżej na ławkach drzemia przysli pasażerowie.

Klienci wszystkich tych póki co zacumowanych w porcie łódek. Mających płynąć dziś w górę rzeki. W interior tajemniczego i niedostępnego Darién. Praktycznie sami Indianie. Oni nie potrzebują przepustek. Wracają do domu. Z całymi tobołami pakunków, zgrzewkami wody, skrzynkami warzyw. Podejrzewam, że wyjechali z lasu na zakupy. Poczyń zapasy. Dwu-, może trzytygodniowe.

– Alberto! Chodź tu na moment, Alberto! – Znajomy żołnierz przywołuje krzątającego się mężczyznę.

– Stefan chce popłynąć dziś do El Real. – Już sam fakt nazywania mnie po imieniu przez mundurowego Senafrontu łamie we mnie jakoś lody lęku. Chyba nic mi tu już nie grozi. Chyba zostałem zaakceptowany. – Znajdzie się dla niego miejsce?

– Jasne! – Uśmiechnięty sternik podaje mi na przywitanie zmęczoną od porannej pracy dłoń. – Alberto jestem.

– Stefan. Z Polski. – Na twarzy mężczyzny widzę delikatne zakłopotanie. – Dość daleko stąd.

– Bądź gotowy za pół godzinki. Wówczas wypływamy.

Woda jest zupełnie spokojna. Gdybym nie obserwował z nudów dryfującego w pobliżu patyka, nie wiedziałbym nawet, w którą stronę płynie nurt. Póki co poranne powietrze nadal jest wystarczająco „chłodne”. Za parę godzin słupki rłci znów skoczą do plus trzydziestu. A wilgotność przekroczy barierę 90 proc. Póki co trzeba chłonać, co jest.

A jest doprawdy pięknie. Szkoda, że zdjęcia o tej porze dnia w dżungli tak rzadko wychodzą. Gdy poranne mgły unoszą się nad rzeką, sprawiając, że przeciwny brzeg staje się nieco rozmyty. Jakby niewyraźny. Gęsto porastające go drzewa jawią się jeszcze bardziej tajemniczo. Są bowiem nie w pełni widoczne. Osłonięte



Tymczasowy efekt strugania indiańskich pirog w wiosce El Real

mgiełką. Poranny brzask nieśmiało przebija się przez porośnięte bluszczem korony. Przebudzona rykiem naszego silnika czapla startuje do lotu. Z gałęzi okolicznego gigant-drzewa zrywa się stado papug.

Dopiero teraz wiem, że było warto. Dopiero teraz czuję sens obitych kości w nocnym ścisku autobusowego tłoku. W bezustannych przerwach na kontrole Senafrontu. Dopiero teraz czuję, że wpływam w zakazane. W ziemię niczyją. Wpływam w Darién.

► Kraty bądź trumna

Na skarpie wioski siedzi starsza kobieta. Nie ma na sobie biustonosza. Nie reaguje, gdy podchodzę bliżej. Przygląda mi się tylko uważnie. Po jakimś czasie zaczynam się jej chyba nudzić. Zaczyna obserwować rzekę. Będzie tak jeszcze długo siedziała.

Wioska El Real. Wyrabana na skarpie rzeki Chucunaque. Pośrodku dariénoskiej otuliny leśnej. Z chatami na palach. Na wypadek ulewnych deszczy i wylania okolicznych potoków. Z kobietami piorącymi w rzecę. I wspinającymi się następnie ze swoimi plastikowymi miskami pełnymi ubrań po niezwykle stromej glinistej skarpie do domu. Z ganiającymi się indiańskimi dziećmi prowokującymi do zrobienia im zdjęcia. Ze wstydliwymi krzykami małych dziewczynek. Wreszcie: z samotnym strażnikiem Senafrontu wylegającym się na drewnianej dykcie z widokiem na rzekę.

Mieszkańcy El Real dobrze wiedzą, gdzie mieszkają. Znają ponurą sławę swojej prowincji. Umówmy się jednak: gdzie na świecie znaleźć lepszą kryjówkę od takiej, do której nie prowadzą żadne drogi, nie wytyczono żad-

nych szlaków, gdzie całość skryta jest w leśnej gęstwinie, przez co nawet z lotu ptaka ciężko cokolwiek zobaczyć, i gdzie nie obowiązuje praktycznie żadne prawo? Bo kto miałby je egzekwować?

Tak, Darién to wymarzone miejsce dla półświatka. I zawsze takim miejscem było. Nieprzypadkowo na okolicznych domach co rusz spotykam ostrzegające mnie tabliczki Senafrontu. Jak choćby tę tutaj. Duża gałka oczna na czerwonym tle. I napis: „Uważaj. Obserwujemy cię”. W jeszcze innym miejscu propagandowy plakat przedstawiający kratki więziennej celi oraz trumnę. I podpis. „Narkobiznes ma tylko dwa wyjścia. Więzienie lub śmierć”. Nie trzeba więcej plakatów, aby uświadomić sobie, z czym nie potrafią sobie poradzić służby specjalne penetrujące współczesnego Darién.

► Porwania i zjime

Ale nie zawsze o przemytników narkotyków chodziło. Zanim w połowie lat 60. wojna w Kolumbii rozszalała się na dobre, przesmyk Darién przechodziło od 50 do 100 wędrowców rocznie. Większości udawało się dopiąć swego. Skutkiem kolumbijskiej wojny domowej pod koniec lat 90. Darién zaczęło stawać się główną bazą dla partyzanckich oddziałów FARC. Wypierani z kraju odnajdywali bezpieczną kryjówkę właśnie tutaj. W głębokiej selwie w pobliżu granicy z sąsiednią Panamą. Kolejnymi grupami zbrojnymi zaczęły być narkotyczne gangi szukające schronienia przed prawem. Miejsca, w którym łatwo i – co najważniejsze – skutecznie dałoby się przed nim ukryć. Dziś do tej wyliczanki można dodać jeszcze nielegalnych imigrantów, którzy w przeprowadzeniu się przez

przesmyk Darién widzą swoją szansę na dostanie się do Panamy, Hondurasu, Gwatemali, a następnie Meksyku i może Stanów Zjednoczonych.

Darién zaczął zatem być sławny na całym świecie. Groza niedostępności, ale zarazem powab męskiego wyzwania kuśił coraz liczniejszych. Z czasem też coraz głośniej zaczynało być o śmiałkach, którzy wyruszyli przez Darién i o których nikt już potem nie usłyszał. Z kolei każdy, komu udało się przejść, wspominał swą przeprawę jak piekło.

Wśród nich choćby pewni dwaj backpackersi z Anglii. W okolicach Palo de Letras przy granicy panamsko-kolumbijskiej zostali porwani przez partyzantów. Jako więźniowie rebeliantów byli ich niewolnikami przez osiem miesięcy. Dopiero gdy partyzanci zrozumieli, że ze złapanych ofiar nie wycisną wielomilionowego okupu, puścili ich wolno. Anglicy mieli szczęście. Udało im się przeżyć.

Inni śmiałkowie ginęli z bardziej prozaicznego powodu. Lasy Darién słyną jako jedne z najbardziej malarycznych terenów na świecie. Do tego dochodzi tzw. żółta gorączka. Zakażenia, groźne zmię, robactwo i niezwykle morderczy do pokonania teren. Pełen bagnisk, torfowisk, dużych deniwelacji, wreszcie rzek. Tych okresowych i stałych jest w sumie kilkaset. Przez Darién idzie się naprawdę trudno.

► Jednak można

Trudno się zatem dziwić temu, że Darién wciąż kusi tajemnicą. Że wciąż jest nieujarzmiony. Że nadal nie wybudowano przez przesmyk żadnej drogi. Co wcale

nie oznacza, że nie udało się go nikomu przejechać samochodem.

Zadziało się to w 1960 r. A głównym bohaterem był mający napęd na cztery koła model drugiej serii Land Rovera. Nazywany pieszczotliwie „La Cucaracha Cariño-sa” („Śliczny Karaluch”) pokonał nieprzebytą jak do tej pory selwę. Przeprawa trwała 134 dni. W tym czasie przebył 500 km, pokonując 180 rzek, na których wybudowano 125 prowizorycznych mostów.

Dziś przeszło 100-kilometrowy odcinek między panamskim Yaviza a kolumbijskim Turbo, gdzie odpowiednio kończy się i zaczyna przzerwana trasa panamerykańska, pozostaje nietknięty, nieruszony, niezbadany.

– Jedziesz do Darién? – zagadnął mnie niski pan w zielonej koszuli przypominającej nieco nasze uniformy leśników, gdy pałaszowałem obiad w Yavizie.

– Oj, nie... Dopiero co wróciłem z El Real. Pora wracać do domu. Za parę godzin mam autobus do Panama City.

– A byłeś w środku selwy? Przedzierałeś się?

– Przecież to zakazane... – W moich oczach prawdopodobnie pojawiły się w tym momencie iskierki zainteresowania.

– Zakazane, jak nie masz pozwolenia. Zajmuję się tym od lat. Przeprowadzam ludzi z Kolumbii do Panamy i z powrotem. Wszystko na legalu. Z wojskowymi przepustkami, z całą logistyką.

– Czyli można przejść Darién? – dziwię się.

– Naturalnie. Tylko trzeba to zrobić ze mną. Znam trasę – uśmiecha się tajemniczo, wręczając mi wizytówkę. – Wróc jeszcze do Panamy. To wspólnie przejdziemy Darién. Pokażę ci jak. ■



Egzotyczna brama do Darién – ziemi niczyjej

Olga Doleśniak-Harczuk



Krew na kitlu

27 stycznia w Bundestagu uczczono Dzień Pamięci o Ofiarach Narodowego Socjalizmu. Po raz pierwszy w historii niemieckiego parlamentu w sposób szczególny wspomniano o ofiarach eutanazji i zbrodniarzach w kitlech, bez których pomocy nazistowskie Niemcy nie zdołałyby tak dalece zakroić masowej eksterminacji słabych, chorych, uznanych za niegodnych życia. Gościem honorowym tego dnia był w Bundestagu Sebastian Urbanski, aktor z zespołem Downa. Urbanski odczytał list upośledzonego mężczyzny, który przed 74 lata padł ofiarą akcji eksterminacyjnej T4. Gdyby Urbanski żył w Berlinie lat 40., zostałby niechybnie zagłodzony w jednej z umieralni zwanych klinikami. To dobrze, że nasi zachodni sąsiedzi mają tego świadomość.

Wiele napisano o korzyściach niemieckiego przemysłu farmaceutycznego, który na bazie bestialskich eksperymentów na więźniach obozów koncentracyjnych zdołał po wojnie zbudować swoją pozycję lidera na światowych rynkach, nieco mniej mówiono o tym, jak na własnym terenie Niemcy naukowcy potrafili bez uszczerbku na sumieniu korzystać z tego, co podsuwał im system. W ostatnich latach panuje w Niemczech trend na „coming outy” ośrodków uniwersyteckich i klinik, które w ramach rozliczenia z przeszłością składają samokrytykę za lata wojenne. Co prawda, nikt już za nic nie odpowie, żaden profesor nie straci stanowiska, ale chociaż powstają raporty, broszury i wystawy. Takie chociażby, jak ta sprzed półtora roku w salach Kliniki Psychiatrycznej Berliner Charite, gdzie udokumentowano medyczne zbrodnie dokonane w berlińskim ośrodku w latach 1940–1945 na chorych psychicznie. W Giessen zaś kilka tygodni temu władze Justus-Liebig-Universität wzięły się za prześwietlenie działalności medyków czynnych w latach II wojny światowej m.in. w Szpitalu dla Nerwowo Chorych w Giessen. Ludzie ci rzetelnie wypel-

Każda z tych kobiet skończyła na stole sekcyjnym profesora anatomii Hermanna Stieva, specja od układu rozrodczego i późniejszego autorytetu NRD-owskiego środowiska ginekologicznego. Co się stanie, gdy przy klatce z kurami postawimy klatkę z lisem? Czy zestresowane nioski szybciej niż zazwyczaj zaczęta znosić jaja? Herman Stieve zadawał sobie takie pytania już na początku lat 30. XX wieku, gdy swoje badania z braku lepszych opcji przeprowadzał właśnie na kurach. Ale o wiele bardziej niż zestresowane kury interesowały go przerażone kobiety i to, jak stres może wpływać na ich cykl menstruacyjny. Egzekucji nie brakowało. Przed naukowcami takimi jak Herman Stieve otworzył się świat nowych możliwości. Pokusa była zbyt wielka, by się jej oprzeć.

► Najlepszy materiał świata

Profesorowi dostarczano ciała kobiet mordowanych w obozie koncentracyjnym Ravensbrück i więzieniu Plötzensee. W latach 1939–1944 Stieve przeprowadził doświadczenia na zwłokach 269 kobiet. Wiedział, skąd pochodzą ciała dostarczane do jego instytutu. Już

W LATACH 1939–1944 STIEVE PRZEPROWADZIŁ DOŚWIADCZENIA NA 269 KOBIECYCH ZWŁOKACH. PROFESOROWI DOSTARCZANO CIAŁA KOBIEĆ MORDOWANYCH W OBOZIE KONCENTRACYJNYM RAVENSBRÜCK I WIEZIENIU PLÖTZENSEE.

niali program eutanazjny, a w latach 60. wychodził z uczelni z tytułem doctora honoris causa. Wśród nich znaleźli się profesorowie Julius Hallervorden i Hugo Spatz. Hallervorden badał i preparował mózgi pomordowanych więźniów obozów, w tym i Polaków, oraz dzieci poddanych eutanazji w brandenburskich ośrodkach dla nieletnich. W latach 1940–1945 do Instytutu Cesarza Wilhelma w Berlinie, gdzie pracował wtenczas Hallervorden, dostarczono niemal 700 mózgów. W sekcjach uczestniczył też prof. Spatz, od 1938 r. czynny członek NSDAP. Władze uniwersyteckie Giessen zapowiedziały, że pośmiertnie odbiorą obu profesorom tytuły. Do tej decyzji dojrzewano ponad pół wieku.

► Na początku była kura

Helene Delacher, pomoc kuchenna, za posiadanie broszur świadków Jehowy zapłaciła głową. Gilotyna ruszyła w 1943 r. Egzekucja pakowaczki Wandy Kallenbach wypadła w sierpniu 1944 r., ktoś doniósł gestapo, że skarżyła się na Göringa. Krawcowa Elfriede Remark, siostra pisarza Ericha Marii Remarque’a, poszła na szafot w październiku 1943 r. za brak wiary w wygraną wojnę.

w 1938 r. napisał: „Dzięki egzekucjom Instytut Anatomii otrzymuje materiał, w jakiego posiadaniu nie jest żaden inny instytut świata. Moim obowiązkiem jest odpowiednie przerobienie, utrwalenie i przechowywanie tego materiału”. I przerabiał materiał najlepiej, jak mógł. Do dziś zarzuca się Stievemu, że potrafił wpływać na decyzję o terminie egzekucji danej kobiety tylko po to, by ułatwić sobie późniejszą pracę. Według relacji pisarza Wilhelma Bartscha, Stieve zażądał kiedyś, by przełożyć egzekucję na godziny wieczorne, ale niezbyt późno, tak by lekarze biorący z nim udział w sekcji mogli szybko uwinąć się z pracą i zdążyć jeszcze dojechać środkami transportu miejskiego do domu. Skazane kobiety miały ponadto zgodnie z życzeniem profesora prowadzić kalendarzyk, były to dane ważne dla jego dalszych analiz już po egzekucji. Po wojnie profesor Stieve nauczał, był szanowanym i lubianym wykładowcą, jego popiersie stało w Berlińskim Charite. Zmarł w 1952 r. Pośmiertnie został honorowym członkiem Niemieckiego Towarzystwa Ginekologicznego. Dzienniki „Das Neue Deutschland”, organ prasowy Socjalistycznej Partii Jedności, podsumował: „Wielkie były jego czyny. Przeżyją w jego dziełach”.

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, ale są ważne.



► Chiny-Tajwan

Na początku lutego japoński dziennik „Yomiuri Shimbun” podał, że Chiny rozważają wprowadzenie poprawek do uchwalonej przez chiński parlament w marcu 2005 r. ustawy antysecesyjnej. Dokument sprzed 12 lat stanowi, że Pekin „zastosuje niepokojowe środki i inne konieczne metody”, jeśli Tajwan wykona ruchy mające na celu osiągnięcie suwerenności lub jeśli okaże się, że nie jest możliwe pokojowe zjednoczenie. W momencie uchwalenia ustawa wzbudziła oburzenie nie tylko na Tajwanie, gdzie 26 marca 2005 r. milion Tajwańczyków protestowało na ulicach Tajpei przeciwko jej wprowadzeniu, lecz także została skrytykowana przez administrację USA i Unię Europejską.

Państwem, które szybko wyraziło wówczas poparcie dla chińskiej ustawy, była Rosja.

Tym razem, jak twierdzi „Yomiuri Shimbun”, Pekin zamierza bardziej sprecyzować powody, które miałyby dać prawo władzy komunistycznej do inwazji na Tajwan.

Wśród nich znalazłoby się nieuznanie przez rządzących na Tajwanie polityki „jednych Chin”, czyli zasady zakładającej istnienie tylko jednego państwa chińskiego, składającego się z Chin kontynentalnych, Hongkongu, Makau i Tajwanu. Odwołują się do niej komunistyczna władza w ChRL, a także partia Kuomintang na Tajwanie, będąca w tej chwili w opozycji.

Rządząca obecnie na wyspie partia DPP i prezydent Tsai Ing-wen stoją na stanowisku, że formuła „jednych Chin” ogranicza prawa Tajwańczyków do wyboru innych opcji, np. „dwóch Chin” lub wariantu „jedne Chiny, jeden Tajwan”. Tak więc zmiany w ustawie antysecesyjnej, które rozważa Pekin, mają na celu wymuszenie na władzach Tajwanu, by oficjalnie poparły politykę „jednych Chin”.

Plany modyfikacji ustawy to także sygnał dla prezydenta Donalda Trumpa, by nie próbował kwestionować polityki „jednych Chin”. W połowie grudnia 2016 r. jeszcze wówczas prezydent elekt Trump w wypowiedzi dla stacji Fox News stwierdził, że nie wie, „dlaczego USA miałyby być zobowiązane polityką »jednych Chin«, jeśli nie robiłyby targu z Pekinem w kwestii innych spraw, w tym handlu”.

Na początku lutego w rozmowie telefonicznej z prezydentem Chin Xi Jinpingiem prezydent Trump powiedział, że będzie honorować „naszą”, czyli amerykańską, politykę jednych Chin. A to oznacza, że Waszyngton przyjmuje do wiadomo-

ści, iż państwa po obu stronach Cieśniny Tajwańskiej (ChRL i Tajwan) uważają, że istnieją tylko jedne Chiny, że Waszyngton nie uznaje zwierzchnictwa Pekinu nad Tajwanem, a status wyspy nie jest jeszcze uregulowany. To bardzo odbiega od chińskiej interpretacji.

Ale nie tylko podejście amerykańskiego prezydenta do omówionej kwestii niepokoi Pekin. Według wydawanego w Hongkongu tygodnika „Yazhou Zhoukan” ChRL obawia się planów administracji Trumpa dotyczących stworzenia w Azji sojuszu na wzór NATO (tzw. azjatyckie małe NATO), który opierałby się na trzech państwach w regionie Japonii, Korei Południowej i właśnie na Tajwanie. Jak informuje hongkoński periodyk, Waszyngton rozważa sprzedaż Tajwanowi systemu obrony przeciwrakietowej THAAD (Terminal High-Altitude Area Defense). Zlokalizowany na wyspie system byłby w stanie bezpośrednio trafić (hit-to-kill) w nadlatujące pociski z położonych na południu Chin prowincji Jiangxi, Fujian i Guangdong.

► Hongkong

W połowie lutego sąd w Hongkongu uznał siedmiu policjantów winnymi celowego pobicia aktywisty Kena Tsanga. Do ataku na mężczyznę doszło w trakcie tzw. rewolucji parasoli w 2014 r., kiedy to mieszkańcy byłej kolonii brytyjskiej przez prawie 80 dni protestowali na ulicach Hongkongu, domagając się wolnych wyborów.

Tsang był jednym z demonstrujących, gdy 1 października 2014 r. został zatrzymany przez policjantów, powalony na ziemię i skopany. Całe zajście sfilmowali inni protestujący i materiał posłużył jako czołowy dowód świadczący o nielegalnym zachowaniu policjantów.

Policja i prokuratura przez długi czas zwlekały z ujawnieniem nazwisk atakujących Tsanga policjantów. Ostatecznie proces rozpoczął się w czerwcu 2016 r. Policjanci odmówili składania zeznań, a ich obrońcy twierdzili m.in., że bita na filmie osoba to nie Ken Tsang. Ostatecznie sąd uznał oficerów za winnych i grozi im kara 3 lat pozbawienia wolności.

Brutalne pobicie Kena Tsanga to jeden z wielu przypadków stosowania przemocy przez hongkońskich policjantów wobec coraz częściej protestującego społeczeństwa. Ludzie wychodzą na ulice, domagając się wolnych wyborów, demonstrując przeciwko zauważalnemu zanikowi takich wartości, jak rządy prawa czy wolności słowa, a także sprzeciwiając się pogarszającemu się od czasu, gdy Hongkong trafił w ręce Chin, poziomowi bezpie-

czeństwa. Poza pobiciami demonstrujących dochodzi także do porwań przez służby bezpieczeństwa Chin Ludowych niewygodnych dla komunistycznego reżimu aktywistów. W zeszłym roku uprowadzono pięciu hongkońskich wydawców publikujących książki krytykujące komunistyczne władze w Pekinie. Takie porwania to metoda często wykorzystywana przez chińską bezpiekę do walki z dysydentami, którzy poza granicami ChRL, wśród chińskiej społeczności, organizują antykomunistyczną opozycję.

W Hongkongu coraz częściej pojawiają się głosy, że była kolonia brytyjska przestała być bezpiecznym miejscem dla swoich obywateli. „Zawsze wydawało mi się, że w Hongkongu mogę pisać i mówić, co chcę. Jednak po porwaniu Lee Bo, który wydawał i sprzedawał książki w Hongkongu, mam wrażenie, że ja mogę być następny” – uważa hongkoński piosenkarz Anthony Wong.

► Chiny–Korea Płd.

Na przełomie stycznia i lutego Chiny wydały ze swojego kraju 170 obywateli Korei Południowej. Są to głównie chrześcijańscy misjonarze i ich rodziny. Sprawowali oni swoją misję w chińskiej prowincji Jilin graniczącej z Koreą Północną. Poza działalnością ewangelizacyjną pomagali uchodzić z Korei Północnej, którym udało się przedostać do Chin. Rząd w Seulu potwierdził, że poza wydaleniami doszło także do aresztowania kilku pastorów.

Wydalenia to efekt napiętych relacji Pekinu z Seulem po tym, jak ogłoszono, że na terytorium Korei Południowej zostaną rozmieszczone elementy amerykańskiego systemu obrony antybalistycznej THAAD. Decyzję tę podjęto jeszcze za rządów Obamy, ale nowa administracja Donalda Trumpa zapewniła, że program będzie kontynuowany. System ma się znaleźć na terenie Korei Południowej do końca 2017 r. Przeciwno temu planowi Waszyngtonu i Seulu ostro wypowiada się Pekin, a wtóruje mu Moskwa.

Od kilku miesięcy w Chinach obowiązują różne ograniczenia w stosunku do wyrobów południowokoreańskich, m.in. zakaz wystaw i pokazywania w tamtejszej telewizji występów artystów z tego kraju.

Ale wydalenie misjonarzy zbiega się także z zaostrzeniem ustawodawstwa antyreligijnego w Chinach. Nowe, obowiązujące w Chinach od października 2016 r. przepisy zwiększają kontrolę komunistycznego reżimu Chin nad organiza-

cjami wyznaniowymi i sprawiają, że ich działalność poddana jest licznym ograniczeniom.

► Japonia–Rosja

13 lutego Japonia złożyła oficjalny protest wobec Rosji za to, że ta nadała nazwy trzem niezamieszkanym wysepkom archipelagu kurylskiego, co do których Tokio i Moskwa toczą spory terytorialne. Zatarą o cztery wyspy tego archipelagu: Kunaszyr, Szykotan, Iturup i Habomai sprawił, że Rosja i Japonia nie podpisały jeszcze traktatu pokojowego po II wojnie światowej. Moskwa nadała wysepkom imiona polityków i wojskowych z okresu ZSRS. I tak na przykład jedna z wysepek będzie nosić imię Andrieja Gromyko, który od 1957 aż do 1985 r. był długoletnim szefem dyplomacji ZSRS.

W odpowiedzi na japoński protest Dmitrij Pieskow, rzecznik prasowy prezydenta Rosji Władimira Putina, stwierdził, że „Wyspy Kurylskie są terytorium Rosji, a tym samym ich nazewnictwo jest naszym suwerennym prawem”.

Do napięcia na linii Tokio–Moskwa dotyczące nazewnictwa Wysp Kurylskich doszło zaledwie dwa miesiące po wizycie w Japonii prezydenta Władimira Putina. Premier Japonii Shinzo Abe liczył wtedy, że uda się osiągnąć przełom w kwestii sporu wokół archipelagu kurylskiego.

Choć w trakcie wizyty Putina w Japonii przywódcy obu państw zgodzili się na podjęcie wielopłaszczyznowej współpracy na obszarze spornych wysp, chodzi m.in. o ruch bezwizowy, wspólne inwestycje i wymianę kulturalną, a także utworzenie specjalnej strefy ekonomicznej, to plan Abe okazał się nierealny. Japońskie media pisały o rozczarowaniu rezultatami rozmów Abe z Putinem. Gazeta „Asahi Shimbun” stwierdziła, że Shinzo Abe łudził się, iż możliwe jest rozwiązanie kwestii Wysp Kurylskich i źle odczytał intencje Putina. Prezydent Rosji i jego administracja jasno dali do zrozumienia, że kontraktami gospodarczymi nic się tu nie ugra i że Rosji w poprawie relacji z Japonią przeszkadza bliski sojusz Tokio z Waszyngtonem. Putin w wywiadzie dla stacji Nippon TV dał jasny sygnał, że chciałby mieć z Japonią takie relacje, jakie zakłada „partnerstwo z Chinami” – „wysoki stopień zaufania politycznego między dwoma krajami oraz wspólne spojrzenie na najważniejsze problemy międzynarodowe”. W ostatnim okresie Rosja i Chiny nie tylko zacieśniają swoją współpracę, lecz także próbują wciągnąć inne kraje w budowę euroazjatyckiego projektu będącego przeciwwagą dla USA. ■



Tomasz Sakiewicz

Powrót do klasycznej gospodarki

Nie zmienimy w jeden dzień myślenia ekonomistów ani sposobu finansowania gospodarek. Można jednak przestawić akcenty, pokazać długoterminowe zyski z inwestowania w ludzi.

Czy ktoś wie, ile na świecie krąży walorów finansowych? Biliony, może nawet tryliony dolarów. Nie da się tego łatwo policzyć, bo większość „papierów” jest tylko zapisem elektronicznym, który zmienia się w ułamku sekundy. Banki nie dysponują pieniędzmi wpłaconymi przez ich klientów. Gdyby były one ulokowane na przykład w nieruchomościach czy przedsiębiorstwach, pewnie łatwo można by je odzyskać. Jednak w bankach na kontach są też tylko zapisy elektroniczne. Zapisy lewarowane zmieniającym się prawem i śrubowane kaskaderskimi operacjami, przy których tradycyjny hazard to bezpieczna lokata. Zamiast papierów wartościowych będących częścią przedsiębiorstwa nabywa się derywaty, czyli prawa do nabycia towarów lub firm. Kiedy źle się oceni rozwój rynku, derywaty nie są nic warte. Ale mogą przynieść większy zysk niż wygrana na loterii. Prawo ogranicza oczywiście możliwości inwestowania przez banki, ale to, kto bierze ich pieniądze, już na ogół obostrzone zbytnio nie jest. Można się zastanawiać, ile wspólnego z realną gospodarką mają krążące walory? Na ile odzwierciedlają wartość przedsiębiorstw, dóbr i usług? Wcale bym się nie dziwił, gdyby te ostatnie stanowiły zaledwie jeden procent zapisów elektronicznych.

Czym jest więc dzisiejsza gospodarka? Wirtualnym pieniądzem pędzonym przez cwaniaków. Łatwo pożyczają ten pieniądź i zadłużają ludzi, przedsiębiorstwa, a nawet całe państwa. Co się stanie, gdy ktoś naprawdę powie: „sprawdzam”? Od lat państwa i międzynarodowe instytucje finansowe budują zabezpieczenia, by do wielkiego „sprawdzam” nie doszło. Ale wcześniej czy później się to wydarzy. Nie można opierać się na tak totalnej fikcji. Nie można produkować wyłącznie pieniędzy.

Jaki jest ratunek? Zwiększyć prawdziwą produkcję, powiększyć realne dobra, zmniejszyć ilość pustego pieniądza. Najłatwiej osiągnąć to poprzez zbliżenie dóbr i pieniędzy do zwykłych ludzi. Prezes korporacji ma zawsze większą skłonność do hazardu, bo wydaje na ogół nie swoje pieniądze. Mała rodzinna firma nie może szaleć z fundusza-

WOLNY RYNEK NIE MOŻE OZNACZAĆ,
ŻE PIENIĄDZE RZĄDZĄ CZŁOWIEKIEM.

mi bez pokrycia, bo w razie bankructwa rodzina i przyjaciele tracą cały majątek.

Nie zmienimy w jeden dzień myślenia ekonomistów ani sposobu finansowania gospodarek. Można jednak przestawić akcenty, pokazać długoterminowe zyski z inwestowania w ludzi. Kapitał bez człowieka nie istnieje. Im mniej w nim elementu ludzkiego, tym bardziej jest ryzykowny, agresywny i wykrzywia realną gospodarkę.

Takie myślenie oznacza śmierć neoliberalizmu, ale odrodzenie klasycznej gospodarki. Wolny rynek nie może oznaczać, że pieniądze rządzą człowiekiem. To człowiek musi nimi zarządzać, bo wówczas może dokonywać dobrych lub złych wyborów. Kiedy pieniądze rządzą człowiekiem, wyboru nie ma i jest to zło samo w sobie.

Eksperyment neoliberalny się nie udał. Czas wyjść z tej pułapki myślenia i dać ludziom wolność razem z pieniędzmi. Najgorsza pańszczyzna nie jest niewolą wobec pana, ale wobec pieniądza. Pan zabierał czas i pracę, pieniądze zabiorą wszystko, nawet duszę. ■

zależna niezależna niezależna niezale
niezależna niezależna niezależna

niezależna

niezależna niezależna niezależna n
zależna niezależna niezależna niezale

niezależna niezależna n
zależna niezależna niezale
niezależna niezależna n



zależna niezależna niezależna niezale
niezależna niezależna niezależna n
zależna niezależna niezależna niezale